

MEDIA POD TĘCZOWĄ PRESJĄ

**Jak działa cenzura
w Radiu Nowy Świat**



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 35/388 24-30 SIERPNIA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



**Władze PRL kontra Kościół
– kulisy wyboru bp. Gulbinowicza
na metropolitę wrocławskiego**

**OPOWIADANIE
JACKA KOMUDY
Z „NOWEJ
FANTASTYKI”
– CZĘŚĆ 2**



**Fałszywa pandemia COVID-19?
– ostra polemika**

SZCZEPAN TWARDOCH – NAWRÓCONY NA IDEOLOGIE LGBT

**Krzysztof Masłoń
o metamorfozie znanego pisarza**



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



Nakład: 58 000 egzemplarzy

eprasa.pl 1b143bca24

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Kulisy wielkiej
afery szpiegowskiej
II RP**

Piotr Zychowicz – **Z Niemcami na Moskwę?**
Stanisław Żerko – **W obronie Józefa Becka**
Charles Fishman – **Amerykanie na księżycu**
Sławomir Koper – **Erotyczne skandale Kiepur**
Arkadiusz Karbowski – **Jak zamordowano Mussoliniego**
Jacek Bartosiak – **Polacy na linii Niemna**
Sławomir Cenckiewicz – **Piłsudski i Rozwadowski**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Prawdziwa, globalna wojna



PAWEŁ LISICKI

Nie tylko w Polsce toczy się wojna kulturowa. Ba, można wręcz powiedzieć, że Polska jest jedynie lokalnym polem bitwy między siłami rewolucji a siłami oporu i zdrowego rozsądku.

Podjęta niedawno przez głównego kontrkandydata Donalda Trumpa, Joe Bidena, decyzja, by w przypadku jego zwycięstwa wiceprezydentem USA została senator Kamala Harris, pokazuje to z całą jaskrawością. Pani Harris, poza tym, że odznacza się odpowiednim kolorem skóry, który ma przyciągnąć do kandydata demokratów czarnych mieszkańców USA, jest też zacieklą zwolenniczką aborcji i równie skrajną przeciwniczką ruchów pro-life. Tak właśnie postępowała, gdy pełniła funkcję prokuratora generalnego Kalifornii. Wspierała wówczas

go. Obecna kandydat na wiceprezydenta USA dała się poznać jako jeden z najbardziej zagorzałych obrońców tej prawdziwej maszyny śmierci. W 2015 r. dwoje dziennikarzy, obrońców życia, David Daleiden i Sandra Merritt, ujawniło nagrania z rozmów z przedstawicielami Planned Parenthood. Wywołało to prawdziwy szok. Z filmów wynikało m.in., że w klinikach PP pozyskuje się nielegalnie części ciała zabijanych dzieci w celach komercyjnych. Jedna z lezarek powiedziała wówczas: „Nie chcemy płacić zryczałtowanej opłaty (za dziecko) w wysokości 200 dolarów. Opłata za (jego) część jest dla nas korzystniejsza właśnie dlatego, że widzimy dokładnie, ile można z niej wyciągnąć (pieniędzy)”. Z kolei inna lekarka Melissa Farrell z kliniki w Houston chwaliła się tym, że Planned Parenthood potrafi używać „nienaruszone zwłoki płodowe”. Kolejna z nagranych osób opowiedziała o pobieraniu części ciała płodów bez zgody pacjentek. Ta przerażająca i nieładna działalność nie była jednak wstrząsem dla pani Harris ani jej sumienia, jeśli założymy, że jeszcze takie ma. Dlatego walczy przyczyniła się do wszczęcia we wrześniu 2019 r. w stanie Kalifornia procesu przeciwko dwojgu dziennikarzom, Davidowi Daleidenowi i Sandrze Merritt. Prokuratura postawiła im 15 zarzutów „naruszenia prywatności”. Śledztwo przeciw nim nadzorowała właśnie kandydat na wiceprezydenta USA, Kamala Harris. Wcześniej, kiedy ubiegała się o stanowisko senatora, przyjęła od Planned Parenthood milionowe wpłaty na kampanię.

Już jako senator pani Harris wypowiadała opinie charakterystyczne dla lewackich ekstremistów. Według niej nikt, kto należy do wspólnoty religijnej, organizacji lub stowarzyszenia, które uważają aborcję, praktyki homoseksualne lub swobodę wyboru płci za grzech, nie ma prawa być miano-

wany na jakiejkolwiek stanowisko w administracji publicznej lub sądowej. Gdyby jej pomysły dało się zrealizować, oznaczałoby to wykluczenie religijnych Amerykanów z życia publicznego. Co się tyczy radykalizmu poglądów pani Harris, to przypomina on skrzyżowanie pań Jachiry, Spurek i Scheuring-Wielgus.

Zwycięstwo Bidena oznaczałoby, z punktu widzenia obrony przed rewolucją, katastrofę. Byłby to czytelny znak, że Ameryka znowu znalazła się, mówiąc językiem Jana Pawła II, po stronie „cywilizacji śmierci”. Na czele Stanów Zjednoczonych znalazłby się politycy opętani wręcz wizją stworzenia nowego człowieka i, jak to jest w przypadku pani Harris, dążący do brutalnej rozprawy z religią. Na tym tle para Donald Trump i Mike Pence, obecny wiceprezydent, jawi się, mimo uległości prezydenta Trumpa wobec LGBT, jako ostoja konserwatywnego ładu. Nic dziwnego przeto, że po stronie Trumpa wyrażnie opowiedzieli się przywódcy wszystkich tradycyjnych i konserwatywnych wspólnot religijnych. Nie ma wśród nich – co pokazuje skalę duchowego chaosu Kościoła – biskupów katolickich. Ci są podzieleni. Może dlatego, że – jak widać to w ostatnim klipie wyborczym kandydata demokratów – Joe Biden chce uchodzić za bliskiego przyjaciela papieża Franciszka: na zdjęciach widać ich obu uśmiechniętych podczas spotkania w Watykanie, a sam Biden twierdzi, że utożsamia się z wartościami pontyfikatu Franciszka. Według amerykańskiego polityka są to „wielkoduszości wobec innych” i „otwarcie”. Watykan do tej pory w żaden sposób wobec tych słów się nie zdystansował.

Nie ma wątpliwości, że ewentualne zwycięstwo Bidena oznaczałoby też radykalną zmianę podejścia do Polski. W końcu zwycięstwo rewolucji musi mieć charakter globalny. ©©

RYSunek TYGODNIA



Planned Parenthood, organizację, która to, inaczej niż wskazują deklarowane cele, nie zajmuje się ochroną zdrowia ani planowanym rodzicielstwem, ale propagowaniem i wykonywaniem aborcji.

W 2018 r. Planned Parenthood od uśmierciło ponad 330 tys. amerykańskich nienarodzonych dzieci oraz udostępniło ponad 630 tys. tzw. pigulek dzień po o działaniu wczesnoporonnym. Obecnie w Stanach Zjednoczonych funkcjonuje ponad 600 klinik, z czego w ponad 350 możliwe jest dokonanie zabójstwa prenatalne-



TEMAT TYGODNIA

12 KRZYSZTOF MASŁOŃ
PRZEMIENIENIA
SZCZEPANA TWARDOCHA
Nawrócony na ideologię LGBT

KRAJ

18 MARCIN MAKOWSKI
NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT
Media pod tęczą presją

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
DRUGIE DNO AWANTURY O PODWYŻKI

24 PIOTR SEMKA
JAPOŃCZYK ZNAD WISŁY
– HENRYK WUJEC (1940–2020)

26 ROZMOWA Z MICHAŁEM MOSKAŁEM
WOJNA KULTUROWA NIE MA SENSU

28 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
SENIORZY, KTÓRZY DYKTUJĄ TRENDY

KULTURA



32 JERZY MIZIOŁEK
TRIUMF 1920. OBRAZ I PAMIĘĆ
Cud nad Wisłą w sztuce

36 PIOTR GOCIEK
CZŁOWIEK Z BLIZNĄ

38 JACEK KOMUDA
DALIAN, BĘDZIESZ ĆWIARTOWANY! (CZ. 2)

47 GRZEGORZ KONDRASIUK
KARMA INSTANT

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE



48 ŁUKASZ WARZECHA
ZDROWO OGRANICZENI
Obywatel własnością państwa?

50 LIST DO REDAKCJI I ODPOWIEDŹ
POLEMICZNIE O EPIDEMII

52 ROZMOWA
Z DEPUTOWANĄ ZGROMADZENIA MADRYTU
NIE DAJCIE SIĘ SKOLONIZOWAĆ

HISTORIA

54 RAFAŁ ŁATKA
KULISY WYBORU
METROPOLITY
Władze PRL kontra Kościół

58 ROZMOWA
Z KS. TADEUSZEM ISAKOWICZEM-ZALESKIM
NIE KAŻDY MUSIAŁ ULEC SB

ŚWIAT

62 JACEK PRZYBYLSKI
ŁUKASZENKA WALCZY O ŻYCIE
To koniec niedoszłego cara Rosji

65 ROZMOWA Z O. ANDRIEJEM KURAJEWE
LEKCJA OD BOGA

68 ŁUKASZ ZBORALSKI
OBCE CIAŁO

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
ZŁOTO ZNÓW
MOCNO BŁYSZCZY
W co inwestują dziś Polacy



LATO Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM

74 WOJCIECH CEJROWSKI
RYBNY POKER
Dżungla i 200 km przez strome góry
ulepione z błota

O ZDROWIU

78 ROZMOWA
Z WALDEMAREM KRASKĄ
STRATEGIA NA JESIEŃ
Przed drugą falą COVID-19

Drodzy Czytelnicy!

W tym tygodniu list prof. Zbigniewa Machelskiego odnoszący się do rozmowy z prof. Andrzejem Nowakiem opublikowanej niedawno na naszych łamach. Korespondencję elektroniczną do redakcji prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Kłeska zmieniła myślenie bolszewików”, „DRz” 33/2020

Szanowna Redakcjo „Do Rzeczy”, trudno przyjąć krytykę prof. Andrzeja Nowaka – wybitnego historyka i sowietologa („Kłeska zmieniła myślenie bolszewików”, „Do Rzeczy” 2020, nr 33/386) – poglądu prof. Feliksa Konecznego, że wojna polsko-sowiecka od 1919 r. była produktem „turańszczyzny”. Profesor Nowak ma rację, stwierdzając, że marksizm wyrósł na gruncie cywilizacji tacińskiej, ale pomija okoliczność, że przeniesiony do Rosji na grunt cywilizacji turańskiej zapoczątkował leninowską koncepcję rewolucji. Jej „naukowy” walor potwierdzali przedstawiciele marksizmu-leninizmu. Janusz W. Gołębiowski pisze we wstępie do pracy zespołu autorskiego z Instytutu Ruchu Robotniczego Wyższej Szkoły Nauk Społecznych („Leninowska teoria rewolucji. Historia i współczesność”, PWN, Warszawa 1977), że leninowska koncepcja rewolucji opiera się na doświadczeniach rosyjskich, jest koncepcją uniwersalną, odnosi się do innego okresu, ale jej podstawowe założenia „fascynują intelektualną świeżością” (s. 6). Zdaniem prof. Konecznego cywilizacja turańska przechodzi od starożytności przez wielkie przemiany siedzib, ras i kultur w taki sposób, że można wyraźnie odróżnić z początkiem średniowiecza jej cztery szczepy: fińsko-ugryjski, turecki, mongolski i mandżurski. Koneczny zauważa, że „najzacieklejszymi w armii bolszewickiej były hufce mandżurskie, a garnęli się do zaciężnictwa żywiołowo. Pozostało im dużo z dzikości, z jakiej słynęli od wieków” (idem, „Cywilizacja bizantyńska II”, Capital, Warszawa 2020, s. 14). Zdaniem Gołębiowskiego (ibidem, s. 8) Lenin wielokrotnie przestrzegał, że rewolucja nie może nastąpić w dowolnym czasie i miejscu, a narodowa specyfika procesu rewolucyjnego jest formą przejawiania się ogólnych prawidłowości w konkretnych warunkach każdego kraju. Warunki Rosji, zdaniem Konecznego, są określone w znacznie większym stopniu przez tradycję turańską niż bizantyńską. Tatarzy

przyczynili się do wzrostu znaczenia państwa moskiewskiego utworzonego na ziemiach fińskich. Powstawały dwie nowe kultury turańsko-słowiańskie: moskiewska i kozacka. Łączyły je normański kod genetyczny oraz wschodni charakter – na wpół bizantyjski, na wpół tatarski. Obie nie chciały dopuścić do wpływów cywilizacji łacińskiej na swoim obszarze. Chciały wyrugować związany z nią katolicyzm rzymski. Zdaniem Konecznego chodziło o odmienną poglądów na stosunek Kościoła i państwa, i na państwo samo.

Z wyrazami szacunku
Zbigniew Machelski

Odpowiedź

Dziękuję bardzo prof. Zbigniewowi Machelskiemu za zwrócenie uwagi na kluczowy problem w interpretacji nie tylko samego najazdu sowieckiego z roku 1920, lecz także całego fenomenu bolszewizmu. Teza Feliksa Konecznego kładzie nacisk na ścisły związek tego zjawiska z podłożem cywilizacji, nazywanej przez niego turańską. Nie trzeba chyba „autorytetów” takich jak cytowany przez Pana Profesora Janusz Gołębiowski z Instytutu Ruchu Robotniczego, by uznać trafność spostrzeżenia owego związku: sowieckiej wersji komunizmu z tradycją polityczno-kulturową Rosji/Moskwy. W mojej wypowiedzi pragnęłam tylko zwrócić uwagę, że wirus komunistycznej ideologii i zawartej w nim gotowości do przemocy nie wyczerpuje się w jednej tylko cywilizacji. Jak widzimy, kiedy rozglądamy się po świecie, także na zachód od nas, wirus ten czyni spustoszenia również w takich niewątpliwie „łacińskich” krajach jak Francja czy Włochy, by nie wspominać nawet o Polsce, przełamując już dawno bariery cywilizacyjne. Niestety.

Andrzej Nowak

Wyjaśnienie

W „Do Rzeczy” nr 33/2020 w tekście Rafała A. Ziemkiewicza „Polski kłopot ze zwycięstwem” w kontekście Bitwy Warszawskiej pada zwrot „dziewiętnasta zwycięska bitwa w dziejach świata” zamiast „osiemnasta zwycięska bitwa w dziejach świata”. Z kolei w tekście Jana Parysa „Trójmorze w Europie” wkraść się błąd w zdaniu: „W sumie te kraje liczą ponad 114 mln obywateli, czyli 22 proc. populacji UE, zajmują 1218 km kw., czyli 27 proc. powierzchni UE”. Powinno być oczywiście 1,218 mln km kw. Za pomyłki przepraszamy.



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jackie Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela), Tomasz Cukiernik,
Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jackie Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Małkowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel,
Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Toralski, Szwach Weiss,
Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Jakub Woźniak, Tomasz Wróblewski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**.
Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Marcin Bugaj, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jackie Nadarowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa**
Okładka: **Bartek Syta/Polska Press/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rylkaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 58 tys. egzemplarzy

EUROPE: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detałniczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością
karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Tydzień dymisji

Jeśli można wskazać tradycyjne źródło wpadek wizerunkowych Prawa i Sprawiedliwości, to partia ta chodzi po kruchym lodzie, gdy pojawia się hasło rekonstrukcji rządu. Zaczyna się zazwyczaj od enigmatycznych zapowiedzi Jarosława Kaczyńskiego. Lider PiS wprowadza klimat, w którym nikt nie może być pewny swojego stołka. Zazwyczaj skojarzone bywa to z jakąś zapowiedzią cięcia po skrzydłach w przypadku koalicjantów – ziobrystów i gowinowców. Tyle że przygotowania do przemeblowania gabinetu nie mogą pojawiać się zupełnie niespodziewanie, a ważni szefowie resortu nie mogą zachowywać się jak ryby wyskakujące z sieci.

Oto w jednym tygodniu doszło do dwóch dymisji – ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego i szefa dyplomacji Jacka Czaputowicza. W obu przypadkach to ministrowie zapowiedzieli, że podjęli decyzję, iż czas już odejść. Tyle że Łukasz Szumowski

opuszcza resort w bardzo nieszczęśliwym momencie. Można odnieść wrażenie, że rząd Mateusza Morawieckiego nie ma pomysłu, jak znacząco obniżyć liczbę nowych zachorowań na koronawirusa. Także sprawa zakupu maseczek przez członków rodziny Szumowskiego nie została spuentowana w jakiś wyrazisty sposób. Trudno było nie zastanawiać się, czy dymisja nie wyprzedza jakiegoś skandalu?

Jeszcze bardziej zaskakująca była dymisja szefa MSZ Jacka Czaputowicza. Ci, którzy wsłuchiwali się wyraźnie w wypowiedzi „Czapy”, wyczuwali narastające zmęczenie. Czaputowicz przeprowadził MSZ przez trudne momenty po odejściu Witolda Waszczykowskiego, ale w końcu też już uznał, że ma dość. Płotka sejmowa wiąże tak gwałtowne decyzje z planami powrotu Szumowskiego oraz Czaputowicza do wykładów akademickich. Czy jednak minister powinien tak odchodzić, nie czekając na kompleksowe

zmiany w rządzie? I czy kryzys na Białorusi to najlepszy moment do zmian na stanowisku szefa MSZ?

Nowi szefowie resortu zdrowia i dyplomacji – Adam Niedzielski i Zbigniew Rau – nie są zbyt znanymi politykami, choć niewątpliwie kwalifikacje mają. Jeśli chodzi o resort zdrowia, to Kaczyński miał prawo szukać kogoś o mniejszych ambicjach niż dwóch „wiecznie chętnych” do kierowania resortem. Mowa o prof. Wojciechu Maksymowiczu i Andrzeju Sośnierz (oba z Porozumienia Jarosława Gowina).

Oczywiście Mateusz Morawiecki jest na tyle sprawnym złotoustym trybunem, by umieć przekonać wyborców PiS, że wspaniali ministrowie zostali zastąpieni jeszcze wspanialszymi. Pierwszy etap reorganizacji rządu nie wypadł jednak najlepiej. Szumowski i Czaputowicz przypominali pasażerów karuzeli, którzy na gwałt zażądali wysiadki. I to takich, których nic innego nie obchodziło. © ©



Zbigniew Rau FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM



Adam Niedzielski FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

POCZĄTEK ROSZAD W RZĄDZIE

Dotychczasowy szef NFZ Adam Niedzielski zastąpi Łukasza Szumowskiego na stanowisku ministra zdrowia, a dotychczasowy przewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych Zbigniew Rau zastąpi Jacka Czaputowicza i zostanie nowym szefem polskiej dyplomacji – poinformował w czwartek premier Mateusz Morawiecki. W zeszłym tygodniu do dymisji podało się czworo członków rządu: ministrowie Szumowski i Czaputowicz oraz wice-ministrowie zdrowia Janusz Cieszyński i cyfryzacji Wanda Buk. (jap) © ©

PŁYWANIE W KISIELU

Rewolucja zjada swoich ojców



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

Rzadko wykorzystuję felietony do osobistych porachunków, ale dziś nie powstrzymam się przed przypomnieniem, dlaczego zerwał ze mną swego czasu współpracę portal Interia. Otóż dlatego, że napisałem, iż z aktywistami LGBT jest dokładnie tak jak z komunistami: nie da się z nimi negocjować, rozmawiać, trzeba ich po prostu zniszczyć, inaczej oni zniszczą nas (podparłem się tu cytatem z Mackiewicza, który pisał wprost o „strzelaniu”, ale to strzelanie było tylko pretekstem).

Właśnie przeczytałem w „Newsweeku” wywiad z piszącą lesbijką Sylwią Chutnik, zadowolony już na okładce hasłem podobnym, tylko odwrotnym: „Nie dyskutuj z homofobem”. Wywiad pełen jest stwierdzeń w rodzaju

„ruchy emancypacyjne nigdy nie były pokojowe”, „wolność trzeba sobie wyszarpać” etc. Ale poza tezę, że „nie ma możliwości rozmawiania” z „homofobem”, tak jak z rasistą czy antysemitą, poza pochwałą przemocy, nie szczędzi też Chutnik krytyki, zresztą przyjmowanej przez redaktor Kim z wielką pokorą, „liberalnym wujkom Dobra Rada” (szczególnie Piotrowi Jedlińskiemu, wywalonemu, i zdaniem Chutnik jak najbardziej słusznie, z Radia Nowy Świat), którzy nie rozumieją, że „społeczność LGBT” jest „coraz bardziej wk**wiona” i urządzi świat po swojemu, siłą, olewając ich drobnomieszczańskie skrupuły i przesady. Hasła głoszone przez kolektyw „Margota” i „Łani” – że trzeba „roz*****ać państwo prawa”, bo

to właśnie owo fetyszyzowane przez liberałów prawo stanowi źródło opresji, wprawdzie w wywiadzie nie pada, ale jest jednoznacznie afirmowane, podobnie jak napady na furgonetkę fundacji Pro – Prawo do Życia. Chociaż ani osoba Chutnik, ani osoba Kim nie wspominają – nie wiem dlaczego – że napady owe zaczęły się po tym, jak znienawidzone „państwo prawa” wyrokami sądu przyznało „homofobom” prawo do głoszenia poglądów opartych wprawdzie (jak uznał sąd) na prawdzie, ale sprzecznych z ideolo LGBT.

Nie mam obecnie kontaktu z szefostwem Interii (nie wiem zresztą, czy się ostatnio nie zmieniło), ale jeśli ktoś ma, to proszę o przekazanie, żeby sobie wspomniany wywiad przeczytało. Z góry dziękuję. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Putin, Soros i Polska

Korespondenci z Białorusi z wiarygodnym zachwytem tak opisują sytuację: nie ma politycznych liderów, ludzie przeżywają „święto wolności” i nie zastanawiają się, co będzie dalej, chcą „jakichkolwiek zmian”. Wszystko to może przypominać Rumunię sprzed 30 lat i bunt przeciw Ceaușescu, tak sprawnie pokierowany i skonfiskowany przez zdemokratyzowanych postkomunistów.

Jutro Białoruś może stać się kondominium Putina i Sorosa albo ich następców. Białorusinów czeka przyspieszony kurs demokracji i jej liberalna „konsolidacja”. Wolność jest ciężkim zadaniem i Białorusini będą mieli ją naprawdę tylko wtedy, gdy będą potrafili ten

proces choć trochę kontrolować, a nie jedynie odtwarzać ustalony scenariusz liberalnej adaptacji.

Unas za gromką tromtadracją kryje się często płaskie orientacyjne nastawienie w polityce zagranicznej, zakładające, że stać nas jedynie na podążanie w orszaku wybranych sojuszników, a raczej protektorów. Oczywiście Polska nie może prowadzić polityki izolacyjnej i musi mieć swoje mocne miejsce w porządku międzynarodowym; ale musi go również kształtować i zmieniać. Tym bardziej w naszym otoczeniu. Na Białorusi musimy szukać i wspierać swoich partnerów. Nasza polityka może być mniej lub więcej atlantycka lub europejska, ale przede wszystkim musi być polska.

Bezpośrednie relacje między Prawem i Sprawiedliwością a Białoruskim Frontem Narodowym (lata temu z Mariuszem Kamińskim przygotowywaliśmy ich formalizację) to dobry polityczny przyczółek. Oczywiście jest również wielowarstwowa społeczność polska, Kościół katolicki obu obrządków i wspólnoty prawosławne, które (szczególnie jeśli pojawią się wśród nich tendencje narodowe) mogą być dla nas partnerem. Dla nas też zaczyna się czas próby. Pomóżmy Białorusi być sobą: narodem zanurzonym w środkowoeuropejskiej tradycji Wielkiego Księstwa. Krajem, który nie jest Zachodem, ale nie jest też rosyjskim Wschodem. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 chciwości

Gdy wybuchła pandemia, włoski rząd wprowadził zasiłek w wysokości 600 euro miesięcznie dla tych, którzy prowadzą własną działalność gospodarczą. W zamyśle była to pomoc dla kilku milionów ludzi, którzy z powodu koronawirusa stracili dochody, bo musieli własny biznes zamknąć albo przestali otrzymywać zlecenia i mają nóż na gardle. W pośpiechu nie wprowadzono żadnych ograniczeń, więc po te zasiłki mógł się zgłosić każdy samozatrudniony.

Jak ujawniło biuro antykorupcyjne INPS (włoski ZUS), na 600 euro połąsiło się pięćcioro prowadzących własny biznes deputowanych. Cała Italia zatrzęsała się z oburzenia, bo przecież parlamentarzyści co miesiąc otrzymują na rękę 12–13 tys. euro z kieszeni włoskiego podatnika. Okazało się ponadto, że z zasiłku skorzystało ok. 2 tys. przedstawicieli obieralnych władz lokalnych, w większości również sownie opłacanych przez podatnika (nie tak dawno temu gubernator Sycylii zarabiał więcej od królowej Elżbiety II i kanclerz Angeli Merkel).

INPS nazwisk chciwców nie podał, ale wiadomo, że we Włoszech tak czy siak wyjdą w końcu na jaw. Wielu winnych, uprzedzając uderzenie, wykonało więc heroiczny coming out. Była wśród nich niewiasta z opozycji, która wcześniej w wystąpieniu w parlamencie nazwała ten zasiłek haniebną jałmużną, po którą człowiek z poczuciem elementarnej godności by się nie schylił.

Jeszcze zabawniejsze były tłumaczenia: „To nie ja, to ten kretyn, mój doradca podatkowy, wystąpił o zasiłek, w ogóle mnie o tym nie informując”. Wybrańcy narodu bez żenady obwiniali własne matki, żony, narzeczone i dzieci. Adwokat, który zarobił w swoim biurze 250 tys. euro w ubiegłym roku, powiedział, że chciał pokazać, jak kretynsko rząd sformułował dekret o zasiłku, a pieniądze przekazał na cele charytatywne. Słowem, akt miłosierdzia na koszt podatnika.

INPS zdetonował tę bombę kilka tygodni przed referendum w sprawie zmniejszenia liczby parlamentarzystów o ponad jedną trzecią. Wynik przewidywać nie trudu. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wujkowie i ciocie dobre rady

Twitter pełen jest wujków i cioci dobrych rad, którzy lepiej od polityków wiedzą, co mają mówić i robić. A gdyby na chwilę oddać stery państwa w ich ręce? Albo pozwolić zastąpić parlamentarną opozycję? Zobaczmy. „Szanowna opozycjo! Reguła jest prosta: nigdy nie głosować tak jak PiS. Nawet gdyby chodziło o całkowite zniesienie podatków i wypłatę każdej rodzinie kilograma złota miesięcznie. Nigdy! Wydawało mi się, że to oczywiste” – doradził Kamil Dąbrowa, były rzecznik warszawskiego ratusza. „Dzięki za ten wpis. Wzmocnia” – odpowiedział mu Tomasz Zimoch z Koalicji Obywatelskiej. „Szczególnie ortografia wzmacnia. »Podadek« – genialne” – zauważył inny internauta.

Jakoś po traumie głosowania ramię w ramię z PiS za podwyżkami trzeba sobie jednak poradzić. Posłuchajmy ekspertów. „Pałowanie opozycji, gdy bije się w piersi i przyznaje do błędu, to bardzo zły pomysł. I mało wychowawczy. Nawróconego grzesznika lepiej, jeśli nie przytulić, to pochwalić” – stwierdził Tomasz Lis. „Może wszyscy ci pałujący czują się lepsi? Uważają, że idą suchą nogą przez życie, że nie popełniają błędów, że zawsze potrafią się do nich przyznać, że nie odczuwają pokus, że są wolni od siedmiu grzechów głównych, że – wertując swoje życie – dają sobie prawo do moralizowania?” – wnikliwie psychologizował Przemysław Szubartowicz.

Przenieśmy się teraz na pole rządowe. Jak poradzić sobie z falą rekonstrukcji przed rekonstrukcją, aby ludzie się nie poznali i ministrowie byli zadowoleni? „Ministerstwo zdrowia teraz można połączyć z ministerstwem sportu. Bo sport to zdrowie” – podszeptął dziennikarz Bartek Godusławski.

W kwestii polityki światopoglądowej warto natomiast zaufać działaczom i działaczkom ruchów pro-choice. „Czyli tak: kobieta w Polsce nie może przerwać niechcianej ciąży, bo nie. Minister zdrowia może przerwać bycie ministrem przed wielką falą śmiertelnej epidemii, bo jego życie i jego wybór” – napisała Anna Dryjańska. Prawda, że gdyby nie władza i opozycja, dziennikarze oraz aktywiści wszystko poukładaliby lepiej? ©

Nowym szefem polskiej dyplomacji został prof. Zbigniew Rau. Dla czytelników naszej rubryki to nie nowina. Wszak pisaliśmy o tym tydzień temu. Co oczywiście nie przeszkodziło naszym kolegom po fachu cztery dni potem podać tej informacji jako własnego newsa. Szczególnie pozdrawiamy załogę RMF FM.

Rekonstruktywizacja rządu, jak wiadomo – jesienią. Już teraz trwają jednak intensywne działania, żeby zrekonstruować szefa MSWiA, krwawego Maria Kamińskiego. I to nie dlatego, że sobie nie radzi. Wręcz przeciwnie. Jak mówią jego przeciwnicy partyjni, stanowczo przesadza z tą uczciwością. Mamy dla nich złe informacje – jeśli rekonstrukcja planowana jest na początek października, to wcześniej dojdzie jeszcze do spektakularnych aktów przesady.

Tymczasem w trakcie rekonstrukcyjnych negocjacji z koalicjantami Naczelnik Państwa położył na stole pistolet. Znaczy w przenośni. Jak bowiem nieoficjalnie mówi się na Nowogrodzkiej, jeśli koalicjanci będą brykać i przeszkadzać w rekonstruktywizacji, to na początku przyszłego roku zrobi się wybory parlamentarne. Naczelnik Państwa uważa bowiem, że rządzenie bez przyspieszenia nie ma sensu.

Niezależnie od tego, kiedy wybory, nie jesteśmy pewni, czy największa partia w Eine Totalopposition do nich przetrwa. Miarą desperacji jest pomysł, by Sławomira Nitrasa uczynić szefem klubu PeŁo. Nie lepiej po prostu obsadzić zarząd partii Sokiem z Buraka?

WRosji otruto lidera opozycji. Na Białorusi straszono opozycyjną kandydatkę na prezydenta, grożono jej rodzinie, po czym deportowano na Litwę. W Polsce jeszcze gorzej – władza postanowiła zemścić się na opozycji, podnosząc jej pensje. Zaiste, prawdziwie wschodnia u nas dyktatura.

Ápropos podwyżki pensji posłów, ministrów etc. Na pomysł wpadli zieloni bracia z Peezelu, których jeszcze podkręcił sprytny PiS. Majstersztyk! Nie darmo się mówi: „Chciwy jak chłop”. Żeby było śmieszniej, żabę zjeść muszą politycy PeŁo, którzy już w marenkach wydawali wyższe pensje na



FOT. ROBERT CAROŹSKI

dwaj panowie g

wycieczki do Toskanii i książki Spinozy. A teraz muszą odszczekiwać. Nie darmo ukuto przysłowie: „Szczęście, gdy trafi na głupiego, wszystkim go czyni nieznośnego”.

Niektórzy posłowie Eine Totalopposition czuli się tak ubodzy, że głosowali za podwyżkami, przebywając za granicą. Być może zbyt wiele wydali na wakacjach. Być może nie wiedzieli, że to nielegalne. Być może nie powinni być posłami, po prostu.

Przy okazji chcielibyśmy sprostować informację rozpowszechnianą przez członków PeŁo, jakoby jej kryzys wizerunkowy, z którym teraz chce walczyć, zaczął się od głosowania za podwyżkami. Otóż nie, kochani. Kryzys

wizerunkowy Platformy zaczął się od tego, że urażony porażką w wyborach prezydenckich Donald Tusk odrzucił możliwość utworzenia rządu PO-PiS. Czyli zbliżyliśmy się do pięknej rocznicy kryzysu wizerunkowego. Jesienią to już będzie 15 lat.

Żegnamy szefa MSZ Jacka Czapę-Czaputowicza, ale żegnamy i ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego. Mamy ważną wiadomość o jego następcy, Adamie Niedzielskim. Biega. Wszystko dlatego, że kilka lat temu stwierdzono u niego stan przedcukrzycowy i nadwagę. Lekarz zasugerował mu, że musi się za siebie wziąć. No i wziął się, no i biega. Skąd o tym wiemy? Powiedział nam. Znaczy „Do Rzeczy”. Jakoś tak rok temu.

Tymczasem w Warszawie. Wszyscy zastanawiają się, jakie teraz cele ataków i wieszania tęczyowych flag wybiorą bojówkarze LGBTQWERTY, czyli ludzie, którzy ukradli nam część alfabetu. Mamy pytanie. Owszem, wiele w stolicy pomników rozmaitych katoli, ale czy LGBTQWERTY-owcy wiedzą, że zdaniem ortodoksyjnych Żydów homoseksualizm jest grzechem, który należy karać śmiercią? To co, może jakieś żydowskie pomniki albo muzea weźmiecie na cel, odważnie!

Ápropos szaleństw ideolo-pierdolo. Firma Knorr uznała nazwę „sos cygański” za rasistowską i zmieniła ją na „sos paprykowy po węgiersku”. Mamy pewne wątpliwości. Czy to oznacza, że każdy Węgier to Cygan albo że każdy Cygan to Węgier? I niby jak teraz mamy mówić: „Kowal zawinił, Węgier powiesił”? No i największa zagwozdzka. Czy zamiast powiedzieć, zgodnie z prawdą, że „Platforma ocyganiła Polaków” będziemy musieli mówić, że ich owęgrzyła? Co na to Viktor Orbán?

Tymczasem również wyraz „Murzyn” został uznany przez członka Rady Języka Polskiego Polskiej Akademii Nauk za obraźliwy. Co z tym fantem zrobić? Przypomniało nam się, jak kiedyś Sławomir Mrożek tłumaczył, że Polak to też Murzyn, tylko biały. Taka podmianka na dobre miałaby sens. „Polak zrobił swoje, Polak może odejść”. „Robić za Polaka”. „A u was biją Polaków!”. Pasuje, nieprawdaż? ©

POWIEKA NA USTACH WSZYSTKICH!

Biedna Katarzyna Warnke! Polską aktorkę i celebrytkę dość ostro potraktował jakiś amerykański chirurg plastyczny. Na swoim Instagramie zamieścił jej zdjęcie jako klasyczny przykład źle wykonanej plastyki powiek. „Oto, jak nie należy tego robić! Polska aktorka Katarzyna Warnke prawdopodobnie miała zrobioną agresywną plastykę powiek górnych z usunięciem prawdopodobnie zbyt dużej ilości tłuszczu i skóry (przez innego chirurga)” – stwierdził dr Mehryar Ray Taban. Kolorowe media natychmiast zwróciły się z prośbą o komentarz do najbardziej znanego chirurga polskich gwiazd Krzysztofa Gojdzia, o którym jakiś czas temu Kasia Warnke mówiła, że „zawdzięcza mu swój naturalny i świeży wygląd”. – To super, że Kasi urodę doceniają też w Hollywood. To już niedługo docenią jej talent aktorski i zastąpi Angelinę Jolie w Los Angeles – stwierdził Gojdz. Skromny jak zawsze. A przecież ewidentnie bardziej niż urodę Kasi doceniono tu kunszt jej chirurga!

ZWALNIAM WAS!

Aktor Antoni Pawlicki postanowił skomentować pracę polskich polityków. Nie spodobało mu się bardzo to, że przyznali sobie podwyżki, ale nie tylko to. „Kurr... Co się w tym kraju dzieje? W końcu jest zgoda w Sejmie! Najpierw w sprawie podwyżek o ponad 50 proc. dla wszystkich polityków oraz dodatkowe miliony na partie polityczne i to kiedy? Dzień po tym, jak ogłoszono historycznie największy spadek polskiego PKB! A potem wszyscy zgodnie olali raport Rzecznika Praw Obywatelskich” – oburza się aktor. „Podczas prezentacji raportu Bodnara o stanie praw człowieka w Polsce sejmowe ławy świeciły pustkami! Po obu stronach! Skandal kurr...! Wszystkich Was zwalnię!” – oznajmił stanowczo. Kiedyś może pan Antoni doczyta, że posłów zwolnić może co najwyżej naród w wyborach, a nie aktor na Instagramie. Na szczęście.

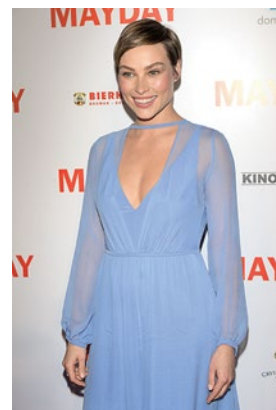
BIEDAWAKACJE W HISPANII

Celebrytka Katarzyna Skrzynecka jeszcze niedawno narzekała, jak bardzo pandemia odbija się na jej domowym budżecie. – W tym roku pewnie nie będzie nas stać na jakiegokolwiek wyjazd wakacyjny. Obyśmy mogli latem pracować, żeby wyjść z debetów – rozpaczła

jeszcze w maju. Tymczasem ostatnio podzieliła się ze światem zdjęciami z wakacji z Hiszpanii. – Spontaniczne last minute. Małe zwiedzanie na kilka dni z pełnym zachowaniem zasad bezpieczeństwa – poinformowała Skrzynecka. Kiedy przypomniano, co mówiła w maju, celebrytka zaczęła się tłumaczyć, że winne są media, które źle zinterpretowały jej słowa. A poza tym, jak dodała, Hiszpania jest tania, tańsza nawet niż polskie morze czy góry! Doprawdy niewdzięczni ci fani, żeby takie biedawakacje celebrytce wypominać. Przecież tu współczuć trzeba!

ŻENUJĄCE 30 TYSIĘCY

Także aktorce Weronice Książkiewicz pandemia mocno dała się we znaki. Do tego stopnia, że musiała podreperować swoje finanse udziałem w reklamie wina dla popularnej sieci dyskontów. „Portfel Książkiewicz mocno się uszczuplił. W czasie pandemii, tak jak większość artystów, nie miała w zasadzie żadnej pracy. Teraz wróciła co prawda na plan »Leśniczówki«, ale nie zarabia na tym serialu kokosów – zdradza informator serwisu Pudelek. – Za jeden dzień zdjęciowy dostaje 2500 zł, co nie jest wygórowaną stawką



FOT. RADOŚLAW NAWROCKI/FOKUS

w tej branży. W miesiącu ma jednak tylko cztery dni zdjęciowe. Zwykłemu człowiekowi taki budżet na pewno by wystarczył, jednak celebryci żyją na zdecydowanie wyższym poziomie. Taka kasa to tylko kropla w morzu potrzeb” – dodaje. Jak twierdzi Pudelek, Weronika za udział w reklamie wzięła 30 tys. zł, za co mocno jej się oberwało w show-biznesie. „To bardzo niska stawka – tłumaczy serwisowi Pudelek osoba z otoczenia aktorki. – Koledzy i koleżanki z branży mają do niej nawet trochę żalu, bo takimi kontraktami psuje rynek. Potem reklamodawcy wszystkim innym też proponują takie żenujące kwoty” – dodaje.

Jak kiedyś celebryci odkrywają, za jak żenujące kwoty pracują normalni ludzie, to chyba zaniemówią z wrażenia. Co akurat wydanie nam wszystkim na dobre. ©©



FOT. PAMEL GOMMADA



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, pewnie zastanawiacie się, co myśleć o tym, iż postępowy świat tak średnio interesuje się sytuacją na Białorusi i nie organizuje protestów w obronie białoruskiej demokracji.

Otóż, kochani, słowa są ważne. Jak można wymagać od świata, który ledwo chwilę wcześniej protestował z hasłami BLM, iżby teraz popierał kraj, który nazywa się BIAŁORUŚ?

powinni rozważyć zmianę identyfikacji państwowo-narodowej.

Wtedy może ewentualnie w przerwie między innymi protestami Europa spojrzy na nich z większym zainteresowaniem.

Skoro Łukasz Szumowski zdecydował się na opuszczenie Ministerstwa Zdrowia, to zastanówmy się, czy w ogóle takie ministerstwo nam w obecnych czasach jest potrzebne. Zaczniemy

Po drugie, skoro istnieje ministerstwo, a ludzie wciąż chorują, to coś tu chyba jednak jest nie tak i nie działa tak, jak powinno.

Po trzecie, przecież każdy, kto ma YouTube, jest w stanie zdobyć przynajmniej podstawową wiedzę medyczną i we własnym zakresie rozstrzygać o toczących go chorobach, zasadności szczepień, szkodliwości 5G i noszenia maseczek. I żaden minister nie jest do tego potrzebny.

Skoro ja się uważam za męczennika,
ty nie możesz się uważać za kobietę, bo
to by było tak, jakbyśmy żyli w
heteroseksualnym związku...



c e z a t y k t y j z t o p a

Przecież postępowe zachodnioeuropejskie osoby nie mogą tak po prostu skandować o wolnej Białorusi itp. Protestujący, jeśli chcą liczyć na poparcie społeczności międzynarodowej,

od tego, iż cała nazwa jest dyskryminująca, iż sugeruje, że ministerstwo zajmuje się tylko zdrowiem, a więc i osobami zdrowymi, pozostawiając na marginesie systemu wszystkich chorych.

Strasznie denerwuje nas też to stygmatyzowanie niektórych regionów tego kraju za pomocą kolorów żółtego i czerwonego. Po pierwsze: Dlaczego władzy zależy na tym, iżby akurat z tymi kolorami zaistniały jakieś negatywne skojarzenia? Czerwony, wiadomo, kolor lewicy, a żółty znajduje się na fladze Niemiec. To pokazuje, jakich wrogów widzi rząd i na kogo stara się przekierować gniew opinii publicznej. No i w tym wszystkim nie zapominajmy o mieszkańcach tych stref, którzy spotykają się z ostracyzmem i prześladowaniami ze strony bojącego się zawsze inności podkarpacia, które jest na tyle cwane, iż pozna zawsze na oko, czy druga osoba pochodzi z czerwonej czy żółtej strefy. ©©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Szukamy nowego

To nic takiego, panie premierze. Zwykła infekcja gardła. Dam panu coś na wzmocnienie, na nawilżanie gardła, witaminę C najlepiej proszę przyjmować w naturalnej postaci. Za kilka dni powinno być po wszystkim.

Dziękuję, panie doktorze. A przy okazji, nie chciałby pan może zostać ministrem zdrowia? **Słucham?!** No wie pan, minister zrezygnował, szukamy nowego... **Ale zaraz. Ja tam na polityce się specjalnie nie znam, ale to się przecież szuka w swojej partii, wśród posłów, bo ja wiem...** No niby tak. Na ogół. Ale... powiedzmy, że mamy z tym trochę problemów. **Nie rozumiem.** Powiem wprost, w zaufaniu: wszyscy lekarze, których bierzemy

pod uwagę i których mamy u siebie, przestali odbierać telefony. Jeden, jak mnie zobaczył na korytarzu w Sejmie, to się nawet schował w toalecie i potem udawał, że to nie on. **Ale jak to?** Normalnie. Jak zapukałem do kabiny, to próbował zmienić głos i przekonywał, że jest posłanką Jachirą. A to była męska toaleta. No to jak? Gabinet, sekretarka, limuzyna... **Przepraszam, mam coś z żołądkiem, muszę pilnie do toalety.** **Łukasz Warzecha** ©©

OD RZECZY

„Przecież »Uchadzi!« było pod adresem Łukaszenki, nie Łukasza”

DONALD TUSK, były premier RP, na Twitterze po dymisji ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego

Przemienienia Szczepana Twardocha



Krzysztof Masłoń

Dopiero pod sztandarem LGBT poczuł się Szczepan Twardoch właściwą osobą na właściwym miejscu. Przy okazji wykazując się politycznie



Szczepana Twardocha na wyżyny popularności literackiej wywindowała „Morfina” (2012), groteskowa historia okupacyjna o problemach z polską i niemiecką tożsamością, sprzedana w 100 tys. egzemplarzy powieść, nominowana do wszystkich możliwych krajowych nagród, ale nagrodzona jedynie przez czytelników. Finału Nike wygrać nie mogła, autor był bowiem postrzegany jako sympatyk prawicy, zatem dla literackiego mainstreamu – niezależnie od treści „Morfiny” – był postacią podejrzaną. Żeby zostać w pełni zaakceptowany, musiał przejść przemienienie. Może nie tak ważne jak Jezus na górze Tabor, niemniej znaczące. O tym jednak potem...

STANĄĆ W PRAWDZIE O SOBIE

W „Jak nie zostałem poetą” (2019) przedstawił Szczepan Twardoch swoją 300-letnią genealogię, zaczynając ją w roku 1746, cztery lata po tym, jak Fryderyk Wielki odebrał Śląsk Austrii. Wtedy to we wsi Bujaków w królestwie Prus urodził się Simon Twardoch, „którego – powiada autor książki – nieznani mi z imienia rodzice musieli przyjąć na świat jeszcze jako poddani habsburscy”. Adresy się później, nie za często zresztą, zmieniały, a to na Zabrze, a to w końcu na Szczepanowie Pilchowice. Dziadek pisarza, Oskar, służył na wojnie w Wehrmachcie, „wojnę przeżył, za to zginął na kopalni w pięć lat po tym, jak wrócił z amerykańskiej niewoli. Miał dwóch synów: w 1944 r. urodził się Stefan, a w 1947 Jan. Jan to mój tata i jest on pierwszym Twardochem w całej tej trzystuletniej wyliczance, który urodził się w Polsce, gdyż ta się w międzyczasie u nas pojawiła. Moi synowie noszą imiona Franciszek i Jan, jak przed nimi wielu innych Twardochów, połączonych tym dziedzicznym wyłącznie w męskiej linii chromosomem Y i miejscem, w którym uparcie, bez żadnego powodu żyjemy. Nic się nie zmienia”.

Powiedzmy, że nic. W 2009 r. otrzymał Szczepan Twardoch za zbiór opowiadań „Prawem wilka” nominację do Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza. Dwa lata później za powieść „Wieczny Grunwald”, wydaną przez Narodowe Centrum Kultury w rywalizacji o tę samą nagrodę, dostał jedno wyróżnienie z dwóch (nagrodzony został wówczas Wojciech Wencel za tom „De profundis”).

O wyróżnionym „Wiecznym Grunwaldzie” z niejakim uniesieniem tak pisał nieżyjący już, niestety, Maciej Parowski: „Bardzo ciekawa to książka. Mitologiczną osi są tu grunwaldzkie zmagania, podczas których bywa i tak, że krzyżacy knechci i rycerze przedśmiertną skargę wyrzucają z siebie po polsku. Wiele miejsca zajmują tu losy plebejusza w średniowiecznym świecie, wychowywanego przez matkę w krakowskim zamtuzie, szkolącego się w sztuce szermierczej u zakonnego brata w Norymberdze. To on jest narratorem – jego opowieść, skarga, halucynacja na jawie, sen o sobie, o Polakach i Niemcach, o ich miłosno-nienawistnych zmaganiach, obsesjach to ironiczny trzeźwiący esej, w którym rozpoznajemy swoje mądre karykatury. [...] Jest w »Wiecznym Grunwaldzie« wyrażona expressis verbis tęsknota za uniwersalną ideą rycerstwa rozumianą humanistycznie i po chrześcijańsku, sponiewieraną wszelako na polach bitew i poza nimi.

Toteż także marny udręczony bohater Twardocha o wielu twarzach znajdzie swój moralny Punkt Omega. Kiedy Paczko, królewski bastard, po wielu freudowskich ojcobójstwach i okrutnych czynach dokonanych w różnych wcieleniach i czasach, przestanie w końcu nienawidzić sam siebie, spojrz też inaczej na innych. Kiedy to się staje, a my akurat kończymy lekturę, okazuje się, że Twardoch napisał nie tylko nowatorską książkę historyczną, lecz także powieść religijną.

Bardzo mi się to wszystko podoba. Także jako autorowi idealizującej Polskę i Polaków »Burzy«. Gorzka mądrość, sceptycyzm, przepełniające książkę Twardocha, są nam równie potrzebne jak optymistyczne wizje dające ukojenie”.

Po dłuższym czasie poznaliśmy autorski autokomentarz do wyróżnionej powieści, czytając wydane w 2015 r. „Wieloryby i ćmy. Dzienniki 2007–2015”. „Skończyłem pisać »Wieczny Grunwald« – wyznawał pisarz – i nagle zdałem sobie sprawę, że nigdy żadna książka nie kosztowała mnie tak wiele, jakbym się wyżył na kartki. Jakbym przeciekl przez klawiaturę do pliku i jakby zostały we mnie straszne, puste dziury. [...] Kiedy więc skończyłem »Wieczny Grunwald«, to, jak to się mówi w kościółkowym slangu, stanąłem w prawdzie o sobie. Nie bardzo mi się ta prawda spodobała, ale jeszcze mniej podobało mi się samookłamywanie, więc dałem sobie

■ spokój, dałem sobie spokój bycia ze sobą bez przmiotników, zrozumiałem, że mogę być ja-jako-ja, zrozumiałem, że tak naprawdę liczy się dla mnie tylko ta z góry skazana na niepowodzenie próba zrozumienia życia czy raczej próby i literackie dokumentowanie tych prób. Nie mam światopoglądu, nie obchodzą mnie prawacy w świętym starciu z lewakami, którzy również mnie nie obchodzą, kiedy zaś widzę różnych umiarkowanych centrystów, to dostaję mdłości z obrzydzenia. Nie ma hasła, które sprawiłoby, że chciałoby mi się trzymać transparent”.

DZIŚ MI SIĘ CHCE!

Przyznajmy, że Szczepan Twardoch ma problemy. „Czym dzisiaj – zastanawia się – epatować pozytywistycznie konserwatywno-socjalistycznie-liberalnych, tępo zadowolonych mikroburżuków z centrum handlowego, takich, co to i do kościółka pójda, i flamie bachora wyskrobia, jeśli trzeba, i potem się tym wyśkrobianiem zasmuć, i nawet pójda na psychoterapię? Można urządzać marsze i kontrmarsze, z pochodniami i z arafatkami, przestraszać się, tyle że mi się nie chce. Można wieszczyć ze szczątków samolotu, jak kapłan z kości w ogień rzucanych, ale tego też mi się nie chce, bo we wróżby wierzę tylko wtedy, kiedy wróżą mi wszelką pomyślność. Mikroburżuk, jak mi się zdaje, nie zasłużył na bycie epatowanym, epatować można i warto było dawnych strasznych mieszczan, dzisiejsi mikroburżukowie to dawni mieszczenie już fabrycznie epatowani, nic w nich do epatowania nie zostało, skorupy wyschnięte. Wolę już epatować prawackich dziarskich chłopców, lewackich dziarskich też mógłbym i potrafił, lecz czerwona walkiria Ulrike Meinhof już nie żyje. Ale i prawacy, i lewacy dziarscy chłopcy to i tak zwykle żywe trupy, zafiksowane na swoich konceptualizacjach jak tomista na »Summie« albo raczej jak zombie na wyjadaniu ludziom mózgow, a jak się trupa walnie prądem, to może i nim trochę potrząśnie, jak żabimi nogami Galvaniego, lecz ożywić się przecież nie da. Spalić, co najwyżej, ale takiej mocy to ja nie mam”.

Jakieś jednak możliwości pisarz ma. I tak jak w reklamie powtarzał bez końca: „Dziś mi się nie chce”, aż nagle zabłysło mu oko, stwierdził: „Dziś mi się chce” i ze swoim druhem serdecznym Łukaszem Orbitowskim i lewicową postanką zrobił sobie sweet focie na spędzie LGBT

w Krakowie, deklarując, używając liczby mnogiej: „Nigdy nie chodzimy na manifestacje, a teraz poszliśmy”.

Słowem, dopiero pod sztandarem LGBT poczuł się Szczepan Twardoch właściwą osobą na właściwym miejscu. Przy okazji wykazując się politycznie – cytuję w tym miejscu jego wiekopomną uwagę z Facebooka: „Proszę już nie mówić, że pan Ziobro ma zero sukcesów. Oto na tym zdjęciu, na spontanicznej [jasne, że spontanicznej, bo LGBT samo w sobie jest spontaniczne jak cholera – przyp. K.M.] krakowskiej manifestacji przeciwko systemowej homofobii, najlepszą polską postankę Darię Gosek-Popiołek flankuje dwóch chłopów, którzy nigdy nie chodzą na żadne manifestacje, bo mają ku temu swoje powody, tak ich życie nauczyło. A teraz poszli. Jak to nie jest sukces, to już nie wiem”.

TO NIE MOJE ŚWIĘTO

Na Marsze Niepodległości pisarz nie chodził z powodów, rzekłbym, zasadniczych. Tak przynajmniej utrzymywał, wyjaśniając w zeszłym roku: „Nie świętuję 11 listopada. Nie wywieszam polskiej flagi. Wywieszałbym nawet dwie, polską i śląską, gdyby Rzeczpospolita Polska otoczyła swoją największą mniejszość etniczną opieką i szacunkiem, gdyby nie odmawiała nam konsekwentnie tych podstawowych praw, które mają na przykład Kaszubi. Niepodległość Polski nie dała Ślązakom i Górnemu Śląskowi nic dobrego, część Śląska przytęczyła wbrew wynikom demokratycznego plebiscytu, złamała wiele, jeśli nie wszystkie ze złożonych nam obietnic i od stu bez mała lat darzy nas głównie pogardą, niszcząc świadomie i przez zasiedlania naszą tożsamość i język, naszymi zasobami naturalnymi gospodarując tak, jak gospodaruje się w koloniach. Dlatego to nie moje święto. Czy kiedyś stanie się moim, tego nie wiem – to zależy od Rzeczpospolitej i jej polityki”.

Polemizować z człowiekiem udającym, że wierzy w demokratyczność plebiscytową i utrzymującym, że mające istotne problemy z zalegalizowaniem Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej, którego jest szarą eminencją, ma cele wyłącznie kulturotwórcze, najwyczajniej mi się nie chce. Facet przedstawia się jako pisarz polskojęzyczny i Górnoszlązak, którego książki, np. „Drach”, przekłada na śląski Grzegorz Kulik. No i dobrze, gdy jednak porównuje sytuację tegoż śląskiego języka (spróbujcie tylko powiedzieć

„gwary”!) do nazywanego „żargonem” jidysz, nieśmiało zwróć uwagę, że Singer w jidysz pisał i z tego języka go tłumaczono, a nie – jak Twardocha – z polskiego na śląski. Co nie znaczy, że nie życzę autorowi „Króla” Nobla. Biorąc pod uwagę to, jak przedstawia w swoich nowych książkach Niemców i Żydów, a jak Polaków, nie jest pozbawiony szans.

Czekamy właśnie na premierę serialu według „Króla”, który Canal+ od miesiąca anonsuje jako wydarzenie sezonu. Wcześniej powieść tę, poza wszystkim innym ukazującą przedwojenną Warszawę jako miasto żydowskie, wydano w Niemczech pod innym tytułem „Bokser”. To nic nowego: „Początek” Andrzeja Szczypiorskiego też funkcjonował nad Renem jako „Piękna pani Seidenmann”. A Szczepan Twardoch, promując „Boksera”, zapewniał: „Nie traktuję Niemców jako zagranicy”.

Oczywiście, jest on ceniony przez naszych zachodnich sąsiadów, którzy już cztery lata temu uhonorowali go za powieść „Drach” nagrodą Brücke Berlin Literatur und Übersetzerpreis, przyznawaną przez Initiativpreis für den Theaterverlag Henschel Schauspiel. Nawiasem mówiąc, ta sama powieść przyniosła mu Nagrodę Kościelskich.

COŚ W STYLU PSYCHOZY

W trakcie ostatnich wyborów prezydenckich wypowiadał się zdecydowanie; po drugiej kadencji Andrzeja Dudy nie spodziewa się raczej niczego dobrego, ale np. suchej nitki nie zostawił na kandydacie Hołowni, wieszcząc, że „cały ten projekt polityczny bazujący na próżności i bużującym ego telewizyjnego celebryty skończy się za parę lat tam, gdzie skończył dziś pan piosenkarz Kukiz i wszystkie »antypolityczne« kandydatury w stylu reality TV”.

Popierającym w wyborach Rafała Trzaskowskiego osobom publicznym zarzucił zaś, że „tradycyjnie nie potrafiły powstrzymać swojej pogardy” dla głosujących inaczej niż oni. Platformersi – pisał – agituja w ten sposób: „Głosujcie na naszego kandydata, chociaż się wami głęboko brzydzimy i chcemy świata, w którym osoby tak odrażające, śmierdzące wódką i kiełbasą nie będą miały nic do gadania”. Wtrąca przy okazji, że jemu akurat wódka i kiełbasa nie śmierdzą, co jest jednak populistycznym gestem z jego strony, gdyż z lektury „Wielorybów i ciem” wiem, iż pisarz gustuje w owocach morza, np. w langustynkach, których konsumpcje w Casablance opi-

suje wspaniale. I zrozumiałe jest dla mnie, że podniesienie stawki podatku VAT na rzeczowe langustynki, czego dokonał PiS-owski rząd, musiał pisarz przyjąć ze zgrozą, którą zresztą w pełni podzielałam.

Przypomniał mi się w tym miejscu niegdyś, jak zwykle mało przytomny, atak krytyczki Dunin po którymś z niepasujących jej wywiadów Twardocha, tak go podsumowującej: „Interesują go głównie przedłużenia własnego: kasa, sława, udana rodzina, samochód, pływanie na jachcie, eleganckie garnitury. A poza tym nie imponuje mu »lewica, która potrafi tylko kwilić«. Wolałby taką, która »pobije skina«. Jego prawo, jego wybór. I nie jest w tym odosobniony, tylko nie każdemu się udaje tyle zarobić”.

Tego, że na lewicowości – prawdziwej czy udawanej – zarabia się bez porównania więcej niż na wszelkiej maści konserwatyzmie, nie trzeba nikomu tłumaczyć. A osiągnięcia materialnego dostatku mogą pisarzowi jedynie pogratulować; za długo żyliśmy w państwie, w którym „chudego literata” stawiano za wzór wszystkim piszącym.

Zastanowić może jednak w książce „Jak nie zostałem poetą”, skądinąd złożonej z tekstów drukowanych wcześniej w miesięczniku „Pani”, osobliwe wyznanie autora: „Ciągle nie zdecydowałem, czy uprawianie literatury jest dla mnie po prostu zawodem, czy może raczej czymś w rodzaju choroby psychicznej. W tej chwili skłaniam się raczej ku tej drugiej możliwości. Uprawianie literatury wydaje mi się teraz czymś w stylu psychozy maniakalno-depresyjnej. Na szczęście płatnej”.

ANTYREWOLUCJA U BRAM

Jak w swoich książkach prezentował Szczepan Twardoch naszą polską rzeczywistość? Na pewno bez upiększeń. Dajmy na to, antykomunistycznych działaczy pokazywał jeśli nie karykaturalnie, to zawsze z dozą ironii i, niestety, z niemałą znajomością rzeczy tego świata: „Może za którymś z tych ciągle rozświetlonych okien miasta ciągle się powielacz – wspominał lata 80. w »Przemienieniu« – na kredensie stoi bimber, z kasety cieknie nagrany na koncercie Kaczmarek, a każdy z pięciu zebranych w pokoju opo-zy-



cjonistów słusznie podejrzewa kolegów o to, że kapują na SB”.

Wydane w 2008 r. „Przemienienie” jest książką w dorobku Szczepana Twardocha bardzo ważną. Nie tylko ze względu na znaczący, w świetle naszych tu rozważań, tytuł. Jest to zatracająca (ale tylko zatracająca) o political fiction opowieść o końcowych latach komuny w tle z walką reżimu z Kościołem. Ale... czy to była walka?

Główni bohaterowie powieści, esbecy, oczywiście tylko wybrani, zorientowali się – na tyle byli bystrzy – że katolicyzm nie ma sensu zwalczać, że trzeba go rozgrywać. Po to w końcu powstawały specjalnie do tego przygotowane stowarzyszenia i redakcje pism, w których patriotycznie i postępowo nastawieni księża profesorowie pisali na zlecenie resortu artykuły o tym, że Wyszyński jest zły i ograniczony wstecznik. Co ważne jednak, artykuły te nie powstawały z pozycji dbałości o dobro socjalistycznej ojczyzny, lecz z dbałości o dobro Kościoła posoborowego. To już zdecydowanie nie były czasy Związku Wojujących Bezbożników ani nawet księży-patriotów z lat stalinowskich. Za to co mądrzejsi wiedzieli, że „im Kościół liberalniejszy, tym słabszy”.

Najbardziej negatywną postacią okazuje się płk Drzewiecki, naprawdę Mojżesz Holzman, po marcu 1968 r. niby usunię-

ty z resortu, naprawdę jednak jego szara eminencja, szef niejawnej struktury prowadzącej wyrafinowaną grę z Kościołem. Bohater „Przemienienia” dowiaduje się jednak, że to on właśnie jest winny śmierci jego biologicznych rodziców, a zatem musi ponieść konsekwencje: „Antek nie żałował życia, które mu odebrano, nie zamierzał również przejść na drugą stronę barykady tylko dlatego, że ojciec strzelał do tych, których Antoniemu Szarzyńskiemu prezentowano na zajęciach w Legionowie jako bohaterów z heroicznych początków resortu. Widział, jak nędzni są to ludzie, nie imponowali mu jednak również ci przegrani partyzanci, którzy podejmowali walkę w imię czegoś, czego Antek nie potrafił nawet zrozumieć”.

Zwraca uwagę charakterystyka głównego bohatera, owego Antka, sporządzona przez profesora psychologii na potrzeby esbeckiej „akademii” w Legionowie: „Inteligentny, chłodny, niepoddający się ani emocjom, ani odruchom o charakterze moralnym. Przystosowuje się do norm panujących w społeczeństwie, dekodując je z zachowań innych, na zasadzie intelektualnego uznania konieczności ich przestrzegania, nie na zasadzie wewnętrznej potrzeby”. Nie mogła wpisać do tej charakterystyki narzucającej się wręcz „osobowości psychopatycznej”. Czytamy bowiem: „Psychopata to nie jakiś świr albo szaleniec, tylko po prostu człowiek analizujący świat relacji społecznych i podejmujący decyzje na podstawie chłodnej analizy”.

Jeśli zaś chodzi o esbecką strukturę, to słusznie domyślał się, że jej głównym celem jest przygotowanie resortu na nieuchronne zmiany, które zbliżały się szybkimi krokami. A może i o coś więcej. Drzewiecki bowiem marzył: „To dziejowy zwrot, który nadejdzie, a w którym Europa odzyska swoją tożsamość i stanie się na powrót podmiotem, a nie przedmiotem historii”. „Kościół – tłumaczył – to tylko jeden z frontów, na których walczymy. Prawdziwą wartością jest dla nas Europa, jej wojownicze, starodawne cnoty. Naszym wrogiem jest Europa zgnuśniala, której jedynym zmartwieciem są brzuch i kabza”.

„Aby Europę zmienić – wyjaśniał – muszę dokonać się dwa przemienienia. Pierwszym jest zniesienie granic, które dzielą naszą cywilizację na dwoje. Obóz socjalistyczny zniknie, znikną granice. Europa stopi się w jedno. To na rzecz tego przemienienia odbywa się cała nasza praca, wewnątrz służb specjalnych w różnych krajach wewnątrz Kościoła, w rządach i w organizacjach międzynarodowych. Kiedy więc Europa będzie jednością, pierwsze przemienienie się zakończy. Jednak to przecież nie Europa nabijania kabzy, nie Europa powszechnego dobrobytu nas interesuje i wtedy przyjdzie czas na przygotowanie drugiego przemienienia”, a wtedy „[...] wpływy zamienimy w kontrolę. Będziemy liberalni i demokratyczni do obrzydzenia i kiedy już będziemy kontrolować tę zjednoczoną Europę, to zalejemy ludzi takim potokiem liberalnych swobód, że przekroczymy masę krytyczną i niejako samoistnie wybuchnie w Europie coś na kształt liberalnej antyrewolucji. Ludziom zbrzydnie w końcu napychanie kabzy i brzucha i będą chcieli czegoś więcej. Oczywiście, my staniemy na czele tej antyrewolucji i my damy im to, czego będą chcieli – szansę na wielkość. Ta antyrewolucja zmiecie wszystko, co kojarzy nam się ze starą, czyli współczesną, Europą, zmiecie demokrację z partiami politycznymi, zmiecie Kościół, zmiecie kapitalistów i ich firmy, z niej wyłonią się zupełnie nowi ludzie. I ty, Antku, możesz być jednym z tych, którzy będą na czele tego wielkiego, historycznego procesu [...]”.

Bohater powieści Twardocha robi jednak co innego – podrzyga gardło społecznemu wizjonerowi i mordercy swoich rodziców w jednej osobie. Co się z nim później stanie? Może poprosi o schronienie Amerykanów, okupując się mocnymi kwitami z sejfu Drzewieckiego, a może posmakuje w zabijaniu, bo trup ściele się za nim gęsto... Wybór zależy od czytelników „Przemienienia”, w którym rozbrzmiewa echo głośnej w momencie powstawania powieści książki ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego „Księża wobec bezpieki na przykładzie archidiecezji krakowskiej”.

PO ŚLADACH MAGDY CIEŃ

Znany jest Twardoch z ostrego języka, niestroniącego od wulgaryzmów. Po tym, jak od Rady Języka Polskiego otrzymał w zeszłym roku tytuł Ambasadora Polszczyzny w Piśmie, przyznał, że „słów

powszechnie uznawanych za obelżywe używam – nawet w piśmie – częściej niż chociażby imiesłówów zaprzecznych, jednak do przeszłości odchodzą już chyba, na szczęście, inteligenckie wzorce »pięknej polszczyzny«, których jedyną funkcją była klasowa dystynkcja i systemowa pogarda [wężykiem, Jasiu, wężykiem – przyp. K.M.]”.

I znów przynudzał niczym Kukiz o JOW-ach, że „śląski jest językiem, po śląsku nie tylko godomy, ale też tłumaczymy na śląski programy komputerowe, wydajemy po śląsku książki, na przykład moje powieści, które pięknie na śląski przekłada Grzegorz Kulik, prowadzący też teraz prace nad śląskim słownikiem i gramatyką. Nie robimy tego dla hecy, albo jakbyśmy powiedzieli po śląsku, do szpasu, robimy to z miłości do tego języka.

Język ten jednak bez wsparcia państwa polskiego nie przetrwa, nie przetrwa nawet w tak szczątkowej formie, w jakiej trwają uzależnione od państwowej opieki małe języki Europy, jak na przykład luksemburski czy irlandzki”.

Wcześniej, gdy bluznął na Polskę z samych trzewi, uzasadnił bluzg, zapewniając: „Nie wypowiadam się na temat autonomii, nie wiem, czy Śląsk poradziłby sobie jako region autonomiczny, to jest kwestia ekonomiczna i organizacyjna. Wiem natomiast, że Ślązacy zasługują na uznanie swojej odrębności etnicznej. To jest jedno z elementarnych praw człowieka i ta odrębność wynika z historii po prostu. Nie spadliśmy z Księżyca wczoraj, jesteśmy tu od zawsze, a przynajmniej od dawna. To Polska do nas przyszła, a nie odwrotnie”.

Tak się jednak składa, że to z Ruchu Autonomii Śląska, uzurpującego sobie prawo do niemal wyłączności w reprezentowaniu Ślązaków, płyną pogardliwe wypowiedzi o Polsce i Polakach. A odnośnie do tego, do kogo przyszła Polska, a kto do niej przyszedł, to nasuwa mi się porównanie Twardochowej postawy z Rymkiewiczową. Myślę tutaj, oczywiście, o Jarosławie Marku Rymkiewiczzu, który stwierdził, że najprawdopodobniej nie ma w sobie ani kropli krwi polskiej. Nie pyta jednak o to, co ojczyzna robi dla niego, a co powinna zrobić; pilnuje swoich wobec niej obowiązków. Prywatnych i publicznych.

Czas pandemii Twardoch spożytkował m.in. na pisanie w odcinkach, do spółki z Łukaszem Orbitowskim, historii detektywa Zdzisława Zarazka. W zamie-

rzeniach miała ona „rozjaśniać ponure dni”, mnie jednak wprowadziła w nastrój jeszcze bardziej ponury, jako że ma się do takich powieści jak „Wieczny Grunwald” Twardocha czy „Kult” Orbitowskiego jak pięść do nosa.

Sięgnijmy po „Na zarazę Zarazek”: „Premier przewrócił oczami. Na jego strudzonych barkach spoczywała nie tylko odpowiedzialność za cały kraj, za swoje decyzje odpowiadał nie tylko przed historią, nie tylko przed wyborcami, ale, co najgorsze, przede wszystkim przed mściwym, złośliwym staruszką, którego boli sztuczne kolano, który nie kocha nikogo i gardzi wszystkimi poza swoją sekretarką, niczym Czyngis Chan partyjnej intrygi uwielbia zostawiać za sobą pożogę, który tak, jak Henryk V odrzucił Falstaffa, nie wahał się odrzucić swych najbliższych przyjaciół, gdy tylko zdobył upragnioną władzę...”

Swoją drogą, zamyślił się premier, jak różnie mogą się starzeć ludzie. Przecież mecenas Lek jest rówieśnikiem mściwego staruszka, studiowali nawet na jednym roku, a czy patrząc na sprężyste-go, dziarskiego, niestroniącego od kobiet i alkoholu Leka, ktokolwiek nazwałby go staruszką?”.

Zagadnienie, kogo podstawić można pod mecenasa Leka, pozostawiam docieklowości czytelników tasiemca, któremu patronuje pamiętna jeszcze z czasów Urbanowej świetności Magda Cień.

We wrześniu ukaże się nowa powieść Twardocha – „Pokora”. Nie, nie będzie ona dowodem pisarskiej pokory. Pisarz opowiedzieć chce nam o perypetiach lejtanta Pokory. Cóż, przeczytamy, zobaczymy. W każdym razie kolejnego przemienienia autora się nie spodziewam. Na swojej górze Tabor doszedł do miejsca, w którym czuje się wygodnie, a powiewająca nad nim tęcza flaga zapewnia mu jakże świetną pozycję rzekomego nonkonformisty, w głębokim poważaniu mającego polskie przepychanki, polskie piekło i niebo.

Naturalnie, postawił kiedyś pisarz przed sobą ważne i może potrzebne zadanie: redefinicję polskości jako takiej. Tyle że w wydaniu Szczepana Twardocha wybrzmiało ono następująco – cytuję: „Pierdol się, Polsko”. Trudno stwierdzić, jak odpowie mu Polska, czy przypadkiem nie równie dosadnie: „Pierdol się, Twardoch”. Z całym swoim przemienieniem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2020



U boku Wojciecha Manna oraz Magdy Jethon miał powstać azyl dla dziennikarzy, którzy zdecydowali się na odejście z mediów publicznych

FOT. GRZEGORZ JAKUBOWSKI/PAP

Nowy Wspaniały Świat



Marcin Makowski

Rozgłośnia, która w manifestie założycielskim obiecywała przestrzeń wolnej debaty, miesiąc po starcie zamieniła się we własną antytezę

Piotra Jedlińskiego, byłego już prezesa oraz współzałożyciela Radia Nowy Świat, pozbyto się nie tylko bezceremonialnie, lecz także po fakcie starano się zatuzować, że do dymisji został przez swoich współpracowników po prostu zmuszony. Stało się tak, ponieważ bronił prawa zwracania się do niebinarnego aktywisty

LGBTQ Michała Sz. zgodnie z jego płcią biologiczną.

„Magda Jethon przeniosła do nas wszystkie NAJGORSZE wzorce Trójki, ufa w swoją umiejętność mataczenia” – napisał Jedliński, gdy zdał sobie sprawę, że jego stanowisko zostało poświęcone w zamian za zahamowanie odpływu internetowych darczyńców, wyraża-

jących oburzenie wobec „transfobii” dziennikarza.

Co znamienne, po skandalu z ręcznym sterowaniem „Listą przebojów”, Trójkę w geście sprzeciwu ogarnęła fala dymisji. Za Jedlińskim w Nowym Świecie publicznie nie wstawił się nikt.

„RADIO Z MISJĄ”

Po majowej aferze z piosenką Kazika „Twój ból jest lepszy niż mój” wydawało się, że Trójki nie da się już uratować. Szef muzyczny radia Piotr Metz najpierw rzucił papierami, a później pokazał SMS-a, którego o godz. 3 dostał od Tomasza Kowalczewskiego. „Piotrze, dopilnuj, aby piosenka, o której

rozmawialiśmy, nie była na antenie” – pisał ówczesny dyrektor stacji.

W gorącej politycznie atmosferze nadchodzących wyborów prezydenckich kolejne legendy Myśliwieckiej składały wypowiedzenia. U boku Wojciecha Manna oraz Magdy Jethon, byłej szefowej rozgłośni, mieli założyć azyl dla dziennikarzy, którzy nie godzili się na cenzurę mediów publicznych. „Naszym celem jest stworzenie pierwszego radia komercyjnego z misją. [...] A ponad wszystko trzymać pion i poziom” – obiecywało Radio Nowy Świat na oficjalnym portalu.

Z perspektywy dorobku twórców i odpowiedzi na nastroje społeczne było komercyjnym strzałem w dziesiątkę. Tempo internetowej zbiórki oraz rozwój projektu zaskoczył jednak nawet twórców. Ponieważ deklarowane wpłaty w serwisie Patronite przebiegały kolejne rekordy, dochodząc do ponad 730 tys. zł miesięcznie, naprędce powołano spółkę z o.o. Ratujmy Trójkę. Jej czterech udziałowców – z Piotrem Jedlińskim na czele – zapewniało o „wyznaczeniu nowej jakości na polskim rynku medialnym”, opartej na „najlepszych tradycjach dawnej Trójki”. To był ich mit i kapitał założycielski.

Jak się później okazało, właśnie forma utrzymywania przedsięwzięcia – obok światopoglądowego oburzenia – okazała się pośrednią przyczyną dymisji prezesa. „Wiedzieliśmy, że bez stabilnego finansowania cały projekt nie będzie miał racji bytu. Rozważaliśmy różne opcje, ale na wszystkie spoglądaliśmy przez pryzmat jednej wartości – pełnej niezależności. Chcieliśmy stworzyć radio, które łamie schematy – a to wymaga wolności w podejmowaniu decyzji. Postanowiliśmy więc działać nieszablonowo i oddać decyzję o finansowaniu całego projektu w ręce... słuchaczy” – chwalili się twórcy na stronie zbiórki.

W momencie, w którym ustalono, aby w piątek 7 sierpnia w audycjach Nowego Świata używać zgodnej z dokumentami oraz aktami sądowymi formy „aktywista Michał Sz”, a nie „aktywistka Małgorzata »Margot« Sz”, słuchacze w praktyce wzięli sprawy w swoje ręce. Pierwszy na Facebooku odezwał się Mike Urbaniak. „Bardzo to jest ŻENUJĄCE i HANIEBNE, że Radio Nowy Świat nazywa w serwisach informacyjnych Margot Michałem Sz. Wstydzicie się, k...a, wstydzicie się! Zmieńcie sobie nazwę na Stary Świat, bo nieustannie w nim tkwicie” – stwierdził krytyk teatralny, za którym ruszyło rosnące grono oburzonych.

– To był, dzisiaj widać to wyraźnie, test na prawdziwą niezależność radia. Zamiast zorganizować debatę o tożsamości płciowej i skonfrontować różne poglądy z psychologami i ze słuchaczami, postanowiono Piotrkowi w fatalnym stylu podziękować. Cieszę się, że zostałem w Trójce, choć miałem chwilę zawahania – mówi jeden z obecnych i wieloletnich dziennikarzy stacji w rozmowie z „Do Rzeczy”. – Dzisiaj to wobec nas niektóre media stosują czarny PR, a wyrzucanie prezesa za zwykły, niespecjalnie kontrowersyjny pogląd im nie przeszkadza – dodaje.

„OSTATECZNIE CZŁOWIEK MUSI SIĘ OPowiedzieć”

Wielu moich rozmówców ze starej oraz aktualnej ekipy Programu Trzeciego obrót wypadków w Nowym Świecie nie dziwi. Trzeba sobie przypomnieć, kim za rządów PO-PSL była jego obecna naczelna, Magdalena Jethon, i jakie medium tworzyła – mówią. Symbolem i zwieńczeniem wizji Polski ówczesnego kierownictwa stacji była akcja „Orzeł może”, która 2 maja 2013 r. pod patronatem prezydenta Bronisława Komorowskiego oraz ze wsparciem „Gazety Wyborczej” wyprowadziła na ulice Warszawy „wesoły pochód” z dwumetrowym orłem z białej czekolady na czele. „Nie wolno poddawać się propagandzie kłeski i narodowemu masochizmowi. Nie ma zgody na szczenie jadu i obrzydzanie ojczyzny – zwłaszcza że za oknem wreszcie wiosna” – tak do udziału w kampanii zachęcał na łamach „Wyborczej” jej wicenaczelny Jarosław Kurski.

Dyrektor Trójki przekonywała zaś: „Chcemy pokazać, że w nas, Polakach, jest potencjał, że potrafimy robić rzeczy fantastyczne, niepowtarzalne i możemy być z nich dumni. Chcemy mówić też o tym, że optymizmu i uśmiechu można się nauczyć”.

Nie przez przypadek właśnie od tego wydarzenia swoją książkę „TurboPATRIOTYZM”, diagnozującą przyczyny światopoglądowych podziałów w Polsce, rozpoczyna Marcin Napiórkowski. „To w 2013 roku, w samym środku piknikowego długiego weekendu, przestał nagle działać czar softpatriotyzmu, a pewny siebie uśmiech »fajnych Polaków« niepostrzeżenie zamienił się w śmieszność” – pisze semiotyk kultury z Uniwersytetu Warszawskiego. W tym czasie rozdawano fioletowe okulary, w których w telewizji występował doradca prezydenta prof. Tomasz Nałęcz, rozrzuca-

no po miastach „pocztówki z zabawnymi patriotycznymi wierszykami”, w konkursach można było wygrać zegarki z orłem pokazującym symbol OK. Barwy narodowe znalazły się w Dniu Flagi niejako na drugim miejscu – pisali siedem lat temu konserwatywni publicyści.

– W pewnym momencie Trójka tak się zespoliła z władzą, że na redakcyjnej ścianie, na której goście zostawiali markerem swoje autografy, podpis Bronisława Komorowskiego postanowiono oprawić w specjalną ramkę. Takie to były czasy, ale mówiąc szczerze, teraz nie są lepsze – słyszę od jednego z dziennikarzy stacji. Po rozstaniu się z radiem Magdalena Jethon płynnie przeszła do działalności opozycyjnej, współtworząc portal Komitetu Obrony Demokracji koduj24.pl. Później, w 2017 r., w wywiadzie dla Roberta Mazurka w „Dzienniku Gazecie Prawnej” wyznała już wprost, że „strasznie ją ten Kaczor wpieprza”, że w pewnym momencie, także w mediach, zamiast symetryzować, trzeba dać temu wyraz.

Dopytywana, jako wzór rzetelności i punkt wyjścia przedstawiła tygodnik „Polityka”. „Być może, że się trochę zradzykalizowałam, ale nigdy nikogo nie nawoływałam do nienawiści” – przekonywała dziennikarka, zaznaczając, że „choroba obiektywizmu bywa czasami zła”. Podobną diagnozę rzeźwistości polityczno-medialnej prezentują również inne osoby z władz Radio Nowy Świat. „Jerzy Sosnowski napisał u pani [na portalu koduj24.pl – przyp. M.M.): »Sytuacja w Polsce zmusza nas do wybrania strony konfliktu. Środek zniknął – żałuję, ale już go nie ma«. Czy trzeba się w tej wojnie opowiedzieć” – drażył w cytowanym wywiadzie Mazurek.

„W jakimś sensie Sosnowski ma rację. Można dzielić włos na czworo, można dzielić rację, ale ostatecznie i tak człowiek musi się opowiedzieć. Ja też panu powiem, że program »500+« jest dobry, ale to nie znaczy, że wspieram rząd” – odparła Jethon. Stwierdziła również, że środek zniknął „nie dlatego, że ja czy Sosnowski tego chcieliśmy, ale tak się po prostu stało”. W tej sytuacji nie ma już ludzi, którzy mogą stać w rozkroku na barykadzie.

„KOREPETYCJE Z WOLNOŚCI”

Wróćmy do aktualnych wydarzeń. Sytuacja wokół Piotra Jedlińskiego z godziny na godzinę zaczynała gęstnieć, ■

■ w e-mailach oraz pod postami na zamkniętej facebookowej grupie fanów Nowego Świata domagano się zwolnienia prezesa i skorygowania sposobu, w jaki na antenie odnoszono się do „Margot”. Jeszcze w sobotę 8 sierpnia Jedliński próbował się bronić. „Jeżeli »Margot« oraz akolici, tak bardzo apelują o poszanowanie wolności, to dlaczego nie szanują wolności mediów oraz mojej, jako osoby? Dlaczego chcą mi na siłę narzucić sposób postrzegania świata, zmuszając, żebym określał kogoś, kogo odbieram jako mężczyznę, zaimkami żeńskimi? [...] Trwa zmasowany atak, któremu się nie poddam. Widzę, że młodzi ludzie przyzwyczaili się, że jeżeli się kogoś opluwa, to ten się poddaje. [...] Zapraszam opluwających na korepetycje z wolności. Bo to, co robicie, z wolnością nie ma nic wspólnego. Ma za to wszystko z nietolerancji, szantażu i dyktatury” – napisał w mediach społecznościowych.

Bił się, bo to było w dużej mierze jego medialne dziecko, którego nie chciał oddawać walkowerem. „Tempo przygotowań jest mordercze. Nie mieliśmy na to 2–3 miesiące – zrobiliśmy to w jakieś 3 tygodnie. [...] Chcemy stworzyć pewnego rodzaju społeczność okołoradiową. W innych stacjach redaktor mówi do mikrofonu, a gdzieś tam dalej są wirtualni słuchacze. U nas słuchacie tym żyją, jesteśmy z nimi w stałym kontakcie” – mówił Jedliński na portalu SpidersWeb, przedstawiając wizję rozgłośni oraz gorącą atmosferę, w której zarywano noce, aby ze wszystkim zdążyć na czas.

Czasu nie dali mu jednak redakcyjni koledzy i koleżanki. Dzień później, 9 sierpnia, opublikowali następujące oświadczenie: „Zastosowana przez nas forma męskoosobowa (»aktywista«) w odniesieniu do »Margot« była nieintencjonalnym błędem, który w żadnej mierze nie definiuje stanowiska Radia Nowy Świat wobec wspomnianych osób i wydarzeń. [...] pragniemy podkreślić, że wpis Piotra Jedlińskiego jest jego prywatną opinią. [...] Państwa błyskawiczna reakcja na użycie przez nas niewłaściwych określeń buduje w nas poczucie wyjątkowej odpowiedzialności, którą wzięliśmy na swoje barki, decydując się na relacjonowanie dramatycznych wydarzeń mających miejsce na ulicach wielu miast w Polsce”. Pod listem wystosowanym w imieniu całej rozgłośni podpisali się Magda Jethon, Anna Krakowska, Patrycja Macjon, Jan Chojnacki,

Nie pomogło oświadczenie prezesa, w którym składając samokrytykę, zapewniał, że „miał na celu obronę niezależności radia przed naciskami opinii publicznej”

Krzysztof Łuszczewski, Wojciech Mann i Jerzy Sosnowski.

Nie pomogło opublikowane chwilę później oświadczenie prezesa, w którym składając samokrytykę, zapewniał, że „miał na celu obronę niezależności radia przed naciskami opinii publicznej”, „dalsze działanie władzy zmieniło w jego oczach kontekst całej sprawy” oraz „w konflikcie między prześladowcami i prześladowanymi stoi po stronie prześladowanych”. Presja rośnie. „Piotr Jedliński, prezes spółki wydającej Radio Nowy Świat, nie jest w stanie zrozumieć, że jest transfobem, i mimo setek głosów wyjaśniających mu ten stan nadal brnie i myli wolność słowa z poszanowaniem innych osób” – komentuje pisarka Sylwia Chutnik, domagając się przy tym „oddżbanienia” albo „zdelegalizowania Polski”.

Następnego dnia Jedliński zostaje zwolniony. „Szczególnie, jako że opuściłem Radio Nowy Świat, szukam pracy. Gdyby ktoś, coś” – dopytywał na Facebooku. Wieczorem 10 sierpnia na antenie Nowego Świata Jerzy Sosnowski poprowadził audycję o wolności słowa. – Co jej zagraża od zewnątrz i co jej zagraża od środka? Obawiamy się cenzury, to jasne; ale czy nieodpowiedzialne korzystanie z wolności słowa także nie niszczy możliwości społecznego porozumienia? – pytał dziennikarz. „Niesamowite. Ktoś z mediów poniósł konsekwencje za transfobiczny język. Na naszych oczach dokonuje się zmiana w dziennikarskiej świadomości” – ogłosiła sukces Agata Kowalska, była dziennikarka TOK FM.

„DOBRZE BY BYŁO, ŻEBYŚ PODAŁ SIĘ DO DYMISJI”

– W Trójce są dzisiaj różne osoby. Jedne wspierają ruchy LGBT, inne podchodzą do ich postulatów z dystansem. Wielu z nas uważa jednak, że to, co się stało w Nowym Świecie, to absurd i posunięcia do granic poprawność polityczna. Ale oczywiście to oni są obiektywni. Trzymają pion i poziom, który sami wyznaczają

i którego na końcu są arbitrami – mówi mi dziennikarz, który prosi o anonimowość. I na tym sprawa mogłaby się skończyć, bo większość słuchaczy radia do zwolnienia prezesa podeszła albo z ulgą, albo z obojętnością, a sama stacja pozbawiła się problemu wizerunkowego, ale Jedliński nie miał zamiaru milczeć. Odnosił się do tekstu opublikowanego 13 sierpnia na łamach „Gazety Wyborczej”, w którym zarówno Magdalena Jethon, jak i Jerzy Sosnowski przekonywali, że nikt nie zmuszał go do dymisji. W kontrze do tych relacji zacytował e-mail, który otrzymał od tego ostatniego.

„Dla wizerunku RNŚ, dla ucięcia wątpliwości patronów i dla zamknięcia ust nieżyczliwym krytykom byłoby wg mnie optymalne, żebyś, Piotrze, nie obrażając się na nas, tylko rozumiejąc delikatną sytuację całego przedsięwzięcia, podał się do dymisji...” – pisał Sosnowski.

– Sytuacja w Radiu Nowy Świat jest taka, że z medium, jakie wam obiecywałem, prosząc o sfinansowanie tego pomysłu, mającym być niezależnym, obiektywnym, prezentującym różnorodny obraz świata i otaczającej nas rzeczywistości, zapraszającym komentatorów o różnych poglądach, staliśmy się skrzywionym ideologicznie medium, którego udziałowcy, zamiast sikać pod wiatr, robią pod siebie – podsumował gorzko sytuację Jedliński. Najtrudniejszy dla siebie fragment zostawił na koniec. „Jak widać, pani Magda Jethon, która przeniosła do nas wszystkie NAJGORSZE wzorce Trójki, ufna w swoją umiejętność matczenia, które do tej pory było tolerowane, wiedząc, jak bardzo mi zależy na Radiu Nowy Świat, była pewna, że nawet widząc tak beczelne kłamstwo, obciążające mnie w pełni za sytuację, »zamknę pysk«. Bardzo przepraszam wspaniałych ludzi [...] pracowników oraz współpracowników za mój wpis. Może być brzemienne w skutkach. Jesteście profesjonalistami w każdym calu, tworzyście wspaniały zespół, naprawdę kocham was, jednak są granice upadłania człowieka” – spuentował dziennikarz.

Nikt z ludzi, z którymi zakładał Radio Nowy Świat, nie stanął publicznie w jego obronie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Postscriptum:

Tekst powstał przed odwołaniem Kuby Strzyczkowskiego ze stanowiska dyrektora i redaktora naczelnego radiowej Trójki.

ZA NAMI KONCERT „POTĘGA ZWYCIĘSTWA” Z OKAZJI 100. ROCZNICY BITWY WARSZAWSKIEJ

Telewizja Republika postanowiła włączyć się w obchody zwycięskiej Bitwy Warszawskiej i stworzyła muzyczno-filmowe widowisko, które jest hołdem i przypomnieniem dla walecznych oraz potomnych o doniosłości tego wydarzenia w historii Polski oraz Europy.

Zaprezentowaliśmy widzom najpopularniejsze pieśni patriotyczne w aranżach przygotowanych pod kierownictwem muzycznym Bartosza Smorągiewicza. Wokalistami, którzy wzięli udział w wydarzeniu byli: Reni Jusis, Kasia Dereń, Aurelia Luśnia, Izabela Buchowska oraz Krzysztof Kiljański. Reżyserem przedsięwzięcia był Kajetan Strąk.

Inscenizacje filmowe przygotowały aktorskie grupy rekonstrukcyjne, które wraz z muzykami i Telewizją Republika, zgodziły się wspólnie uczcić zwycięską Bitwę Warszawską.

DZIĘKUJEMY, ŻE SPĘDZILIŚCIE Z NAMI
TEN NIEZAPOMNIANY WIECZÓR!



PARTNERZY STRATEGICZNI:

FUNDACJA
KGHM
POLSKA MIEDŹ



KOPRODUCENT:

niepodległa

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania
niepodległości oraz odbudowy polskiej państwowości.
eprasa.pl 1b143bca24



Rafał A. Ziemkiewicz

Opozycja dała się Kaczyńskiemu rozegrać jak dzieci – brzmi najczęściej powtarzany komentarz do nieudanej próby podniesienia wynagrodzeń posłów. To jednak od opozycji, a nie od PiS, wyszła inicjatywa ustawy, za którą dziś politycy PO, PSL i Lewicy składają upokarzające samokrytyki

To opozycja nalegała także na przyjęcie podwyżki w przyspieszonym trybie, przed przerwą w pracach parlamentu. Rola Jarosława

Kaczyńskiego ograniczyła się do przyzwolenia i, by sparafrazować dosadne porzekadło, życzliwego przyglądania się, jak krowa sama zakłada sobie wrotki.

Sprawa niedoszłej podwyżki poselskich i urzędniczych uposażeń ma bowiem drugie dno, które umknęło uwadze większości komentatorów. Zresztą po to właśnie, by nie rzucało się ono w oczy, w przyjmowanej pośpiesznie ustawie wymieszano kilka różnych spraw. Powszechnie akceptowaną, którą jest przyznanie uposażenia pierwszej damie, mającą merytorycznie uzasadnienie, czyli podwyżki dla wysokich urzędników państwowych, kontrowersyjną – podniesienie diet poselskich, oraz zupełnie skandaliczną: zwiększenie o mniej więcej jedną trzecią rocznej dotacji budżetowej dla partii politycznych.

DOTACJĄ W HOŁOWNIĘ

Żadna z trzech pierwszych nie była aż tak pilna. Pilne było natomiast, z punktu widzenia PO, zwiększenie partyjnej dotacji. Dlatego łatwo się domyślić, że to o nią przede wszystkim w całej sprawie chodziło.

Niektórzy politycy PO mówili zresztą o tym otwarcie. Dziesięć dodatkowych milionów rocznie, czyli 30 mln do najbliższych wyborów, dałoby gwarancję przycłoczenia i zmarginalizowania ruchu Szymona Hołowni. A właśnie Hołownia jest w tej chwili największym zagrożeniem dla strategicznego celu PO, jakim jest utrzymanie do czasu kolejnych wyborów hegemonii w obozie „anty-PiS”. Dlatego za zwiększenie swej głównej przewagi nad



Drugie dno awantury o podwyżki

konkurentem gotowa była PO nawet zgodzić się na to, żeby dotacja dla PiS wzrosła jeszcze bardziej.

Hołownia na razie radzi sobie z polityką słabo, ale podobnie było w wyborach prezydenckich, i nie przeszkodziło mu to osiągnąć sukcesu. Wydaje się, że do utrzymywania wysokiego sondażowego poparcia wystarcza mu, że nie jest ani PO, ani PiS (ani Konfederacją, która dla jego wyborców pozostaje zbyt prawicowa, co znaczy dla nich „PiS-owska”). Wszystkie powyborcze sondaże pokazują, że jego ruch odbiera elektorat niemal wyłącznie „opozycji totalnej”, przede wszystkim PO, ale także Lewicy. Dla PSL zaś jest wręcz zagrożeniem śmiertelnym, bo spycha je pod próg wyborczy.

Natomiast w ogóle nie jest Hołownia problemem dla PiS, dlatego PO musiała dużo mu zaoferować. Fakt toczonych pod koniec lipca negocjacji ujawnił senator PSL Jan Filip Libicki. Przemilczał wprawdzie przyczynę, dla której je podjęto, ale można

to wyczytać pomiędzy wierszami jego opowieści. Dla PiS obietnica PO i reszty „totalnej opozycji”, że odejdą od deklarowanej „totalności”, zagłosują ramię w ramię z partią rządzącą i podzielią się z nią odium podniesienia wynagrodzeń prezydenta, premiera, ministrów i wiceministrów w czasie kryzysu, była atrakcyjna z oczywistych przyczyn. Sam fakt, że wszystkie nie do końca ze sobą spójne sprawy połączono w jednym głosowaniu, dowodzi jednak, że PiS do samego końca niezbyt ufał w jej szczerość i podejrzewał podstęp.

Podstępem nie było, opozycja zamierzała dotrzymać umowy i mimo niesprzyjającego momentu uchwalić niepopularną podwyżkę – w przekonaniu, że krzyk, który się podniesie, potrwa krótko, a korzyści będą długotrwałe. Dowodzi tego lista argumentów, jakimi posłowie i senatorowie PO mieli bronić podwyżek, przygotowana i rozesłana do nich przez partyjnych spin doktorów, a ujawniona przez Onet, jak na urągawisko, właśnie w chwili, gdy kie-



Borys Budka (z lewej), kając się przed kamerami, ośmieszył też rzekomą „niezależność” senatorów PO. FOT. TOMASZ GZELL/PAP

rownictwo partii diametralnie zmieniło zdanie. Zresztą trzeba przyznać, że duża część tych argumentów była wyjątkowo jak na „opozycję totalną” trafna. Dzięki pomysłowi trwałego powiązania zarobków polityków, poprzez wynagrodzenia sędziowskie, ze średnią krajową, powstał ostatecznie w tych negocjacjach projekt merytorycznie całkiem do przyjęcia, tak że nawet Konfederacja, która jako jedyna samodzielna partia konsekwentnie zagłosowała przeciwko, motywowała to nie samą zawartością ustawy, ale trybem i momentem jej przegłosowania.

GŁOS OBYWATELI?

Kając się kilka dni później, Borys Budka wyjaśnił głosowanie za podwyżką słowami: „Chcieliśmy się kierować zdrowym rozsądkiem”. Nie zabrzmiało to dobrze w połączeniu z dalszą częścią wypowiedzi, o „wysłuchaniu się w głos obywateli”, bo lider PO właściwie zupełnie otwarcie przyznał się, że jego partia ponad zdrowy rozsądek przedkłada tak usilnie przez nią i jej medialne zaplecze potępiany „populizm”. Przy okazji ośmieszył też rzekomą „niezależność” senatorów PO, szczególnie w zestawieniu z komunikatem „marszałkissimusa” Grodzkiego, który we właściwym sobie kabotyńskim stylu poinformował w Internecie: „Senatorowie demokratycznej większości w swojej zbiorowej mądrości podjęli jedynie słuszną decyzję i odrzucili ustawę”.

Do poniedziałku partia i jej koalicjanci bronili podwyżek „jak niepodległości”, by od wtorku posypywać głowy popiołem i nie szczędząc siebie samych, przeproszać za błąd, a nawet za „głupotę”. Czy rzeczywiście zdecydowały o tym, jak twierdzili oni sami, „głos obywateli” i przybierająca nieprzewidziane rozmiary krytyka w mediach społecznościowych? Śmiem wątpić. Determinację PO w tej sprawie skruszyła postawa nie tyle „obywateli”, ile jednego, konkretnego obywatela, nawiasem mówiąc, przebywającego stale za granicą: Donalda Tuska.

„Mógł po prostu zadzwonić do Borysa, nie musiał nas atakować publicznie...” – cytowała jedna z gazet żale pragnącego zachować anonimowość działacza PO. Najwyraźniej nie zrozumiał on, że dla Tuska – skądinąd dzięki unijnemu Bizancjum prawdziwego krezusa, co przydało jego akcji szczególnego kolorytu – była to idealna okazja, i to podwójna. Po pierwsze, do pofolgowania mściwości, która ponoć – tak twierdził np. Aleksander Kwaśniewski w nagranej przez kelnerów rozmowie z Ryszardem Kaliszem – jest dominującą cechą jego usposobienia. „Królówi Europy” na pewno nie podobało się ogłoszenie go w kampanii Trzaskowskiego politycznym emerytem, tym bardziej że istotnie jest dziś odsunięty na boczny tor i, jak widać po jego twitterowym koncie, trawiony z tego powodu frustracją.

Ale szło Tuskowi także o odzyskanie wpływu na krajową politykę. Były premier od pewnego już czasu właściwie nie ukrywa, że na PO postawił już kreskę, nie wierzy, by ta partia mogła się jeszcze kiedyś podnieść i odzyskać wyborców. Dziś Tusk stawia na Hołownię, na budowany pod jego szyldem nowy ruch, który z natury będzie na tyle nieskładny, że stary polityczny wyjadacz bez trudu opanuje go za pomocą swoich politycznych klientów. Pierwszym już otwarciem przebiegającym do tego nogami jest Roman Giertych, który – wraz ze swą agenturą wpływu, którą od kilku lat cierpliwie buduje – także odegrał w upokorzeniu PO istotną rolę, działając w sposób wyraźnie skoordynowany z Tuskiem i wykorzystując kryzys do agitowania na rzecz Hołowni.

Ta agitacja i ton moralnego oburzenia uprawdopodobniły scenariusz, który Budkę autentycznie przeraził: że „zgrillowanie” PO przez Tuska zachęci część senatorów i posłów do porzucenia partii „skompromitowanej kolaboracją z PiS”

i przystąpienia do ruchu Hołowni, który zyskałby w ten sposób przedstawicielstwo w parlamencie. W obliczu takiego zagrożenia upokarzająca rejterada była jedynym wyjściem.

RZĄD DUSZ TUSKA

Tusk pokazał więc, że wciąż trzyma „rząd dusz” nad anty-pisem, a na dodatek poniżył Borysa Budkę, którego pozycja w partii osłabła teraz do tego stopnia, że mówi się o jego rychłym odsunięciu. Wpędził też swoją byłą partię jeszcze głębiej w ślepy zaułek, który najlepiej wyraził były rzecznik Trzaskowskiego, Kamil Dąbrowa: PO musi zawsze głosować przeciwko PiS, w każdej sprawie, nawet jeśli PiS akurat chce czegoś słusznego. Cała furia, jaka spadła na PO i jej przystawki ze strony liberalnego i lewicowego elektoratu, motywowana była zupełnie jawnie nie chęcią podniesienia sobie przez polityków zarobków, bo zgadzano się, że zarabiają za mało – ale faktem, że „totalna opozycja” ośmieliła się zagłosować tak samo jak PiS! I to w sprawie, w której, gdyby nie to, tak łatwo byłoby propagandzie rozpetać populistyczną nagonkę na „pazerną” władzę!

Z tego ostatniego PiS oczywiście zdaje sobie sprawę i ani myśli spełniać marzenia posłów i senatorów PO, żeby rządząca większość sama przegłosowała podwyżki, które opozycja weźmie, łącznie przy tym protestując. Marszałek Terlecki od razu zapowiedział, że weto Senatu zamyka sprawę. Trochę szkoda, bo Senat nie musiał „w swej zbiorowej mądrości” wypełniać tak gorliwie polecenia Borysa Budki i zamiast przydatnością maszynki do wetowania wszystkiego, co pochodzi od PiS, mógł wykazać się przydatnością, poprawiając ustawę, np. wzbogaceniem jej o vacatio legis. Okazja przepadła, mętne zapowiedzi „marszałkissimusa” stworzenia jakiejś komisji, która podejmie „kompleksowe” prace nad uregulowaniem zarobków polityków, to już czysta groteska.

Władza, jak zauważył przeżywający dziś na salonach renesans popularności Jerzy Urban, zawsze się wyżywi, więc PiS ma po całej sprawie najmniej powodów do zmartwienia. Opozycja, dzięki funduszom opanowanych przez nią miast, też jakoś sobie poradzi. A że patologii politycznych finansów dawno już się wszyscy przyzwyczaili i można być pewnym, że teraz długo nie znajdzie się nikt, kto miałby odwagę ponownie ją tknąć.

Japończyk znad Wisły

Henryk Wujec (1940–2020)



Henryk Wujec podczas internowania w stanie wojennym; Białoleka, 1982 r.

FOT. JANUSZ ONYSZKIEWICZ/FOTODINOVA

Zmarły 15 sierpnia Henryk Wujec był idealnym uzupełnieniem politycznych talentów, takich liderów lewicy laickiej jak Jacek Kuroń czy Adam Michnik. Wujec nadawał akcjom dysydentów cechy dobrze zaplanowanej i uporządkowanej pracy. Był w latach PRL człowiekiem sumienia, który przybył drogą od Klubów Inteligencji Katolickiej poprzez kontestację lat 60., aktywny udział w Marcu '68, odważną pomoc robotnikom Ursusa aż do ruchu Solidarności.

KOROWSKI ROLNIK

Lubił przedstawiać się jako prosty chłopak z Zamojszczyzny. Gdy już w epoce KOR jeden z podziemnych publicystów, Antoni Pawlak, opisał KSS KOR jako „dzieci polskiej inteligencji”, nie wymieniając nazwiska Wujca, który był wtedy korowcem – ten zareagował spokojną uwagą, że w pełni to rozumie, bo nie tylko nie jest inteligentem, ale chłopem i na dodatek nie polskim, ale – jak się u nich mówiło – tutejszym.

Urodził się w 25 grudnia 1940 r. we wsi Podlesie koło Biłgoraja. W oficjalnych dokumentach wpisana miał datę urodzin 1 czerwca 1941 r., ale był to zabieg ojca, który jak każdy wiejski rodzic chciał, by chłopiec miał późniejszy rocznik



Piotr Semka

„Gdyby każdy w Polsce robił tyle co Heniu Wujec, dawno już bylibyśmy drugą Japonią” – żartowali w latach 70. przyjaciele Wujca z Komitetu Obrony Robotników

i tym samym był brany do wojska o rok później – w gospodarstwach rolnych miało to spore znaczenie. W środowisku Kuronia i Michnika chłopskie korzenie Wujca były uznawane za ważne wzbogacenie tego środowiska. Wielkomiejscy inteligenci mieli niekiedy kompleks oderwania od ludu.

Jak wiele dzieci wiejskich z lat 50. młody Henryk połąkł bakcyła zainteresowania nauką. To dlatego w końcu lat 50. przybył do stolicy, by studiować fizykę na Politechnice Warszawskiej. Zawsze podkreślał, że jest głęboko wierzący, i początkowo trzymał się głównie Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie. Jednak ciekawy świata rewizjonistycznej, marksistowskiej quasi-opozycji dotarł do ludzi ze środowiska Jacka Kuronia, który zapraszał go na nieformalne spotkania w prywatnych domach pod szumną nazwą „seminariów robotniczo-studenckich”.

W październiku 1962 r. Karol Modzelewski przeformował powstanie Klubu Dyskusyjnego pod patronatem Związku Młodzieży Socjalistycznej i komitetu uczelnianego PZPR na Uniwersytecie Warszawskim. Kuroń chciał z ZMS stworzyć ośrodek rewizjonizmu i widząc studenta zainteresowanego dyskusjami, zaproponował Wujcowi wstąpienie do organizacji.

„Pamiętam taką rozmowę z Heniem Wujcem, wtedy studentem fizyki. Był bardzo gorliwym katolikiem. Mówił, że do nas [czyli klubu dyskusyjnego – przyp. P.S.] to on może wstąpić, ale przecież nie wstępuje do tylko nas, lecz do całej organizacji, która ma charakter ateistyczny, więc nie może tego zrobić. I rozstaliśmy się z niczym”.

Nawiązane wtedy kontakty opozycyjne okazują się jednak trwałe. Gdy nadchodził rok 1968, Wujec uczestniczył w demonst-

cji przeciw zdjęciu z afisza „Dziadów” Mickiewicza, a potem bierze udział w wiecach i strajkach studenckich na Uniwersytecie Warszawskim. Nie zostaje aresztowany, ale opinia o nim jako buntownika wstrzymuje mu drogę do magisterium. Podejmuje pracę w Fabryce Półprzewodników Tewa w Warszawie, z czasem dochodząc do stanowiska kierownika Laboratorium Badań Niezawodności. W 1970 r. zdobywa w końcu magisterium z fizyki na Politechnice i jest wtedy bardzo aktywny w środowisku młodych KIK. Od 1973 r. uczęszcza na nieoficjalne seminarium historyczne, poświęcone dziejom PRL w mieszkaniach prywatnych lub u ks. Jacka Salija u.o.o. dominikanów, a potem w latach 1974–1976 w seminariach historycznych Antoniego Macierewicza. W 1975 r. zbiera podpisy przeciw zmianom w Konstytucji PRL. To już początek powrotu do jawnej kontestacji systemu.

Gdy w 1976 r. wybuchły protesty robotników w Ursusie i Radomiu, a potem na strajkujących spadły represje – Wujec natychmiast włącza się w akcję pomocy. Należał do grupy, która chodziła na procesy robotników Ursusa. I tu znów wychodziły jego ludowe korzenie – to on najszybciej nawiązywał kontakt z nieufnymi robotnikami.

Wraz z harcerzami „Czarnej Jedyńki” i Wojciechem Onyszkiewiczem jeździ z pomocą do wyrzuconych z pracy robotników Ursusa. Potrafi wyciągać od ludzi relacje o przebiegu zajęć i bestialstwie milicji. Takie misje wymagają dużej wrażliwości, ale i trafnej oceny sytuacji materialnej rodziny. Pomagać nie można bez końca. Zaczyna się życie „zawodowe” opozycjonisty.

TYTAN PRACY

Wujec wspominał po latach: „W 1977 r. wywalili mnie z fabryki półprzewodników Tewa. Prosto z tego wywalenia poszedłem na głodówkę do kościoła św. Marcina, którą planowaliśmy od dłuższego czasu [...], żeby zmusić władzę do uwolnienia ostatnich robotników aresztowanych w Ursusie i Radomiu. Tuż przed głodówką wsadzili Macierewicza, Michnika, Kuronia i innych korowców, więc głodowaliśmy także w ich obronie”.

Ryszard Bugaj, który zaprzyjaźnił się z bohaterem tego tekstu w końcu lat 70., opowiada: „Jak gdzieś wychodziliśmy, to nagle Heniek zaczynał strasznie szybko biec. Gdy zadyszany pytałem, skąd taki pomysł – odpowiadał: »Jeśli mam

esbecki »ogon« to on też musi pobiec. To najlepszy test na wykrycie tajniaka«”.

31 października 1977 r. Komitet Obrony Robotników zamienia się w Komitet Samoobrony Społecznej KOR i Wujec już oficjalnie zostaje jego członkiem. „Henio” słynie w opozycji ze zdolności organizacyjnych. Na tle dość bałaganiarskiego i chaotycznego środowiska lewicy korowskiej jego uprządkowanie i solidność stają się dla nich błogosławieństwem. To on gromadzi podpisy pod kolejnymi protestami wysyłanymi do władz. Kolejnym z opozycji kojarzy się jako człowiek z dużą torbą, z której sumiennie i cierpliwie wyciąga kolejne formularze, aby podpisał je następny chętny. A jeszcze lepiej Wujec sprawdza się wraz z Heleną Łuczywo (późniejszą wiceszefową „Gazety Wyborczej”) i Janem Lityńskim jako redaktor „Robotnika”, pisma korowskiego skierowanego do załóg wielkich zakładów pracy.

Jackek Kuroń wspominał: „Heniek to tytan pracy. Drugiego tak pracowitego człowieka chyba nie znam. Potrafił pracować po kilkadziesiąt godzin z wielkim samozaparciem i taką pogodą, jakby to była oczywistość, że ludzie tak funkcjonują. Nigdy nie słyszałem od niego, że się zmęczył, przepracował. [...] Ruch porównać można do teatru amatorskiego. Przychodzą ludzie, każdy chce wystąpić i każdy pielegnuje gdzieś wewnątrz nadzieję, że zostanie gwiazdą. Ktoś jednak musi myć schody, ktoś musi pozamiatać i ktoś sprzedawać bilety. A ponieważ gwiazdy są w teatrze najważniejsze, to bardzo jest istotne, żeby dawały swoją osobą przykład mycia schodów, sprzątania i rozprowadzania biletów. [...] Dla Heli Łuczywo, dla Henia Wujca ten problem nie istniał. Zawsze robili wszystko i zawsze z wielką oczywistością”.

W 1979 r. staje się na chwilę głośną ofiarą esbeckiej demonstracji siły. Oto 9 i 21 marca do mieszkania Jacka Kuroń, w którym odbywają się wykłady tzw. uniwersytetu latającego, wdzierają się bojówki zorganizowane przez komunistyczny Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, złożone z karateków i ochroniarzy warszawskich dyskotek. Henryk Wujec zostaje dotkliwie pobity, co ma być ostrzeżeniem wobec reszty opozycjonistów.

W czasie karnawału Solidarności zostanie doradcą regionu Mazowsze i szefem kursów szkoleniowych dla kadr związku. Internowany po wybuchu stanu wojennego zostanie przez ekipę Jaruzel-

skiego zaliczony do czwórki działaczy KOR, którym obok dodatkowej siódemki działaczy Solidarności planowano wytoczyć pokazowy proces. Zwolniony w 1984 r. w ramach amnestii, trafia do więzienia raz jeszcze w 1986 r., by wyjść w tym samym roku na mocy kolejnej amnestii. W końcu lat 80. zostaje „żelaznym” sekretarzem kolejnych solidarnościowych gremiów. I wtedy, gdy ruch solidarnościowy zaczyna się pluralizować politycznie, zaczyna się krytyka Wujca jako kogoś, kto formalnie sekretarzuje organom całej Solidarności, faktycznie realizuje polityczną linię liderów lewej strony: Kuronia i Michnika. Prawica zarzuca mu faworyzowanie lewej strony przy ustalaniu przez Wujca list Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” na wybory 4 czerwca 1989 r.

Słynny list Wałęsy z 1 czerwca 1990 r. z krótką i arogancką informacją „czuj się odwołany” wywołuje oburzenie po stronie lewicy solidarnościowej. Nie tylko jednak, bo Wujec jest lubiany przez wielu ludzi. Jednak Wałęsa – niezależnie od aroganckiej formy odwołania – kierował się wtedy trafnym instynktem. Wujec w ślad za ówczesną linią Adama Michnika chce solidarnościowej monopartii, mającej być tarczą dla reform rządu Mazowieckiego.

Przez pewien czas pełni jeszcze funkcję sekretarza Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Marek Jurek wspomina go jako człowieka krążącego po sali sejmowej i przypominającego posłom o terminach głosowania.

ZAWSZE LOJALNY

Chociaż wystartuje jeszcze parokrotnie do Sejmu z list Unii Demokratycznej i Unii Wolności (raz, w latach 1999–2000, sprawuje nawet urząd wiceministra rolnictwa), to słabo odnajduje się w nowym świecie ostrej polityki. Tęskni do działań społecznikowskich i obywatelskich.

W 2010 r. zostaje doradcą prezydenta Bronisława Komorowskiego. Aktywnie działa na rzecz wolnościowych dążeń Ukraińców. Po 2015 r. KOD sięga po Wujca w czasie pierwszej fali demonstracji przeciw PiS. Wujec jak zawsze lojalnie podąża za swoim środowiskiem.

To, co zapamiętali zarówno ludzie z jego obozu politycznego, jak i ci, którzy poszli na prawo, to jego brak zacietrzewienia, tak różny np. od stylu Andrzeja Celińskiego. Nigdy nie wchodził w osobiste polemiki, nigdy nikogo nie obrażał. Pamiętany będzie jako pozytywista epoki KOR i Solidarności. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

MACIEJ PIECZYŃSKI: Wśród wyzwań stojących przed PiS wymienia pan takie kwestie jak „ochrona środowiska, ochrona zwierząt, związane bardziej z naszą kulturą, naszym humanizmem”. To brzmi jak postulaty partii lewicowej.

MICHAŁ MOSKAŁ: Musimy rozwiązywać problemy, które może sprawiają wrażenie lewicowych, ale w praktyce nie mają żadnych barw politycznych, są natomiast po prostu słuszne w naszych czasach, dla naszego pokolenia. Przykładem jest ochrona środowiska. Ciężko ją nazwać lewicową. Korzenie szacunku do przyrody odnajdujemy przecież w naukach św. Franciszka! Za ochroną środowiska opowiadał się też konserwatywny myśliciel naszych czasów Roger Scruton.

Dzisiaj jednak ochrona środowiska kojarzy się głównie z nową lewicą, która z przyrody czyni swego bożka.

I tym samym wypacza ten temat. Ochrona środowiska w wydaniu lewicowym jest pozbawiona jakiejkolwiek warstwy merytorycznej. Stanowi jedynie narzędzie do rozpalania politycznych emocji. Dobrym przykładem jest warszawska prezydentura Rafała Trzaskowskiego. W czasie kampanii samorządowej obiecywał, że do 2020 r. nie będzie w stolicy problemu smogu. Spośród kilkunastu tysięcy tzw. kopciuchów do dziś zlikwidowanych zostało ledwie kilkadziesiąt, czyli ok. 1 proc.! Temat jest przemilczany. Lewicowego prezydenta Warszawy w walce ze smogiem wyręcza rząd PiS, oferując takie programy jak „Czyste powietrze”, który jest prowadzony przez Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska. Tutaj nie chodzi o światopogląd, o politykę, ale o to, żebyśmy za 20–30 lat mogli oddychać w swoich miastach czystym powietrzem. Nie musimy do każdego tematu, ważnego dla obywateli, przyklejać politycznej łątki. Podobnie jest w przypadku ochrony zwierząt...

A konkretnie?

Realne są problemy takie jak trzymanie zwierząt na łańcuchach, cyrki, ubój rytualny, hodowla zwierząt futerkowych...

Chciałby pan tego wszystkiego zakazać?

Jestem przekonany, że powinniśmy celowo wprowadzić zakaz hodowli zwierząt futerkowych. Natomiast rozumiem, że na ten temat głosy są różne, trzeba więc będzie wypracować jakieś kompromisowe rozwiązanie.



FOT. ARTHUR MICHAL MOSKAŁ



Z Michałem Moskałem, przewodniczącym Forum Młodych PiS, szefem biura Jarosława Kaczyńskiego rozmawia Maciej Pieczyński

Wojna kulturowa nie ma sensu

Zostanie to odebrane jako ograniczenie wolności gospodarczej. To się prawicowemu elektoratowi nie spodoba. Zwierzęta futerkowe zawsze można po prostu trzymać w dobrych warunkach.

W większości krajów Europy z jakiegoś powodu ten zakaz funkcjonuje. Trudno dopilnować humanitarnych warunków hodowli. Oczywiście, zakaz byłby naruszeniem wolności gospodarczej, ale sposób, w jaki traktujemy zwierzęta,

jest miarą naszego człowieczeństwa. Kraje rozwinięte muszą przestrzegać podstawowych zasad humanitaryzmu. Myślę, że bardzo wielu młodych ludzi dostrzeże potrzebę ich przestrzegania. Prędzej czy później nasze społeczeństwo będzie musiało zrozumieć, że ochrona zwierząt jest koniecznością i nie ma nic wspólnego z poglądami politycznymi.

Mówi pan, że trzeba zakazać hodowli zwierząt futerkowych, bo to zachodni standard. Od kiedy prawicowy polityk stawia za wzór rozwiązania z obcych krajów? To brzmi jak zakłęcia euroentuzjastów z PO.

Skrajny liberalizm do niczego faktycznie nie prowadzi i jest wyrazem zbyt uproszczonego spojrzenia na świat. Gdybyśmy mieli całkowicie uwolnić rynek, po jakimś czasie okazałoby się, że wciąż mamy w Polsce przedsiębiorstwa państwowe, tyle że nie są to przedsiębiorstwa polskie. Dążenie do nieograniczonej wolności w praktyce prowadzi do ograniczenia tej wolności.

Gdzie jest granica między ochroną zwierząt a wolnością człowieka?

To najlepiej wytłumaczyć na przykładzie ochrony środowiska. Jeśli ktoś wyrzuca do lasu worek śmieci, to nie znaczy, że jest prawicowcem czy lewicowcem. To znaczy, że nie jest patriotą, że nie zależy mu na świecie, który go otacza. Szanujemy zwierzęta tak, jak szanujemy ludzi.

Wymienia pan również wyzwania związane z kulturą. To dopiero będzie trudne. Prawica przegrywa walkę o kulturę z kretelem. Dlaczego?

Dzisiejszy świat jest bardzo mocno zglobalizowany. Kultura jest dziś tworzona przez globalne korporacje. Dzień powszedni młodego człowieka często wygląda tak, że osiem godzin spędza w pracy, na uczelni czy w szkole, osiem godzin śpi, a pozostałe osiem godzin spędza, oglądając seriale na takich platformach jak Netflix.

Na których często króluje poprawność polityczna.

Dokładnie. Jednak uważam, że powinniśmy unikać rozróżnienia kultury na lewicową i prawicową. Czytając książkę czy słuchając muzyki, nie zastanawiam się, jakie poglądy ma dany twórca – oceniam sam produkt. Kultura jest albo dobra, albo zła. Albo mi się podoba, albo nie. Wiadomo, że treści mogą nam się nie podobać, ale nie sposób zawrócić pewnych tendencji. Nie uczynimy nagle kultury prawicową. Nie ma sensu wojna kulturowa z lewicą tu i teraz, trzeba działać w długofalowej perspektywie.

Ale przecież, parafrazując Marksa, kultura określa świadomość. Jeśli prawica przegra kulturę, to przegra wszystko.

Przede wszystkim trzeba dążyć do tego, by ludzie chcieli weryfikować

Może jestem naiwny, ale naprawdę uważam, że podział na prawicę i lewicę nie przystaje do naszej obecnej rzeczywistości

otrzymywane informacje, zamiast myśleć schematami. Trzeba walczyć z bezkrytycznym przyjmowaniem niektórych treści. To jest ważniejsze od nachalnego propagowania konkretnych wzorców.

To jakie pańskim zdaniem wyzwania stoją przed PiS w sferze kultury?

Zaczynają już działać ogromne programy wsparcia dla organizacji pozarządowych, które do tej pory były dramatycznie niedofinansowane, a teraz, dzięki rozwiązaniom wprowadzanym przez PiS, otrzymują nowe możliwości skutecznego funkcjonowania. Wspieramy i będziemy wspierać NGO nie tylko w Warszawie, lecz także w mniejszych miejscowościach. Poza tym musimy starać się strześć bramki na boisku rywala – te bowiem liczą się podwójnie.

A konkretnie?

Na przykład promować filmy i serie historyczne, przedstawiające polski punkt widzenia, na platformach internetowych takich jak Netflix.

A co miał pan na myśli, mówiąc o wyzwaniach stojących przed PiS, a „związanych z humanizmem”?

Chodzi o kwestie, które były już poruszane w ostatnich miesiącach. Chciałoby równouprawnienie płacowe kobiet. Trzeba dążyć do tego, aby kobiety zarabiały tyle samo, gdy wykonują taką samą pracę. To kwestia absolutnie podstawowa. Musimy też walczyć z problemem przemocy domowej. Niektóre środowiska usilnie próbują nam wmówić, że podstawowym dokumentem regulującym tę kwestię jest konwencja stambulska. A to nie jest prawda. Konieczne jest wzmocnienie i uzupełnienie regulacji krajowych.

A może te wszystkie nowoczesne postulaty mają na celu poszerzyć elektorat PiS o centrum?

Może jestem naiwny, ale naprawdę uważam, że podział na prawicę i lewicę

nie przystaje do naszej obecnej rzeczywistości.

Jednak zarówno PiS, jak i sprzyjające partii rządzącej media ten podział niezwykle mocno akcentowały podczas kampanii prezydenckiej. Już nie trzeba walczyć z ideologią LGBT?

Polska nie może być ani brunatna, ani tęczowa. Musi być biało-czerwona. Nie może nas paraliżować strach przed wprowadzeniem jakiegoś rozwiązania tylko dlatego, że kojarzy się z lewicą. To absurd. Najważniejsze są problemy Polaków, a nie ideologiczne podziały.

Konfederacja chętnie punktuje was za niewystarczającą prawicowość. Do tego efektywnie przyciąga młodych, co widać po tłumach sympatyków na spotkaniach „przy piwie” organizowanych przez polityków tej partii. Jaka będzie odpowiedź PiS? W jaki sposób będziecie walczyć o młodych, którzy na Andrzeja Dudę głosowali dość niechętnie?

Już mogę zdradzić, że od września, wraz z początkiem roku szkolnego, wystartujemy z ogromną polityczną ofensywą skierowaną do młodych. Będziemy aktywnie budować struktury młodzieżowe w całej Polsce. Założymy oddziały młodzieżówki w każdym okręgu sejmowym w kraju. Stworzymy młodym Polakom możliwość zaangażowania się w szeregach PiS, w zależności od ich zainteresowań będziemy organizować konkretne gałęzie tematyczne, które potem będziemy przenosić na szczebel rządowy. Będziemy chcieli, aby młodzi działacze w przyszłości tworzyli wielką, ogólnopolską politykę. To ma być praca u podstaw, dzięki której w przyszłości sformujemy nowe, przystosowane do współczesnych potrzeb elity naszej partii.

Jak na te pańskie nowoczesne poglądy oraz odejście od podziału na prawicę i lewicę patrzy Jarosław Kaczyński?

Pan Prezes Jarosław Kaczyński doskonale rozumie, że wyzwania, przed którymi stajemy dzisiaj, są inne od tych sprzed 30 lat, a co dopiero mówić o tych z XVIII w., kiedy tworzył się tradycyjny podział na prawicę i lewicę. Nie są ważne etykiety, którymi określamy się sami czy określają nas inni, ale to, jakie wyznajemy wartości i co dobrego możemy zrobić dla Polski i Polaków. Polska zmienia się za naszych rządów, my też musimy się zmieniać.



Agnieszka Niewińska

Popularność zdobyli na emeryturze. W sieci doradzają w kwestiach mody i urody. Zachęcają do ćwiczeń i dzielą się przepisami. Poznajcie tzw. silver influencerów

Dojrzałym kobietom poleca wyraziste kolory. „Kolorowa dojrzała kobieta nigdy nie będzie »przeźroczysta«” – radzi, pozując do zdjęć w kwiecistych spodniach. Zachęca do wybierania wzorzystych tkanin. Paniom, które chcą się poczuć kobieco, poleca sięgnięcie po sukienki. Krystynę Bałakier, stylistkę i blogerkę 60+, na Instagramie śledzi blisko 30 tys. osób. Jest zaliczana do grona czołowych polskich silver influencerów, czyli osób 50+, które dzięki aktywności w sieci lansują trendy. – To media stworzyły ze starszych blogerów grupę i nazwały ich silver influencerami, ale mnie się to nawet podoba. Nie lubię słowa „senior”, a silver influencer brzmi ciekawie – mówi „Do Rzeczy” Krystyna Bałakier.

WRÓŻBY I KSIĄŻKA O MODZIE

Trzydzieści lat temu otworzyła firmę stylizacyjną i zaczęła pomagać kobietom w lepszym doborze stroju. – Moda, stylizacja były moją pasją od dziecka, ale zawodowo zajmowałam się handlem zagranicznym. Przez kilka lat pracowałam w Niemczech, a po powrocie i przeprowadzce z Warszawy do Wrocławia miałam się różnych rzeczy. Przez 11 lat pracowałam w firmie ubezpieczeniowej, ale prowadziłam także gabinet wróżb, choć udzielałam tam raczej porad psychologicznych, dawałam klientom możliwość rozmowy. Kiedy otworzyłam firmę stylizacyjną, chciałam rozreklamować swoje usługi. Najlepszy do tego wydawał się Internet – opowiada Bałakier. Najpierw założyła blog balakier-style.pl, potem pojawiła się na portalach społecznościowych, takich jak Facebook i Instagram. Ostatnio uruchomiła swój kanał na YouTube. Prowadzi także grupę na FB (Porządki w szafie – Krystyna Bałakier), gdzie kobiety sprzedają używane ubrania i akcesoria, opróżniając swoje szafy z niepotrzebnych rzeczy. – Obsługę komputera miałam opanowaną, ale jeśli chodzi o blog czy portale społecznościowe, to sama się wszystkiego uczyłam. Młode

Krystyna Bałakier mówi, że w blogowaniu i obecności w mediach społecznościowych się realizuje FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Seniorzy, którzy dyktują trendy

pokolenie niechętnie uczy starszych – znacząca stylistka.

Jej działalnością szybko zainteresowały się media. Zaczęła pojawiać się w studiach telewizyjnych, udzielać wywiadów. Trzy lata temu wydała książkę „Dojrzała elegancja”. – Kiedy zaczynałam działalność, modą w sieci zajmowały się wyłącznie szczupłe, młode dziewczyny, dlatego obawiałam się krytyki, hejtu. Dzieliłam się jednak moim doświadczeniem w pracy z klientkami, dawałam praktyczne rady. Efekt jest taki, że hejt do dziś się nie pojawił.

Do grona silver influencerów zajmujących się modą należy też Jan Adamski.

Moda męska jest jedną z jego największych pasji. Ma własny blog. Na zdjęciach, które tam zamieszcza, jest zawsze elegancki i niebanalny. Pokazuje się w ciekawych garniturach czy marynarkach, często wzorzystych lub w kolorach, od których panowie zwykle stronią, takich jak róż czy pomarańcz. Nosi wzorzyste krawaty i muchy. „Skarpетки należy dobierać nie do spodni, lecz do nastroju! Nasycone kolory – są zalecane, wyszukane wzory – są mile widziane, szarości i czerni – są wyłącznie dla smutaków” – przekonuje na blogu. Jest częstym gościem w mediach. Chętnych do podglądania jego odważnych propozycji nie

brakuje. Na Instagramie ma blisko 27 tys. obserwujących.

WSTAĆ Z KANAPY

Wojciech Węclawowicz to 66-latek, który występuje w sieci jako fit_oldboy. Promuje dbałość o formę i zdrowy styl życia. Chociaż był związany ze sportem, to po sześćdziesiątce dorobił się brzuszka, a zdrowie zaczęło szwankować. Do zadbania o siebie zmotywował go syn. Zaczął trenować i stosować dietę. Tak wyrzeźbił ciało, że dziś pozazdrościć może mu niejeden młody mężczyzna. W sieci jego profil pełen rymowanych wpisów i profesjonalnych zdjęć z treningów, egzotycznych podróży czy przejazdów luksusowymi samochodami obserwuje 27,5 tys. osób. Wszystkich zachęca do wstania z kanapy. – Najtrudniejsze są dwa-trzy tygodnie, bo wtedy wszystko boli – uprzedza w wywiadach fit_oldboy.

Kobieta.zawsze.młoda to z kolei internetowy nick Ireny Wielochy. Ta 68-latka przed 10 laty doszła do wniosku, że kiedy patrzy w lustro, to się sobie nie podoba. Zaczęła się zdrowo odżywiać, uprawiać sport. – Cieszę się, że zamiast na Uniwersytet Trzeciego Wieku poszłam na

REKLAMA



JUŻ TYGODNIK LUSICKIEGO
DO RZECZY
ZA TYDZIEŃ TYLKO
W „DO RZECZY”

ŚWIT WOLNOŚCI
40. ROCZNICA
POWSTANIA SOLIDARNOŚCI

■ siłownię. Nagle odkryłam, że pod zwałami tłuszczu jest fajna dziewczyna – opowiada w wywiadach. Na Instagramie, gdzie jej profil obserwuje blisko 15 tys. osób, publikuje zdjęcia z treningów, wypraw rowerowych, pieszych wycieczek. Udziela rad, pokazuje lekkie i zdrowe posiłki, które sama przygotowuje.

Czy w sieci dyktujących trendy seniorów będzie przybywać? Łukasz Salwarowski, prezes Stowarzyszenia MANKO, które m.in. wydaje Ogólnopolski Magazyn „Głos Seniora”, jest przekonany, że siła osób starszych w sieci będzie rosnąć. – W Polsce mamy 9,5 mln seniorów. Szacuje się, że tylko ok. 25 proc. z nich korzysta z Internetu. Jeśli chodzi o osoby aktywnie korzystające – obecne w mediach społecznościowych, angażujące się poprzez komentowanie, udostępnianie własnych materiałów – to jest ich jeszcze mniej. Jednak sytuacja się zmienia. Senio-

przekonało się do takiej formy zakupów właśnie w związku z pandemią – mówi.

ZARABIAĆ NA INSTAGRAMIE

Na profilach silver influencerów widać, że firmy, choć jeszcze nieśmiało, zaczynają doceniać ich potencjał. Polecają oni produkty sieci Lidl, reklamują lody Braci Koral, kosmetyki Tołpa czy Clarins. W czasie pandemii część silver influencerów wzięła udział w kampanii sieci Play. Zachęcali swoich fanów do obejrzenia przygotowanych przez operatora porad. W 10 filmikach aktorka Maria Winiarska (też uznawana za silver influencerkę) razem z córką Zofią Zborowską uczyły, jak korzystać z podstawowych aplikacji, doładować konto lub zapłacić fakturę on-line. Krzysztof Sylwerski z Play zaznacza, że seniorzy okazali się wdzięcznymi i zaangażowanymi odbiorcami. – Bardzo docenili nasze filmy, a w komentarzach

Nawet jeśli silver influencerzy na internetowej działalności nie mogą na razie zbudować finansowego imperium, to realizując swoje pasje, otrzymują miły dodatek do emerytury

rów korzystających z Internetu przybywa – mówi. – Widzimy to chociażby, przyjmując wnioski o wydanie Ogólnopolskiej Karty Seniora. Osoby starsze coraz częściej podają w nich swój adres e-mail. Z każdym tygodniem przybywa też użytkowników naszych profili na Facebooku. Seniorzy coraz częściej dowiadują się o naszych akcjach, kampaniach, konkursach właśnie z Internetu, coraz lepiej radzą sobie też z przesyłaniem zdjęć w odpowiednim rozmiarze i formacie. Wraz z pandemią koronawirusa siła seniorów w Internecie jeszcze wzrosła. Wiele osób właśnie w wirtualnym świecie szukało wspólnoty, rozwoju, edukacji. O wielu problemach seniorów dowiadywaliśmy się dzięki ich internetowym komentarzom – zaznacza Salwarowski.

Zwraca także uwagę, że przybywa firm, które swoją ofertę chcą kierować do seniorów w Internecie. – Do programu zniżek, do których upoważnia Ogólnopolska Karta Seniora, dołączają także sklepy internetowe. Panuje przekonanie, że senior zanim coś kupi, to musi to zobaczyć na własne oczy, okazuje się jednak, że także seniorzy coraz chętniej korzystają z ofert sklepów internetowych. Wielu

niejednokrotnie podkreślali, jak bardzo pomogły im w wykorzystywaniu możliwości swoich smartfonów i jak bardzo ułatwia im to codzienne życie. Otrzymałiśmy wiele komentarzy i podziękowań, także od młodych osób, które wykorzystując nasze „filmy instruktażowe”, pomogły swoim dziadkom, wujkom czy innym starszym członkom rodziny – opowiada.

Krystyna Bałakier mówi, że producenci wreszcie poszli po rozum do głowy i zaczęli kierować reklamy do osób dojrzałych. – Młode stylistki obserwowane są przez osoby, których często nie stać na prezentowane przez nie ubrania. Obserwatorki mojego bloga mogą sobie pozwolić na zakup stroju, które im się podoba. Producenci, z którymi współpracuję, mówią, że to, co zaprezentuję na blogu czy Instagramie, natychmiast jest wykupowane. Nieustannie odpowiadam moim obserwującym na pytania na temat tego, gdzie kupić ubrania ze zdjęć – opowiada stylistka. I dodaje, że osoby starsze coraz chętniej sięgają po Internet. – Pandemia to jeszcze nasiliła. Wiele osób przekonało się, że korzystanie z Facebooka, komunikatora czy wideo rozmów nie jest takie trudne.

Szymon Sikorski, prezes agencji Publicon, nie przeceniałby jednak roli silver influencerów w dotarciu do klientów w wieku senioralnym. – To prawda, że na rynku pojawia się coraz więcej produktów i usług skierowanych do osób starszych. Powstał nawet termin „silver tsunami”, którym określa się coraz większe znaczenie, jakie mają na rynku osoby 55+. Seniorzy wolą jednak tradycyjne media i kontakt bezpośredni. Nie bez powodu prezentacje, podczas których seniorzy są naciągani na zakup drogiego garnków czy patelni, są tak popularne. Po prostu zapewniają bezpośredni kontakt – mówi Sikorski. I dodaje: – Jeśli miałbym przygotowywać kampanię skierowaną do osób starszych, to wybrałbym przede wszystkim telewizję, a także prasę i radio. Nawet jeśli coraz więcej seniorów korzysta z Internetu, to robią to w określonym celu. Szukają konkretnych informacji. Trudno dziś przewidzieć, czy silver influencerzy będą odgrywać większą rolę, gdy w wiek senioralny wejdą ludzie, dla których Internet jest naturalnym środowiskiem. Za krótko żyjemy z Internetem. Jasne jest jednak, że im większe mamy doświadczenie życiowe, tym mniej jesteśmy podatni na działania influencerów. Najbardziej skłonne do ich naśladowania są osoby młode w wieku 12–16 lat.

Nawet jeśli silver influencerzy na internetowej działalności nie mogą na razie zbudować finansowego imperium, to realizując swoje pasje, otrzymują miły dodatek do emerytury.

Irena Wielocha opowiadała, że kiedy zdecydowała się zarabiać na Instagramie, mąż mówił jej: „Po co ci pieniądze? Ja ci je dam”. – Ale dostać od męża pieniądze to nie sztuka. Zarabiać pieniądze to jest wyzwanie – mówiła wp. pl.

Silver influencerzy podkreślają jednak, że ważna jest także satysfakcja z internetowej działalności. Krystyna Bałakier zaznacza, że w blogowaniu i obecności w mediach społecznościowych się realizuje. – Kiedy zaczynałam, panie tuż po pięćdziesiątce wyglądały jak babcie. W ostatnich latach zaczęły się ubierać dużo lepiej i myślę, że mam w tym jakiś udział. Dzięki swojej popularności stałam się też w kwestii mody autorytetem dla córki. Wcześniej niechętnie korzystała z moich rad, a teraz czasami jej coś podpowiadam. Niekiedy o radę prosi też mąż, chociaż on akurat ubiera się bardzo dobrze.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Jakich zmian potrzeba w podatkach?

Pierwsza kadencja rządów Zjednoczonej Prawicy upłynęła pod znakiem znacznych transferów społecznych.

Zrealizowano szlagierową obietnicę, którą był program „Rodzina 500+”. W życie weszły też inne zapowiedzi zwiększające dochód rozporządzalny w gospodarstwach domowych. To zaś nakreślało popyt, będący w ostatnich latach motorem napędowym polskiej gospodarki.

Zabrakło natomiast działań wzmacniających stronę podażową. Deklaracje i szumne zapowiedzi rozmiękały się z faktycznymi efektami zmian, np. w systemie podatkowym. Wprowadzane ulgi mające sprzyjać inwestycjom i innowacjom były na tyle pogmatwane i niejasne, że minęło wiele miesięcy, zanim przedsiębiorcy zdążyli się w nich połąpać. W efekcie dochodziło bardziej do komplikowania niż poprawy sytuacji podmiotów gospodarczych. Działania władzy były nieśmiałe i tak sformatowane, aby głównie nie dochodziło do nadużyć w przyznawanych preferencjach podatkowych. Także obniżka CIT (z 19 do 9 proc. dla firm z sektora MŚP), chociaż znaczna, nie objęła swoim zasięgiem większości firm. Te bowiem rzadko wybierają spółki kapitałowe jako wehikuł do prowadzenia swojej działalności. Dodatkowo próg obrotu na poziomie 1,2 mln euro (docelowo 2 mln euro) można potraktować jako zniechęcający do wzrostu, jeśli bowiem firma osiągnie wyższy przychód, to zapłaci podatek według ponad dwukrotnie większej stawki, nawet jeśli jej zysk się poprawi!

Z podobną sytuacją mamy do czynienia obecnie, jeśli chodzi np. o tzw. estoński CIT. Proponowane rozwiązania nie przypominają za bardzo tych nadbałtyckich, co znacznie osłabi ich skuteczność. W związku z tym powstaje obawa, czy oprócz sukcesu propagandowego uda się osiągnąć coś jeszcze.

Bez działań zdecydowanych i jednoznacznych możemy zatem



Kamil Goral, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

dreptać w miejscu przez kolejne lata. Przyjmowane będą „estońskie CIT-y” i temu podobne, a efekt po stronie inwestycji jak był znikomy, tak znikomy pozostanie. Gonić będziemy musieli już nie tylko Zachód, lecz także kraje naszego regionu, które z budowaniem trwałych fundamentów wzrostu radzą sobie znacznie lepiej niż my.

W tym kontekście pojawia się pytanie o konkrety, szczególnie te związane z systemem podatkowym. Musi on być zreformowany tak, aby wspierał wydatki na rozwój przedsiębiorstw. Chodzi zatem o to, aby firmy miały podatkową motywację do zwiększania swojego potencjału produkcyjnego. Nakłady kapitałowe zaś dotyczyć mają nie tylko odtworzenia posiadanych zdolności produkcyjnych, lecz także ich zwiększenia poprzez unowocześnienie parku maszynowego i powszechniejsze zastosowanie najnowszych technologii. Bodźce podatkowe powinny mieć charakter stymulacyjny, nakierowany na zwiększenie możliwości polskiej gospodarki.

W grę wchodzi następujące rozwiązanie:

- szybka amortyzacja środków trwałych, w tym znaczne podwyższenie kwoty, od której można jej dokonać jednorazowo (szczególnie jeśli nakład przyczyni się do zwiększenia potencjału produkcyjnego firmy – podatkowa premia za inwestycję);
- hipotetyczne koszty odsetkowe od kapitału własnego, dające znaczne korzyści podatkowe (obecne rozwiązania uznać należy za niewystarczające ze względu na wprowadzone limity);
- rezygnacja z podwójnego opodat-

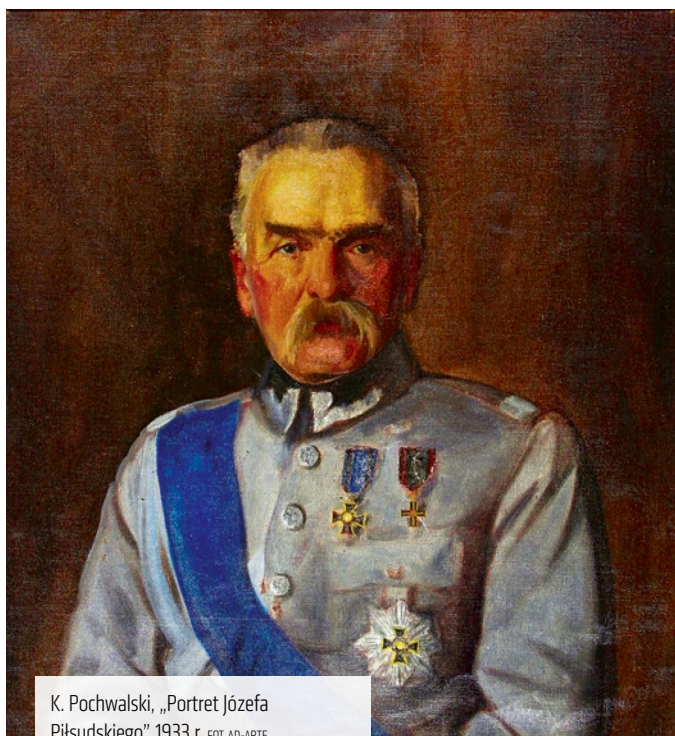
- kowania spółek kapitałowych;
- ulga podatkowa dla firm zwiększających zysk, pozwalająca zmniejszyć efektywną stawkę podatkową;
- podatkowa identyfikacja konsorcjów tworzonych przez mniejsze firmy, dająca konsorcjantom preferencje podatkowe w sytuacji podjęcia współpracy w obszarach B+R oraz ekspansji zagranicznej i udziału w przetargach publicznych;
- podatkowe „ukosztowanie” wydatków związanych z IPO (rozwiązanie proponowane m.in. w Strategii Rozwoju Rynku Kapitałowego);
- niższe stawki podatku niezależnie od obrotu, tak aby firma nie była karana wyższymi daninami za to, że się rozwija.

Jeśli mamy naprawdę zmieniać polską gospodarkę na lepsze, to potrzebne są szybkie i odważne działania. W tym kontekście rodzi się pytanie o koszty dla mocno nadszarpniętych skutkami pandemii finansów publicznych.

Tutaj dochodzimy do dyskusji na temat 60-procentowego progu zadłużenia, jaki dopuszcza polska konstytucja. Wydaje się, że jest on nienaruszalny. Należy jednak zastanowić się, czy będąc na tym etapie rozwoju, na jakim jesteśmy, nie możemy, przynajmniej okresowo, zdecydować się na jego podniesienie. Taki ruch należałoby powiązać z powołaniem niezależnej Rady Polityki Fiskalnej, która czuwałaby nad tym, aby zwiększanie zadłużenia służyło długookresowym celom rozwojowym naszego kraju, a nie nakręcaniem wydatków socjalnych. To z kolei wymaga kompromisu ponad partyjnymi podziałami.

Pytanie, czy ten w ogóle jest możliwy?

www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl



K. Pochwalski, „Portret Józefa Piłsudskiego”, 1933 r. FOT. AD-ARTE



F.A. Bartholdi, „Współczesny męczennik / Prometeusz polski”, projekt 1864, odlew z 2005 r. FOT. ANNA BINKOWSKA

Głównymi tematami ekspozycji miały być m.in.: Polska jako przedmurze chrześcijaństwa, Bitwa Warszawska jako mit odrodzonej państwowości w kontekście wcześniejszych triumfów polskiego oręża, wkład matematyków w strategię wojenną Józefa Piłsudskiego, pomoc węgierska, odzyskanie dzieł sztuki i kultury z Rosji, przełomowe batalie w dziejach świata, projekty łuków triumfalnych. O tych ostatnich była już mowa na tych łamach, gdy zamiast łuku postanowiono wzniesić w Warszawie jego substytut w formie „wkręta”. Miejmy nadzieję, że do realizacji tego projektu nigdy nie dojdzie i że bohaterowie Cudu nad Wisłą, będącego swoistym przypieczętowaniem niepodległości odrodzonego państwa polskiego, doczekają się wreszcie prawdziwie monumentalnego łuku triumfalnego.

Wystawa, tworzona w znacznym stopniu z mało znanych i niepublikowanych obiektów (takich jak portret Józefa Piłsudskiego Kazimierza Pochwalskiego), miała też przypomnieć jeszcze jedno wielkie zaniechanie Warszawy wobec swoich bohaterów. Chodzi o pomnik znany – niestety tylko stosunkowo niewielu – jako „Prometeusz polski”, który można wpisać w temat „Polska jako przedmurze chrześcijaństwa”, pomimo że ma antyczne pochodzenie.

PROMETEUSZ POLSKI

W wydanej niedawno książce „Kłęsa imperium zła” Andrzej Nowak pisze

Triumf 1920. Obraz i pamięć



Jerzy Miziołek

Pod tym tytułem w czerwcu miała się otworzyć wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie. Ten ambitny projekt dotyczący jednej z najważniejszych bitew w dziejach świata zniweczył nie koronawirus, ale zmiana na stanowisku dyrektora tej instytucji. Wart jest upamiętnienia przywołaniem kilku wybitnych dzieł sztuki

niezwykle zajmująco o koncepcjach prometejskich w polskiej myśli politycznej. Jego wywodom towarzyszy obraz ukazujący kaźń Prometeusza, który za przekazanie ludziom ognia ukarany został przykuciem do skał Kaukazu, gdzie żarłoczny orzeł co i raz rozszarpuje jego wątrobę. Obrazem tym jest dzieło ze szkoły Rubensa, a nie – jak można byłoby się spodziewać – odlana w brązie

rzeźba Frédérica Auguste’a Bartholdiego „Współczesny męczennik, czyli Prometeusz” z 1864 r. Czy można jednak postawić zarzut zignorowania czy pominięcia tego wybitnego dzieła sztuki? Bynajmniej! Dlaczego? Jego historia jest niezwykła, a tę aurę niezwykłości wzmacnia ponadto to, że jego autorem jest ten sam artysta, który wykonał Statuę Wolności w Nowym Jorku.



J. Malczewski, „Portret Wojciecha Kossaka z Belloną”, 1903 r. FOT. WOJCIECH PAWŁOWSKI

Bartholdi, tak jak wielu wrażliwych ludzi w całej Europie, niezwykle przejął się upadkiem powstania styczniowego, podobnie jak przeszło 30 lat wcześniej upadek powstania listopadowego przeżył jego krajan – Horace Vernet – malujący obraz „Alegoria Polski zwyciężonej, czyli Prometeusz”. Projekt Bartholdiego powstał w 1864 r. i tak jak w przypadku wszystkich dzieł w brązie był wykonany w gipsie i czekał na odlanie. Niestety do tego nie doszło, bo atmosfera współczucia opadła, a dyplomacja rosyjska czuwała, jak zwykle. Z tego samego powodu z dużym opóźnieniem wykonano piękny pomnik Adama Mickiewicza w Paryżu. Gipsowy model „Współczesnego męczennika” doczekał się jednak publicznej prezentacji; został wystawiony w roku powstania na Salonie Paryskim, ale z czasem przeniesiono go do Colmaru, rodzinnego miasta twórcy, gdzie znajduje się do dziś. O wykonaniu odlewu rzeźby we francuskiej odlewni Strassacker i sprowadzeniu jej do Polski w ramach „Sezonu polskiego we Francji” zdecydował w 2005 r. Waldemar Dąbrowski, ówczesny minister kultury. Wielką rolę w tym wydarzeniu odegrali prof. Andrzej Rottermund, ówczesny dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie, i ministerstwo kultury Francji. Od marca do czerwca 2005 r. rzeźba eksponowana była na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie. Niedługo potem zniknę-

ła, przeniesiono ją do Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku. Nic nie ujmując tej znakomitej placówki kultury, doszło do pewnego rodzaju degradacji dzieła, jakby odrzucenia przez miasto stołeczne. Kto o tym zdecydował? Dlaczego, mimo że istniały plany umieszczenia jej w ciągu pomników patriotycznych w przestrzeni pomiędzy Cytadelą a miejscem kaźni Romualda Traugutta i jego towarzyszy, nieopodal ulicy Sanguszkii?

Patrząc na dzieło francuskiego artysty, widzimy solidnej budowy mężczyznę przykutego łańcuchami do skały i atakowanego przez orła. Podczas gdy w innych przedstawieniach Prometeusz jest zwykle ukazany w pozycji stojącej, Bartholdi przedstawił go horyzontalnie, ale z wyraźnymi oznakami heroizmu; jego – mówiąc po staropolsku – skowany bohater jest bliski zerwania łańcuchów. Od tradycyjnej ikonografii wielkiego dobroczyńcy ludzi nasza rzeźba różni się także tym, że orzeł jest dwugłowy, co jest oczywistym przywołaniem herbu okupanta, carskiej Rosji. Jedna głowa drapieżnika koncentruje się na wątrobie ofiary, druga zaś groźnie wpatruje się w jej brodatą, pełną determinacji oblicze. Nasza wystawa miała przypomnieć dzieło Bartholdiego w kontekście warszawskim, być apelem o przywrócenie go stolicy i uczynieniem z niego jednego z jej symboli. Czyż Józef Piłsudski i jego legioniści nie wyrastali w kuliście powstania styczniowego? Czy

pełne dramaturgii arcydzieło francuskiego artysty nie ma potencjału stania się symbolem narodowym par excellence? Czy Muzeum Historii Polski sięgnie po ideę przestrzeni patriotycznej między Cytadelą i miejscem stracenia ostatniego naczelnika powstania styczniowego, by w swoich murach kontynuować narrację o naczelniku Piłsudskim i wielkim micie założycielskim odrodzonej Polski?

ZERWANIE ŁAŃCUCHÓW, CZYLI UŁAŃSKI RYCERZ Z BELLONĄ

„Portret Wojciecha Kossaka z Belloną”, namalowany u szczytu rozwoju twórczości Jacka Malczewskiego, pomimo że należy do niezwykle ważnego nurtu w jego sztuce programowej, a więc podejmującej motyw powinności artysty, nie zyskał dotychczas szczególnej sławy. W ostatnich dekadach kilka razy zmieniał właściciela i niestety nie trafił do żadnego z muzeów narodowych naszego kraju. Miał być – dzięki uprzejmości aktualnego właściciela – jednym z ważniejszych obrazów wystawy.

Na czym polega jego fenomen? Nie tylko na artystycznym powabie, lecz także na świetnym uchwyceniu momentu dziejowego na drodze do odradzania się Polski. De facto chodzi o rodzaj zerwania zniewalających kajdan, tym razem nie rosyjskich, ale pruskich. Zerwał je w 1902 r. Wojciech Kossak, odchodząc manifestacyjnie z lukratywnego stanowiska nadwornego



■ malarza cesarza Wilhelma II, ale nie zapłacił za to życiem, tak jak Traugutt (niegdyś oficer na carskiej służbie), wszakże nie był żołnierzem w pruskiej armii. Rycerzem – husarzem i ułanem w jednej osobie – uczynił go dopiero Malczewski. Przedstawił swego bohatera – artystę w rycerskiej zbroi, ze zdobytym w walce sztandarem w lewym ręku i dzierżącym w prawej ręce słynną ze swojego kształtu ułańską czapkę. W heroicznej walce towarzyszy mu bogini wojny Bellona z hełmem znanym z ikonografii Ateny/Minerwy, do której ramion zdają się być przytroczone husarskie skrzydła. Zbrojna w szablę z czasów Napoleona, waleczna bogini zdaje się obejmować niezłomnego wojownika, wskazując serdecznym palcem lewej ręki na jego serce. W tym patriotycznym manifestie dostrzegamy ponadto odjeżdżający w dal pociąg i chochoły z „Wesela” Wyspiańskiego.

Obraz powstał w 1903 r., niespełna rok po głośnym antypolskim przemówieniu cesarza Wilhelma ogłoszonym w Malborku 2 czerwca 1902 r. Niepomny na wielkie krzywdy wyrządzone Polsce powiedział m.in.: „Już wystarczy! Polska buta za bardzo dotknęła Niemcy”. Ta „buta” to nic innego, jak tylko zabiegi o odrobinę autonomii i zmniejszenie germanizacyjnego ucisku. Wieloletnia „posada” Kossaka (i Juliana Fałata) na dworze pruskim była dla wielu polskich kolegów malarzy przedmiotem zawiści, a dla polskich patriotów synonimem zdrady, co wielokrotnie podnoszono w polskiej prasie. W uroczystościach malborskich artysta udziału nie wziął; zmanifestował swój sprzeciw, zerwał kajdany... Konsekwencjami były rezygnacja i powrót do Krakowa. To właśnie

do tej życiowej sytuacji Kossaka – i tym samym do pragnień wielu myślących o niepodległości patriotów – nawiązuje w bogatej grze symboli fascynujący portret autorstwa Malczewskiego. Czy odjeżdżający pociąg (do Berlina?) to utracona szansa dalszych lukratywnych poborów? Nie ulega wątpliwości, że wojownicza atmosfera obrazu, heroizm rycersko-husarsko-ułański jest zapowiedzią walki, duchowego powrotu do zmagania w czasach powstań narodowych.

Malczewski, podobnie jak Piłsudski, wyrastał w tradycji kultu powstania styczniowego, co pokazaliśmy w ubiegłym roku na wystawie w murach Muzeum Narodowego pt. „Na jednej strunie: Malczewski i Słowacki”. Niestety nie dane jest kontynuowanie wystawowo tej opowieści wpisanej w triumf 1920 r. Przywołajmy zatem jeszcze jeden obraz, na wystawę specjalnie do MNW zakupiony, znany dotychczas tylko niewielkiej grupie czytelników katalogów aukcyjnych. Jego twórca – Feliks Michał Wygrzywański – czeka dopiero na pełne odkrycie; niech te kilka uwag o jego wojennym autoportrecie wykonanym w pastelu ułatwi mu powrót do sławy i uznania.

AUTOPORTRET ARTYSTY-ZOŁNIERZA

Jak powszechnie wiadomo, nie uczciliśmy dotąd w Warszawie stosownym pomnikiem największego triumfu oręża polskiego w całych naszych dziejach, w który pięknie wpisali się również matematycy Uniwersytetu Warszawskiego, rozszyfrowując kody sowieckich meldunków, co pozwoliło na słynny manewr znad rzeki Wieprz. Wszakże w tę

„zwycięstwa radosną pieśń” – by użyć proroczych słów Ignacego Jana Paderewskiego – wpisali się również studenci warszawskich uczelni, w tym studenci Akademii Sztuk Pięknych. Niektórzy z nich poszli na front, inni pracowali w propagandzie, tworząc kompozycje na plakaty i banery, dzięki którym w wojnie polsko-bolszewickiej wzięło udział niemal całe społeczeństwo. Wiele z nich, niekiedy zupełnie zapomnianych, czeka na konserwację, publiczny pokaz i opublikowanie.

Czy Wygrzywański był na froncie pod Warszawą czy Lwowem? Urodził się w 1875 r., studiował w Monachium, a potem mieszkał w Rzymie (gdzie w Galleria dell'Arte Moderna wystawił tryptyk „Wyzwolenie”) i we Lwowie. Był równie biegły tak w technice olejnej, jak pastelu; tworzył dekoracje wnętrz i scenografie. W roku Cudu nad Wisłą miał 45 lat i na tyle, a może na nieco więcej, wyglądał w swym pastelowym autoportrecie z 1925 r. Czy rzeczywiście brał udział w wojnie 1920 r.? Czy obraz jest wspomnieniem tamtych wydarzeń? Wszystko to czeka na przebadanie. Artysta przedstawił siebie na pierwszym planie, z karabinem na prawym ramieniu, w ujęciu na trzy czwarte, bez czapki na głowie, wnikliwie wpatzonego w widza. Wraz z kroczącym za nim żołnierzem, ubranym tak jak on w zielony mundur, eskortuje czerwonoarmistów. Plamy bieli i czerwieni zdają się tworzyć polską, białą-czerwoną narrację. Ten przedziwny autoportret to jakby fragment pochodu triumfalnego; zwycięskie wojsko eskortuje pokonanych, tak jak w czasie antycznych pochodów triumfalnych. Warto tu przypomnieć, że w Bitwie Warszawskiej miało polec 25 tys. żołnierzy sowieckich, podczas gdy do niewoli trafiło ok. 60 tys. W takie odczytanie obrazu nie do końca wpisuje się pogodna twarz wziętego do niewoli, ukazanego na drugim planie, na prawym skraju pastelu.

Oto zaledwie namiastka myśli wokół wystawy, którą przygotowywała – z silnym wsparciem piszącego te słowa – prof. Joanna Sosnowska. W tym tekście akcenty zostały zmienione. De facto ekspozycja miała się koncentrować na bitwie 1920 r., którą Brytyjczyk – Edgar Vincent d'Abernon – uznał za jedną z 18 najważniejszych bitew w dziejach świata. Czy w tym trudnym roku uda się stosownie opowiedzieć o niej Polsce i całemu światu? © Wszelkie prawa zastrzeżone



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:



eprasa.pl 1b143bca24



Piotr Gociek

Tom Hardy jako Al Capone, Kyle MacLachlan w roli lekarza mafii – takiego obrazu chicagowskiego gangstera jeszcze nie widzieliście

Kiedyś trzeba dorosnąć, nawet w Hollywood. A jakież gatunek jest w Ameryce bardziej uważany za dowód dojrzałości niż gangsterski dramat obyczajowy? Kiedyś western, dziś opowieść o mafijnej rodzinie, oto historie rdzennie amerykańskie, oto historie o fundamentach i wypaczeniach wielkiej budowy amerykańskiego mitu. No i któż nie chciałby zostać nowym Francisem Fordem Coppolą, Martinem Scorsese albo Brianem De Palmą? Autorską opowieść o chicagowskim gangsterze Alu Capone reżyser Josh Trank nazwał swoim „pierwszym prawdziwym filmem”. Witamy wśród dorosłych. Uwaga, ważny komunikat: dojrzewanie może być bardzo bolesne.

„Capone” to projekt autorski, bo i napisany, i wyreżyserowany przez Trankę. Projekt ryzykowny: nie jest to ani historia najsłynniejszych dni Capone, ani walki wydanej mu przez agentów FBI. W filmie Tranka bezwzględny Al wszystko już ma za sobą: grzechy, sławę, proces i odsiadkę. Po 10 latach w więzieniu (przypomnijmy – nie za gangsterkę, lecz za podatki) teraz dogorywa na Florydzie, z nieodłącznym cygarem w dłoni i coraz większym bałaganem w głowie. Zżera go syfilis, zawodzą pamięć, pęcherz i jelita. Groźny człowiek z blizną zamienił się w gderającego staruszka – efekt postępów choroby, bo Capone w chwili, gdy widzimy go po raz pierwszy na ekranie, ma lat 47. Wygląda jak o dwie dekady starszy.

Legendę chicagowskich ulic, króla bootleggerów, bohatera pierwszych stron gazet i bezzględnego mordercę gra Tom Hardy, który lubi w pracy ryzyko i wyzwania. Jego aktorskie wybory często prowadzą ku kreacjom znaczącym (choćby w „Zjawie”, „Gangsterze” czy serialu „Tabu” albo kameralnym „Locke”, który był jego mistrzowskim one man show), czasami jednak wiodą na manowce. Tak było w głupiutkim „A więc wojna” (2012) czy w manierycznym,

płaskim filmie „Legend” (2015), gdzie portretował bliźniaków Kray, londyńskich gangsterów lat 60.

POMRUKI PRZESZŁOŚCI

Hardy, by zagrać Capone, musiał mocno wspomóc się charakteryzacją. Efekt jest kontrowersyjny, bo za bardzo ją dostrzegamy. Są chwile świetnej gry, są chwile takie sobie, ale za często iluzja pryska i zamiast podziwiać aktorską kreację, zauważamy, że to po prostu niezbyt udana maskarada. Nie byłoby tego, gdyby opowieść chwyciła

Chwyt jest ograny, to prawda, ale wciąż się sprawdza. Starość bohatera jest ramą, na której twórcy rozpinają płótno z opowieścią o jego życiu. Salieri wspomina swoje relacje z Mozartem, Churchill malujący obrazki w ogrodzie przypomina sobie najtrudniejsze chwile czasów wojny. I tak dalej. Można więc i tak. Po cóż jednak mielibyśmy pochylać się z troską nad starością Alphonse’a Capone? Jaka nauka miałaby wynikać z tych niespełna dwóch godzin filmu, w którym robiący pod siebie



nas za gardło i zmusiła do zanurzenia się w fascynującej historii. Problem z „Capone” polega na tym, że właściwie nie opowiada on żadnej historii. Jego główny bohater też nie jest w stanie niczego nam składnie opowiedzieć, cierpiący na demencję Capone porozumiewa się ze światem krótkimi napadami wściekłości, pojedynczymi zdaniem, charakterystycznymi dla Hardy’ego pomrukami. Żyje w teraźniejszości, ale jego krainą jest przeszłość.

syfilityk dotknięty udarem ani nie przejawia skruchy, ani nie ma nam do przekazania żadnej głębokiej prawdy, która objawiona została mu wskutek cierpienia. Zresztą, dlaczego mielibyśmy mu współczuć z powodu owych cierpień? Cokolwiek przydarzyło mu się u schyłku życia, ileż byłoby udarów, postępów demencji i niekontrolowanych wypróżnień – czy równoważy to długie lata krwawego dzieła okrutnika? Przy-

takujemy więc w duchu wysłannikowi FBI, który przyjeżdża na Florydę do rezydencji w Palm Island, by raz jeszcze spróbować go przesłuchać. „Zasługujesz na każdą uncję tortur i wiecznej rozpacz, jaka cię czeka na tamtym świecie” – mówi agent Crawford, kiedy wyłączy już magnetofon. „Twoja rodzina – nie. Ale ty – tak”.

A jednak jest coś w filmie Tranka, co nie pozwala wyrzucić od razu do kosza całej tej niepotrzebnej, moim zdaniem, produkcji. Chociaż nie jest to dzieło uda-

dawnych kumpli oraz Linda Cardellini jako żona Capone.

THRILLER PARANOICZNY

Matt Zoller Seitz, krytyk „New York Magazine”, napisał w swojej recenzji dla prestiżowego portalu RogerEbert.com, że „Capone” to „Irlandczyk” dla ubogich (nawiązanie do ostatniego filmu Martina Scorsese). Podobieństwo jest powierzchowne. Tu i tam mamy gangstera stojącego nad grobem i spotykającego się z własną przeszłością, jednak Scorsese dał nam filmową medytację nad sensem życia, wyborami, których dokonujemy, grzechami nie do wybaczenia i możliwymi drogami ku odkupieniu. Josh Trank przedstawia artystyczny thriller paranoiczny – dzieje się tu niewiele poza tym, że dogorywający Capone jest obsesyjnie podejrzliwy. Ma ku temu powody. Przed odsiadką ukrył 10 mln dol. FBI ma więc rezydencję gangstera na podsłuchu. Ale może forsy chcą też dawni kumple? A może bliscy Capone? Al nigdy nie ufał nikomu, nawet najbliższym, wszystkie ważne informacje zamykając wyłącznie we własnej głowie. Dlatego pięknym przewrotnym momentem jest ten, kiedy wyznaje, że ukrył pieniądze, ale... nie pamięta gdzie.

Jeśli nie o karierze gangstera, nie o żalu za grzechy, nie o jesieni patriarchy, to o czym właściwie jest to film? Trop jest znajomy – rodzina. „Czy człowiek jest dobry, poznajemy po tym, co zrobił dla swojej rodziny” – słyszymy w pewnym momencie z ekranu. Wedle biografów Capone z żoną żył szczęśliwie. Ostatnie lata spędził w Palm Island z Mae, w otoczeniu wnuków. Czy to powinno coś zmienić w naszej ocenie tej ponurej postaci? Nie sądzę. W filmie Tranka pojawia się jednak sugestia, że Capone miał także nieślubnego syna, którego istnienie trzymał w tajemnicy. Ta figura dołącza do grona duchów nawiedzających Alę dniem i nocą. Jeśli bowiem gdzieś obraz Joshua Tranka jest naprawdę dobry, to właśnie tam, gdzie zaciera granice między tym, co realne, a zwidami chorego gangstera. Reżyser i scenarzysta w jednej osobie skazuje Capone na piekło po trzykroć – za winy gangstera, za winy ojca rodziny i za winy człowieka, który wyparł się swego dziecka.



★★★★★

REŻ. JOSH TRANK
„CAPONE”
USA 2020

wyst. Tom Hardy,
Matt Dillon, Kyle
MacLachlan,
dostępny na
platformach VOD

„Capone”, trzeci film w dorobku Joshua Tranka, może być nowym początkiem jego kariery, pewne jest, że mocno podzielił widzów i krytyków. Trzydziestosześcioletni reżyser ma za sobą dziwną drogę. Debiutował wcześniej i z przystępem. W roku 2012 jego „Kronika”, niskobudżetowy film o nastoletnich niechętnych superbohaterach, zarobiła ponad 120 mln dol. i przyniosła Trankowi natychmiastowe propozycje od wielkich hollywoodzkich korporacji. Miał nakręcić film z uniwersum „Gwiezdne wojny” (spin-off, którego bohaterem

miał być łowca nagród Boba Fett). Powierzono mu reboot „Fantastycznej Czwórki”. Z pracy dla Lucasfilmu zrezygnował, bo spodziewał się, że i tak będzie wyrzucany. Podczas pracy nad „Fantastyczną Czwórką” skłócił się ze wszystkimi: ze współpracownikami, z producentami, ze studiem. Kto inny zmontował ostateczną wersję (fatalną zresztą), a sfrustrowany Trank sam wbijał gwóźdź do własnej trumny, publicznie krytykując studio, tocząc na Twitterze wojny z krytykami i blogerami, płacąc za awanturę zdrowiem i rozpadem małżeństwa.

Nad scenariuszem „Capone” Trank pracował od 2016 r., w roku 2018 popadł w depresję, bo z powodu innych zobowiązań Toma Hardy’ego produkcja przesunęła się o rok. Trank wiązał z projektem wielkie nadzieje, marzyła mu się premiera w Cannes, w Wenecji, tymczasem okazało się, że nawet znalezienie dystrybutora jest problemem. Potem pandemia storpedowała plany promocyjne.

Josh Trank ogarnięty obsesją kontroli nad swym dziełem pobiera bolesne lekcje. Wybrał ryzykowną drogę – chce stworzyć kino autorskie, ale z materii komercyjnej, o to przecież pokłócił się i z Lucasfilmem, i z 20th Century Fox przy „Fantastycznej Czwórce”. „Capone” to film, który zrobił po swojemu. Czy będą następne? Warsztatu i czucia kina Joshowi Trankowi nie brak. Gorzej z pokorą i umiejętnością współpracy. Hollywood toleruje wielkie ego tylko wtedy, gdy stoi za nim naprawdę gigantyczny talent, a na horyzoncie mającą wielkie zyski z przyszłych projektów. Na razie Josh Trank nie gwarantuje ani jednego, ani drugiego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Po wydrukowaniu w „Nowej Fantastyce” (7/2020) opowiadania „Dalian, będziesz ćwiartowany!” – „pastiszu o wojach i rycerzach na koniach, ścigających z pochodniami ostatniego światłego geja” – na jego autora Jacka Komudę wylała się fala hejtu środowisk LGBT. Redakcja „NF” uległa jej i przeprosiła za publikację. Tydzień temu opublikowaliśmy pierwszą część tego opowiadania. Poniżej dokończenie



Jacek Komuda

Dalian, będziesz ćwiartowany!

7.

Gdzie jest Czapla? Co to jest Czapla? Jaksa zadawał sobie te i inne pytanie bez przerwy, kiedy dotarli do Winety; położonego na palach wolnego miasta u ujścia Duny. Rzeka wpadała tutaj do morza, rozdzielając się na wielomilowe rozlewiska i odnogi tworzące prawdziwy labirynt zatok, skalnych progów i przystani. Lody po zimie już przeszły, silny prąd przepchnął zatory do otwartego morza, oczyścił szerokie lustro z brył i potrząskanych szarych płyt, spiętrzających się na zakrętach w niebezpieczne zatory i lodowe pola.

Czapli nie mogli znaleźć. Nie było takiej karczmy, zajezdznego domu, miejsca, świątyni, ba – żadnej skały, kamienia. Słowa „pod Czapłą” nie mówiło nic. Nikomu, nigdzie, w żadnej części grodu. Jaksa nie powstrzymywał gniewu. Szarpał Dalianem, ponieważ, gdyż narastało w nim przekonanie, że tamten go okłamał. Szturchany Dalian wyjeżdżał mu wtedy z rycerskim słowem honoru. On sam, który uważał obcyzaje herbowych za przeżytek, dowód niższości

Lędziców wobec Taurydów, teraz zasłaniał się słowem jak puklerzem. Szczwany lis...

Dopiero kiedy Jaksa zaczął rozpytywać o Getko, opisywać go jako zbiega ze Starej Gnieździcy, wpadli na trop. Chłopaczek wynajmowany w porcie do roznoszenia podpłomyków, szepnął, spuszczać wzrok.

– Na Wielkiej Bindudze, panie. W domu na palach, nad samą wodą. Tam ponoć siedzi ktoś taki.

Jaksa nie czekał ani chwili. Popchnął Daliana, zawołał towarzyszy. Poszli!

Wielka Binduga leżała przed Winetą, na stromym wschodnim brzegu Duny opadającym łagodnie. Tutaj wyciągano na brzeg kłody drewna z rozbieranych tratw spławianych Duną z ogromnych lasów zarastających strome stoki gór Kręgu. Przecierano je piłami, ociosywano w kłocę toporami, robiono deski, wygładzano dyle, część drewna przeznaczając do pobliskiej łasztowni, na klepki, na wręgi łodzi i statków. O każdej porze roku panował tu ruch i wrzała praca. Nad brzegiem piętrzyły się

ogromne stopy pni: szarych jodeł, chropawych smreków, potężnych sinych dębów i buków o gładkiej korze. Spomiędzy nich wychylały się wątle chatynki, kryte słomą, dranicą, pochylone jak stare wiejskie wiedźmy. Nie cichnął łoskot toporów i wielkich ręcznych pił.

Było tu niebezpiecznie. Binduga rządziła się własnymi prawami; nie jak Wineta. Obcy nie byli mile widziani.

Dom, który wskazał chłopak, stał nad samą wodą, na palach; wejście było po chybottliwych schodach z nadgniłych, rozsypujących się pniaków.

– Wilkomir, Viggo, schowajcie się – rozkazał Jaksa. – Patrzcie na chatę i otoczenie. Gdyby zrobiło się gorąco, wkraczajcie. Ty, Dalian, pierwszy.

Weszli na schody; rycerz co chwila boleśnie trącał idącego przed nim uciekiniera. Czekał, kiedy tamten otworzy drzwi, wszedł zaraz za nim, z dłonią na mieczu.

Izba była przestronna, tylko jedna, z paleniskiem pośrodku i wąską strużką dymu unoszącą się wysoko i znikającą w dziurze

w dachu. Za ogniem stał stół zastawiony drewnianymi kuflami, znad naczyń zaś unosiły się cztery wąsate i brodate gęby, z włosami białymi jak szron, z dziko rozbawionymi oczyma. Skandingowie. Co gorsza, patrząc po rozmiarach beczki w kącie; nieże już pijani.

Dalian stanął jak wryty, spoglądał na to wszystko z przerażeniem, a tamci gramolili się zza stołu.

– Getko? Jest tutaj?

– Jestem! Jestem – zapiszczał udawanym damskim głosem jeden ze Skandingów. – Och, moje kochanie przyszło do mnie wreszcie. Pójdź do tatusia, wymasuj mi kniazia!

Pozostała trójka zarechotała.

– Taki z ciebie Getko jak ze mnie prąśniczka! – mruknął Jaks. – Gadajcie, jest tutaj czy nie?

– Pyszcze! – jęknął więzień.

– Skrzywdziliście go?

Skanding sięgnął pod stół, podniósł rękę, trzymając za włosy... obciętą głowę mężczyzny o delikatnych rysach; nawet po śmierci wyróżniającą się wśród twarzy obecnych tu ludzi, niczym alabastrowa rzeźba z Taurydyki wśród pogańskich idoli.

– Daj buźki Pysczkowi! – zakrzyknął dzikus. – Czekaj tu na ciebie długo, aż zapłakał krwawymi łzami.

Rzucił w więźnia czerepem. Dalian jęknął, wyciągnął ręce, chcąc złapać głowę kochanka; ale nie dał rady. Głowa Getko potoczyła się ze stukotem po deskach, aż pod palenisko.

– Zabiliście go! – krzyknął Jaks. – Na Jesse!

– Ty jesteś Dalian – powiedział tymczasem inny z wojowników, wyciągając paluch w stronę uciekiniera – flok z Lendii. Ścigają się. Słyszałem.

– Gdzie go zabiliście?!

– Dwa dni temu, na bindudze. Piliśmy razem, nie powiem, najpierw w zgodzie; bo przyszedł dopytywać nas o tego właśnie – Dymańca.

A kiedy popiliśmy, wyszło, że flok, za jajca nas złapał, za mocno się przystawiał.

– Finnar dał mu w gębę i... Jakoś tak wyszło, że zaraz skapiał. A w prawie był Finnar, bo fłokowi nie dopuszczać żyć na ziemi.

– Obcy, my nic do ciebie nie mamy – rzekł trzeci. – Ale zostaw nam tego tu gaszka i pocałuj drzwi z drugiej strony.

– Pójdę, ale z nim. I z twoją ręką, jeśli ci nie w smak. On jest pod moją ochroną.

– Nie wyglądałeś na odmieńca! A jednak...

Porwali się zza stołu, obchodząc ich z lewa, z prawa. Śmierdzący, pijani, kołysali się na nogach; broń w rękach: dwa topory, nadziak, kord.

Dalian zadygotał, obrócił głowę do Jaksy ze złym, kpiącym uśmiechem.

– Dałeś słowo, chujcerzu! Teraz mnie broń!

Jaks uchwycił go za ramię, szarpnął, zasłonił samym sobą, chciał się cofnąć i wtedy... wpadł.

Prosto na twardy jak kamień, okryty futrem kałdun Skandinga z wytatuowaną twarzą. Rossala stał w drzwiach, za nim Gorda i jej zbrojni. Wszyscy dyszący, śmierdzący koniem i żelazem.

Lecz zza ich pleców wyszedł Wilkomir.

– Zostawcie pana Jakse – wydyszała wojownicza. – Ręczę za niego słowem. To swój człowiek.

– Więc to jest Dalian! – mruknął Rossala.

Złapał mężczyznę za ramiona, rąbnął go w twarz głową, nie dobywając broni, rzucił na stół, aż poprzewracały się kufle i dzbany. Skoczył na niego, przyduszając kolanem, poprawił z byka w gębę, aż oblicze fłoka pokryło się krwią.

Jaks przyłożył mu ostrze miecza do karku.

– Zostaw go! Nic nie powie, a tylko go zabijesz.

– Wyjąłeś na mnie miecz, Lędzicu – wydyszał Skanding.

– Dobrze zrobiłem.

– Dobrze zrobił! Zostaw go do kurewskiej i niespodziewanej śmierci. Albo fik z mojego gródka, spod ochrony! Fik – prosto na powrót! – krzyczała Gorda.

– Żebyś pomału konał. – Rossala rozluźnił uścisk, odstepił, unosząc ręce, jakby pokazując, że nic nimi nie robi.

– Gdzie jest to, co ukradł sobie Getko? – zapytał Jaks.

– Idź, idź... – wystękał błądy, krwawiący z ust Dalian. – Idź do biesów, chujcerzu... Nie wiem.

– Mieli się spotkać na Czapl. Słyszał ktoś o takim miejscu?

– Może Getko miał coś przy sobie – rzekł niespodziewanie Viggo. – Macie jego rzeczy? Pokażcie.

Finnar kopnął otwartą sakwę leżącą pod ścianą.

– Ja się do tego nie dotknę! Jeszcze się zarażę!

Jaks pochylił się, włożył rękę do środka, wyciągnął jakieś zawiniątko i... zwój.

– Nie dotykaj! To pismo; jakieś czary, próbował użyć ich na nas.

Jaks rozwinął list, podniósł do oczu, przeczytał. Skandingowie zarechotali.

– Hańba dla mężczyzny kreślić rezy klechów, pątników i niewiast. – Rossala splunął. – Może, Lędzicu, minąłeś się z powołaniem; mamrotanie w zborze przystoi ci lepiej niż miecz.

– To glejt – powiedział Jaks. – Dla nich dwóch. – Pokazał wzrokiem Daliana. – Glejt wstępu do Taurydyki, z prawem zamieszkania. Cenna rzecz, zależy wszakże dla kogo.

I wtedy, skulony, złachmaniony Dalian poderwał się ze stołu rozdygotany. Jednym ruchem wyrwał Jaksie pismo. Ścisnął w ręku.

Getko nie kłamał. Zdobył dla nich lepszy, wspanialszy świat. Otworzył przejście, tylko dla nich.

– Gdzie jest ta przeklęta Czapla? Ona, a może on! – wybuchnął Jaks. – Już wszystko wiem, poukładałem sobie. Mów, odmieńcze – a będziesz żyć!

– Będę żył. Bo przysięgałeś, chujcerzu – wybełkotał Dalian.

– Nie obiecywałem, że nie zostawię cię z nimi.

– Wiem, co to jest! – wybuchnął nagle Finnar.

– To nie dom ani miejsce. To statek. Długi, ciężki dromon Taurydów. Stoi na Bystrej Odnodze za grodem, na kotwicy, jakby na kogoś czekała! Tak, ma przód wyrzeźbiony jak łeb czapli. Na pewno!

– To ja – rzekł niespodziewanie Dalian – ja zaprowadzę.

Nagle wyjął coś z zanadru – piszczałkę niczym rozdzwajający się kawałek korzenia. Włożył do ust i zagrał.

Gwizd, a raczej kilka gwizdów przeszyło powietrze, wwierciło się w uszy, w głowy, w żywoty. Jaks wyciągnął rękę, aby uchwycić Daliana, ale był zbyt wolny, za wolny, baaardzo wolny. Tak strasznie wolny, jakby czas rozciągnął się niczym rozplatany powrót. Widział otwarte do krzyku usta Skandingów, plecy umykającego Daliana, opadające topory, tarcze, potrąconego, walącego się na deski Finnara.

A kiedy wszystko przyspieszyło, gdy szum w uszach rozbił się znowu na perliste potoki dźwięków, Daliana nie było w chacie.

– Za nim! – darł się Rossala. – Łapaj, trzymaj odmieńca!

Z łoskotem i brzękiem Skandingowie rzucili się do drzwi. Jaks złapał za ramię Viggo.

– Na binduge! – wykrzyczał. – Znajdź mi łódź!

8.

Czapla stała na kotwicy, dokładnie tam, gdzie wskazał ją Finnar. Długi i dość wysoki taurydyjski dromon, z ogromnym, trójkątnym żaglem na razie zawiniętym na rei i dziobem wyrzeźbionym w głowę ptaka, stał na Bystrej Odnodze na kotwicy, jak czapla ze złożonymi skrzydłami. Płynąc od tyłu, widzieli jego wyniosłą rufę, opuszczone i zanurzone w wodzie obie płetwy sterowe. Wiosła były wciągnięte, na pokładzie pusto.

Łódź już dotknęła wyniosłej burty, obitej miedzianą blachą od wysokości wiosł w górę. Jaks wstał, zamachnął się kotwiczką, rzucił ją, aż ze stukotem zaczęła się o nadburcie. Naciągnął, trzymała mocno.

– Za mną!

Chwycił linę i zapierając się kolanami o bok statku, wywindował się w górę, przerzucił rękę przez drewnianą ścianę osłaniającą pokład, podciągnął, przewalił przez brzuch. Od razu się obrócił i wciągnął na pokład Wilkomira; kiedy ten za chwilę podawał rękę Viggo, Jaks rozglądał się po pokładzie.

■ Załoga była, a jakże: na rufie, koło tylnej, wznoszącej się skośnie nadbudówki. Brodaci i wąsaci ludzie w kubrakach, przepasani pasami, bosi i w skórzanych ciżmach, w koszulach z zawiniętymi rękawami. Żeglarze z Taurydyki; przy Skandingach wyglądali jak kundle, ale było ich ze dwudziestu, może więcej. Siła.

Jaksa nie dał im się opamiętać. Potoczył wzorkiem po pokładzie. Ładunek! Gdzie był ładunek? Pod pokładem? Na rufie?

Rozległy się krzyki, groźby; tamci już szli w stronę nieproszonych gości.

Dostrzegł ogromny pakunek pod głównym, pochylonym do przodu masztem. Kanciaste pudło obłożone grubymi płachtami nasączonego tłuszczem płótna. Spod niego dochodziły szmery, jęki.

Przyskoczył tam, dobywając miecza, przeciął linę, szarpnął i oderwał kawał płachty od drewnianych prętów. Odrzucił, odsłaniając klatkę, a w niej...

Rozległ się pisk, cienki krzyk, płacz.

Wewnątrz były dzieci! W koszulach, sine od chłodu, brudne, niektóre pokrwawione i rozdygotane, przyciskające do drewnianych krat twarzyczki, po których ciekły łzy.

– Zdracy! – krzyknął w stronę załogi.

– Ludokradcy! Odstąpcie albo zawiśnięcie!

– Łapać go! – krzyczał szyper: – I do wody!

To nie byli wojenni ludzie, ale żeglarze.

Zresztą żadni wojownicy z Taurydów. Jednak mieli broń – długie, krzywe noże, jakieś kordy, krótki miecz. Sam nie miał pancerza, ściągnął z pleców lekką tarczę, osłonił się od przodu, z lewej; z prawej przypadli Wiggo i Wilkomir.

Z krzykiem, łoskotem przyjęli pierwsze uderzenia – jeszcze niepewne. Jaksa osłonił się tarczą, odbił cios kordem, odrzucił przeciwnika kopniakiem, zbił uzbrojoną rękę brzegiem puklerza, rąbnął drugi raz tarczą, posyłając go na deski. Na krótką chwilę obrócił się do klatki.

– Ordo! Jesteś tu?!

Opadli ich z trzech stron – słabo uzbrojeni, a jednak przeważający. Przez chwilę widział podnoszące się i opadające ostrza. Ktoś zmacał go po boku, Wilkomir dostał po głowie, krew zlała mu oczy; obronił go Wiggo, z dzikim rykiem roztrzaskując przeciwników.

I wtedy Jaksa zobaczył znajome, drobne oblicze między pokrwawionymi prętami, wielkie oczy i ten głos.

– Ojcie! Ojcie, żyje!

Rąbał mieczem z zacieklnością, bo nagle przybyło mu sił. Wyprzedził cios zadany z góry, pchnął mieczem pod szyję przeciwnika, przewalił mu z lewej – tarczą, sam dostał po żebrach; aż poczuł przez chwilę zimne żelazo wbijające się pod skórę. Nic to! W życiu bito go już znacznie boleśniej i w o wiele gorszych okolicznościach. Obrócił się do wroga z prawego

boku, chlasnął mieczem prowadzone płasko ostrze kordu, zbijając je na bok; odrzucił wroga kopniakiem lewej nogi, poprawił ciosem ostrza w bark, posłał kolejnego żeglarza na deski.

– Ordo, słyszę cię! Spróbuujcie wyłamać klatkę!

– Ojcie, próbowaliśmy! Są zbite... bretnalami.

Bronili się jak wilki, osłaniając jeden drugiego tarczami. Wilkomir krwawił, rozdawał na prawo i lewo ciosy, wywijał mieczem, oślepił posoką; nie było czasu, aby otrzeć ją z czoła.

Nagle zrobiło się bardziej pusto, luźno. Żeglarze cofnęli się, pozostawiając trzech jęczących, miotających się na pokładzie rannych. Wiggo zrobił krok w przód, wznosząc pionowo topór; opuszczając go z rozmachem, wbił okute, ostre stylisko w pierś dygocącego wroga, zadając cios łaski. Jęczący przeciwnik zadygotał i szczeł. Jaksa nie patrzył na to; przypadł do klatki, wyciągnął rękę, chwytając drobną dłoń syna. Przycisnął ją do ust.

– Ordo, wytrzymaj! Uratuję cię!

Tupot stóp na kołyszającym się wolno pokładzie! Walili na nich, teraz już wszyscy uzbrojeni w błyszczące toporki, w kordy, żadnych sztyletów, żadnych noży. A z tyłu, z rufy, nadciągało wsparcie. Jaksa zobaczył za ramionami tych, którzy stali w pierwszym szeregu – czarne, mroczne postacie w skórach. Nieludzkie, wysokie, blade i chude. Okryte ciemnymi i brązowymi skórą zwierząt bez futra; na głowach maski z otworami na oczy, nos i usta. Kwerkowie; taurydyjscy wtajemniczeni, kapłani ziemskich rozkoszy, zbrukani i podli, jak cała ich przekłęta nacja niezająca honoru i Praw Praojca.

Obrócił się w desperacji i ciął mieczem w pręty klatki, szukał sposobu, by uwolnić dzieci – bezskutecznie. Drzwiczki były z kutego żelaza, zamknięte na kłódę; pręty z żelaznego drzewa świtowca, utwardzone w ogniu, ostrze broni ledwie pozostawiło na nich skośną rysę.

Opadli ich z tupotem, z gardłowym wrzaskiem; nagle poczuł ciężar w lewym ramieniu; tak mocny, że aż przyginał go do ziemi. Cios, jeden, drugi; stracił tarczę. Rąbnął w łeb, drugie uderzenie utknęło w gęstwinie; z trudem wyszarpnął broń, długi miecz nie był najlepszy do walki w ciasnocie.

I nagle Wilkomir zwał mu się do stóp, podciął Jakse, aż runął na niego. Zobaczył w przełocie nad sobą przeciwnika w barwnym kolecie, wznoszącego krótki miecz; nim zdążył zasłonić się własnym, Taurydyjczyka zgasił Wiggo; ciosem topora odrzucił na bok, krwawiącego i bezwładnego jak okrwawiony łachman.

Jaksa chciał się podnieść. Nie zdołał.

– Żywcem! Biercie żywych! – pisał cienko wysoki Kwerk, obliczając się czerwonym,

ruchliwym językiem jak dziewczka z portowej tawerny. – Chcę ich, dajcie mi!

Nagle las rąk wyciągnął się ku Jaksie, ktoś wyrwał mu miecz. Poczuci cios w plecy, potem w lewy bok, mocne, bolesne, zimne uderzenie. Zacharczał, ślina trysnęła mu z ust.

I nagle poczuł, jak wokół robi się luźniej, a zewsząd rodzi się wrzask, ochrypli, bojowy okrzyk dobyty ze zdartych gardel przyzwyczajonych do tańców śmierci z mieczem i toporem.

– Gordaaaa! Gordaaaa!

Zobaczył, jak w przełocie mija go wojownik w skórzanej zbroi, zdobionej z przodu rezami, podbite futrem z wilka, w prostym, okrągłym hełmie spiętym nitowanymi, żelaznymi obręczami. Rąbie w przełocie mieczem jednego z żeglarzy; ten wałąc się z nóg, bryzgając krwią, podcina kolejnego... Jak za pierwszym nacierającym wojownikiem pędzi drugi, z długą, białą brodą, w szłomie z okrągłymi tarczami osłaniającymi oczy; ten z kolei z dwoma toporami w dłoniach, charcząc od bojowego ryku Skandingów... Wpada na skomlącego Kwerka; odrzuca w bok cienkie, zakrzywione ostrze sztyletu, rąbie skośnie w szyję jednym toporem, drugim; z prawej, lewej... Zdejmuje głowę z karku, prawie ją wyszarpuje, bardziej wyrwa okrutną mocą ciosów, niż odrąbuje!

A za nim przelewają się następni, jak wilki, jak lawina ostrzy. Odbijają okrągłymi tarczami słabe ciosy, obalają wrogów pędem. Biją, mierząc przede wszystkim w Kwerków. A Taurydyjczycy z histerycznym wrzaskiem, z płaczem, rzucają się do ucieczki.

Skandingowie... Nagle zobaczył w przełocie pokryte malunkami, okrągłe i złe oblicze Rossali, furie w jego oczach, kiedy dopadał przy burcie Taurydyjczyka w masce na kształt psa. Rąbnął toporem, rozwalając, łamiąc, masakrując uzbrojone ramie. Kolejny cios rozrąbał pierś, a kiedy jęczący, dygocący Kwerk padł na deski, wojownik stanął na nim, wznosząc zakrwawiony topór.

– Aaaaaa! – wycharczał. – Jak ja to lubię!

Rąbnął z pasją, a kiedy pobiegł z toporem na pozostałych, rozpaczliwie wycofujących się wrogów, dwóch z wrzaskiem wskoczyło do wody.

Jaksa poderwał się, łatwo, bo ktoś szarpnął go za rękę. Zobaczył przed sobą gładkie, okrągłe oblicze przekreślone blizną na czole jak pociemniała krecha.

– Zdążyliśmy! – wydyszała Gorda. – Słabo się trzymaliście, baby!

– Widzisz! – wydyszał Jaksa, wskazując klatki. – Widzisz... Za to, dostali, zdobyli glejt. Getko; psi syn; wyprowadził dzieci z Nowej Gnieździcy. Oczarował pogańską fujarką, zaklął jak... zwierzyne. Po to im było...

Gorda podniosła topór i cięła. Nie, nie w Jakse; w drzewiczki, w kłodę. A ta z brzękiem pękła, odskoczyła. W klatce podniósł się pisk, płacz, nagle dzieciaki poczęły wypadać na zewnątrz; Gorda i Jaksa znaleźli się w tłumie małych istotek, płaczących, szlochających, obejmujących ich.

– Ordo! Ordo!

Przepchał się wreszcie do syna; mały nie płakał, nie szlochał, za to cały dygotał. Zaciśnął dłoń w pięści, okładał przez chwilę plecy i bok ojca.

– Boli, Ordo! – wysyczał Jaksa. – Nie tak mocno. Trochę mi się oberwało.

– Oni byli... byli... tacy straszni. Straszni... Ci czarni.

– Zrobili ci coś? – Jaksa zdreptał od myśli, która nagle wybuchła mu w głowie, świdrowała, wzbudzała wściekłość. – Zabrali cię do siebie, ci... czarni?!

– Próbowali, tatusiu. Ale nie dałem... ugryzłem jednego. Wtedy mnie pokarali.

– Jak?

Ordo podciągnął koszulę, Jaksa zobaczył plecy pokryte bliznami. Mimo wszystko odetchnął.

– Wytrzymasz, mały. Mnie gorzej bili, przypiekali, rozciągali, a żyję. Wytrzymasz wszystko, bo jesteś moim synem i potomkiem Selene!

Jaksa przycisnął go mocno do siebie, podniósł głowę, szukając wzrokiem wrogów, ale nie było się z kim bić. Rossala i pozostali skandynawie wybili wszystkich – żeglarzy, Kwerków, na pokładzie. Ten tylko nie padł w boju i nie został dobity, kto wcześniej nie rzucił się ze statku do rzeki.

Finnar podniósł odrąbaną głowę Kwerka, szarpał, zdzierał z niej brązowoszarą skórę zwierzęcia, zadumał się, kiedy spod pokrwawionych skór pokazało się szare, pokryte bielmem śmierci, starannie wygolone oblicze mężczyzny.

– Na starych bogów – jęknął. – Toż to ludzie? A myślałem – biesy!

– Odmieńcy, nie ludzie – odparowała Gorda. – Wszystko, dla czego żyją i kogo pragną, to dzieci. Oj, chodźcie do mnie maleństwa! – Wyciągnęła ręce. – Zabiorę was stąd.

– Zafajdana robota z takimi popaprańcami – rzekł Rossala, wracając z rufy. – Żadna to chwała bić takie coś, co piszczy jak baba i ucieka.

Wszedł między dzieci, rozglądał się i nagle znieruchomiał jak stary, porośnięty mchem pniak z pradawnego boru. Dzieci bowiem jak dzieci, jedne płakały, wołały mamy, taty, drugie siedziały cicho. Lecz jeden chłopiec złapał za stylisko topora Rossali. Nie chciał wypuścić.

– Ejże, zostaw, to moje.

– Daj mi, daj mi, chcę tego!

– Nie zasłużyłeś jeszcze na broń, gówniarzu!

– Chcę ich bić, bić! Daj mi, ja im pokażę.

– Naucz się najpierw, jak używać tego –

Rossala dotknął palcem głowy – i tego.

– Poklepał się po ramieniu. – Wtedy ja pokażę ci, jak używać topora. A w ogóle – dodał, patrząc na zawzięte oblicze małego – podobasz mi się!

Nagle go podniósł, posadził sobie na karku, przytrzymał za nóżki.

– Zabierajmy się stąd – powiedział Jaksa.

– Spuśćcie dzieciaki do łodzi.

– Wreszcie powiedziałeś coś do rzeczy, Lędzicu.

9.

– Lędzice wolni i poddani, szlachetni i pasowani, służebni i miejcy! Pilnie nadstawiajcie uszu. I wy, co sprzedajecie na ławach. I wy, pachotkowie, i ty, panie w krasnym kubraku, i wy, sławetny kupcze z Posawy. Tak, do was mówię! – Głos wywoływacza rozchodził się szeroko i daleko. – Są tu sieroty biedne, przez odmieńców wyprowadzone do dalekiej Taurydyki. – Hej, przypatrujcie się pilnie nieszczęsnym. Nie mają one ojca ani matki, nie wiedzieć, czyje są, bierzcie je, aby nie zmarniały na gościńcu.

Wokół gąsiora, w którym tkwił jakiś niewesoły oberwaniec, zgromadził się tłum. Dzieci siedziały, spokojniejsze niż wówczas, kiedy Jaksa i Gorda uwolnili je na taurydyjskim statku. Większość wróciła do rodziców, tu pozostały osamotnione, nikt nie zgłosił się po nie.

– Patrzcie na one sierotki, co przez przekłętą odmienięca zostały bez rodzin. Opiekunowie ich zgubieni albo nie żyją, dajcie więc im odrobinę szczęścia.

Tęga baba w zapasce i chuście na głowie ujęła za rękę wysokiego, chudego chłopca rozglądającego się bezradnie dokoła. Obok szlochała mała dziewczynka.

– Znak potrafisz uczynić? – spytała szybko.

– W Praojca wierzysz?

Pokiwał głową i uczynił znak włóczni na czole.

– To chodź.

Mała dziewczynka obok rozplakała się jeszcze bardziej.

Rossala spojrzął na małego chłopaka; tego samego, którego wyniósł na rękach z ohydneho taurydyjskiego statku. Położył mu rękę na głowie.

– Pójdiesz ze mną, mały – powiedział.

– Podobasz mi się i... nie chcę być sam. Zajmę się tobą, bo jeszcze weźmie cię jakaś baba.

– Dobrze robisz – powiedział Jaksa, który stał, trzymając wodze konia, na którym siedział jego uwolniony syn. Popatrzył na niego i westchnął. – To już koniec.

– Nie, to nie koniec, Lędzicu – mruknął Rossala. – Znajdę go... jak tu wróci. Bo każdy z nich w końcu wraca. Kiedy zobaczy, jak tam naprawdę jest.

Podniósł malca i przytulił – on, brutalny, dziki człowiek północy, z gębą mogącą straszyć w nocy.

– Nazwę cię Wencza – powiedział. – Trzech miałem synów: Wenczę, Justę, Borka. Ty zastąpisz najstarszego.

– Co się z nimi stało? – zapytał Jaksa.

– Porwali ich Taurydyjczycy. Tak samo jak twojego Orde. Nie bój się, znajdę jeszcze dwóch. I nazwę tak samo jak ci, którzy zginęli. Ku pamięci.

Posadził sobie malca na karku i ruszył, ciężko, powoli, szeroko stawiając nogi.

– Ona będzie płakać – mówił tymczasem chłopiec, którego ciągnęła za sobą postawna niewiasta. – Ta mała, nazywa się Weneda.

– To... – powiedziała kobieta. – Niech już idzie z nami. Wezmę was oboje.

10.

Kiedy logofet otworzył salę Domu Oświeconych, Dalian myślał, że śni zły sen. Kamienne pomieszczenie było ciasne, wilgotne, bez okien. Jedynie z góry wpadał wąski strumień światła, obramowując kamienny stół, podwyższenie z siennikiem, dzban z wodą i woskowe tabliczki z rysikami.

– To twoje miejsce, Dalian – powiedział urzędnik. – Odpocznij; od jutra zaczniesz służyć. Jedź!

Skinął na pomocników; jeden z nich postawił na kamiennym stole drewnianą miskę z białymi ziarnami. Z opowieści podróży Dalian pamiętał, że nazywano to ryżem. Lecz nie mógł uwierzyć, nie trafiało do niego, że to wszystko kończy się... tak właśnie.

Logofet musiał czuć na sobie przerażony wzrok mężczyzny, bo uśmiechnął się w gęstwinie czarnej brody.

– To twoje miejsce, taaa! Spodziewałeś się czegoś innego, Lędzicu? Nie sprawdziliście się z twoim gachem. Gdzie pisklęta, które miały być dostarczone? Gdzie umowa? Masz coś do powiedzenia?

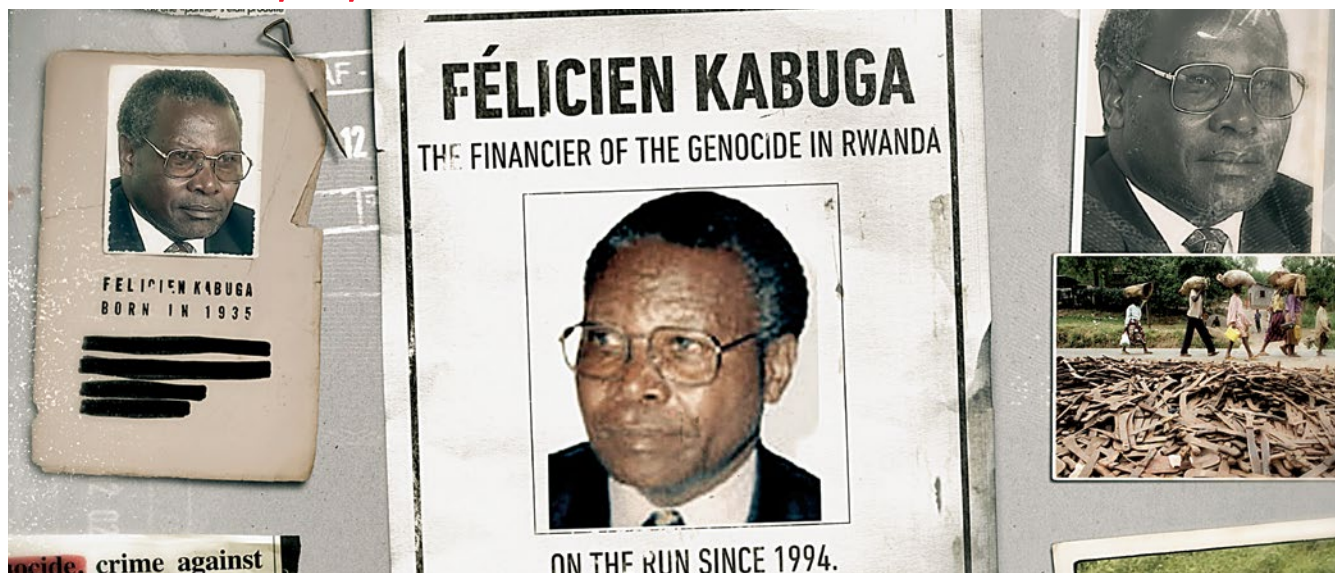
Milczał.

– Siedź tu i myśl, co możesz uczynić dla archikratora. Znasz tajemnice twoich pobratymców? Lędziców, Swarnów? Myśl. Spisuj. Ja będę czytał i osądzę, czy jeszcze się przydasz czy nie.

Drzwi zatrzasknęły się, zgrzytnęły zasuwę, jak w więzieniu, pozostawiając Daliana samego.

Wtedy uderzył pięścią w kamienny stół aż do bólu; raz drugi trzeci.

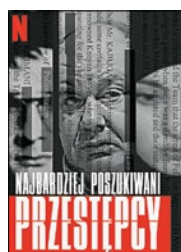
– Niiieeeeeaaawidzę!



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Żywi lub martwi



★★★★★
SEZON 1
„NAJBARDZIEJ
POSZUKIWANI
PRZESTĘPCY”
 („WORLD'S
MOST WANTED”)
USA 2020,
DOKUMENTALNY,
NETFLIX

Tak jak większość dokumentalnych serii true crime Netflixa, także ta przynosi spory przerost formy nad treścią. Nie mogło być inaczej, skoro bohaterami są ludzie sławni z tego, że niewiele o nich wiemy (a o miejscu pobytu – zupełnie nic). Galeria to tyleż różnorodna, co ponura. Z polskiego punktu widzenia najciekawszy jest odcinek o Siemionie Mogilewiczu, ojcu chrzestnym rosyjskiej mafii, działającej pod kryszą równie bandyckiego państwa Putina. A szczególnie ciekawy fragment, w którym czescy policjanci, którzy byli o krok od aresztowania krwawego bandziora, opowiadają, jak zniszczono im życie fałszywymi oskarżeniami i wieloletnimi procesami. Mogilewicz miał w kieszeni urzędników, sędziów

oraz gliniarzy na Węgrzech i w Czechach. Na usta ciśnie się od razu pytanie: A co z Polską? Dowiemy się tego kiedyś? Wszak mafia pruszkowska pełniła de facto funkcję delegatury mafii sołncewskiej na Polskę.

Najmniej znaną polskim widzom bohaterką cyklu jest zapewne Samantha Lewthwaite, znana pod kryptonimem Biała Wdowa, Irlandka, której arabski mąż dokonał zamachu na londyńskie metro. Lewthwaite okpiła nie tylko brytyjskie służby specjalne. Zanim się zorientowano, że nie jest ofiarą, lecz inspiratorką aktów terroru, zdążyła zaszyć się w Afryce, gdzie kierowała m.in. krwawym rajdem na centrum handlowe w Nairobi. Dzisiaj ukrywa się prawdopodobnie na pograniczu Kenii i Somalii.

A oto i pozostali ścigani. Ismael Zambada García „El Mayo” – król narkotykowego biznesu w Meksyku, który swego czasu wpełchnął w ręce DEA niesławnego „El Chapo”. Amerykanie odnotowali sukces, „El Mayo” ukrył się jeszcze lepiej i wciąż zarabia krocie. Matteo Messina Denaro, ostatni z wielkich donów cosa nostri, ścigany m.in. za zorganizowanie zamachów na sędziów śledczych Giovanniego Falcone oraz Paola Borsellino. Wreszcie Félicien Kabuga, człowiek, który organizował machinę propagandową podlegającą w Rwandzie do ludobójstwa dokonanego na ludności Tutsi. Kabuga był także importerem gigantycznej liczby maczet, które rozdano bojówkarzom, by byli bardziej efektywni w mordowaniu.

Tylko jedna z tych pięciu historii kończy się aresztowaniem tropionego zbrodniarza, nie zdradzę która. Ciąg dalszy nastąpi – w aktualnej dziesiątce najbardziej poszukiwanych przez FBI są już nowe nazwiska, więc filmowcy z Netflixa będą mieli co robić przez długie lata. ©



NOWE SERIALE: „PRZYSIĘGA”

Twórcy firmy NXIVM reklamowali ją jako korporację marketingową, organizowali seminaria „Jak odnieść sukces”, jednak za tą przykrywką kryła się sekta, która ciągnęła zyski z handlu żywym towarem. Kobiety rekrutowane do sekty były znakowane i poddawane praniu mózgu, by przekonać je, że ich życiowym przeznaczeniem jest

rola seksualnych niewolnic. Odkrywana w serialu HBO historia jest szokująca, zarówno jeśli chodzi o zasięg działania grupy, jak i to, jak długo udawało się jej działanie bez przeszkód. NXIVM powstała w 1998 r., na procesy i wyroki trzeba było czekać do roku 2019. © © Piotr Gociek
• reż. Jehane Noujaim i Karim Amer

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Mischa Kamp, „Cały świat Romy” („Kapsalon Romy”), Holandia 2019, Cineman
- reż. Henry Joost, Ariel Schulman, „Project Power”, USA 2020, Netflix
- reż. Jake Kasdan, „Jumanji: Następny poziom” („Jumanji: The Next Level”), USA 2019, HBO

Imam na kozetce

W KINACH

Dyrekcja fabryki obuwia, poszukując nowych rynków zbytu, wysłała emisariuszy do Afryki. „Nic z tego, wszyscy chodzą na bosaka. Wracam w środek” – telegrafuje pierwszy. „Nieograniczone możliwości ekspansji. Wszyscy chodzą na bosaka. Czekam na dostawę” – raportuje drugi. Ten dowcip z brodą pasuje do „Arab Blues”. Bohaterka filmu para się bowiem psychoanalizą i w poszukiwaniu klientów porzuciła Paryż, by rozpocząć praktykę w Tunisie. Tymczasem większość tubylców nie marzy o niczym innym, jak o podróży w przeciwnym kierunku.

Wiesz, że młoda kobieta z Francji zaprasza wszystkich chętnych na kozetkę, wzbudza zrozumiąłą sensację. „Tu nie Europa, mamy Boga

i nie potrzebujemy tych bzdur” – zżymają się konserwatyści, lecz i oni tęsknym okiem spoglądają w stronę gabinetu, ozdobionego portretem Freuda w fezie. Wiadomo, każdy człowiek musi się wygadać, a południowiec – szczególnie. Pewnemu piekarzowi śni się, że całuje go Putin.



★★★★★

REŻ. MANELE LABIDI
„ARAB BLUES”
 („UN DIVAN
 À TUNIS”)

FRANCJA/TUNEZJA
2019, GUTEK FILM

wyst. Golshifteh Farahani,
Majd Mastoura,
Aisha Ben Miled

Selma pomaga innym „znaleźć drzwi do szczęśliwszego życia”, sama będąc osobą samotną i sfrustrowaną. Film jest autentycznie zabawny. Nie lakierując rzeczywistości, próbuje udowodnić, że mużlanie są ulepieni z tej samej gliny co inni ludzie. W przypadku Tunezyjczyków, praktykujących od niedawna demokrację i kulturowo najbliższych Europie, może być to prawda. ©©

Wiesław Chełmniał



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „FACTORIO”

Aby zagrać w pełną wersję „Factorio”, trzeba było czekać aż osiem lat. Tyle zajęło niezależnemu studiu deweloperskiemu z Czech stworzenie strategii ekonomicznej równie skomplikowanej, jak skonstruowanie wielkiej fabryki na obcej planecie zaraz po tym, gdy rozbija się nasz statek ko-

smiczny. W końcu bez automatyzacji pozyskiwania surowców iciągających się w nieskończoność linii produkcyjnych nie wyprodukujemy rakiet, która zabierze nas do domu. A o to w „Factorio”, wraz z obroną przed stworami zamieszkującymi nieznany świat, chodzi. Coś dla zaawansowa-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nych graczy z dużą ilością wolnego czasu. ©©

Marcin Makowski

- Gatunek: Strategia/ekonomiczna
- Platforma: PC
- Producent, dystrybutor: Wube Software
- PEGI: 4+

PODĄŻAJ ZA KURĄ

NBGO GO



★★★★★

REŻ. ALMA HAR'EL
„SŁODZIAK”
 („HONEY BOY”)
USA 2019

wyst. Shia LaBeouf, Noah Jupe,
Lucas Hedges

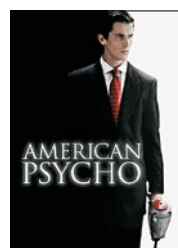
Shia LaBeouf, niegrzeczny chłopak z Hollywood, po kolejnym wybuchu w ramach terapii musiał spisać wspomnienia. Wyszedł mu z tego scenariusz o dzieciństwie spędzonym w towarzystwie nerwowego tatusia. Podejrzewam, że Jeffrey – w filmie przechrzczony na Jamesa – znowu wkurzył się na jedynaka. Shia sportretował go bowiem jako żałosnego typka, który śmieje się z własnych dowcipów, wie wszystko, był wszędzie i żadnej babie nie przepuści. Jakim cudem przegrywa z kryminalnym epizodem w biografii został opiekunem wschodzącej gwiazdy show-biznesu, Bóg jeden raczy wiedzieć. Teza o grzechach rodziców przechodzących na potomstwo jest bardzo amerykańska.

Ciężko jednak uwierzyć, że z rezolutnego 12-latka (znakomita rola Noaha Jupe) wyrósł narcyz z kompleksem niższości, którego na właściwą ścieżkę musi naprowadzać drób. W jednym toksycznym James ma rację. Wszystko przemija, przetrwają tylko opowieści i marzenia.

KREW NA WIZYTÓWCE

N

Miał być dreszczowiec, wysłał jadowita satyra na lata 80. XX w. Z ekranizacji powieści Breta Eastona Ellisa dowiadujemy się, że yuppies – dobrze sytuowani, wymuskani młodzieńcy w garniturach i ze słuchawkami na uszach – to pustaki, których życie sprowadza się do kulturowania środowiskowych rytuałów. Trudniej uwierzyć, że jeden z owych dandysów z epoki Reagana, ogarniętych obsesją na tle wyglądu i gustujących w miłej muzyce pop, jest bezlitosnym zabójcą. Christian Bale gra obłąkanego maklera z właściwą sobie intensywnością. Nie potrafię sobie wyobrazić w tej roli kogoś innego (a przysmykali się do niej Brad Pitt i Leonardo DiCaprio). Książka wywołała potężny skandal, film Ameryką nie wstrząsnął. Po pierwsze – minęła moda na yuppies. Po drugie – pod koniec XX w. stało się jasne, że przepracowani ludzie rzadko łapią za siekiery i piły tarczowe. Życie to nie literatura. ©© recenzuje Wiesław Chełmniał



★★★★★

REŻ. MARY HARRON
„AMERICAN
PSYCHO”
USA 2000

wyst. Christian Bale, Willem Dafoe,
Chloë Sevigny

Wkrakowskiej Piwnicy pod Baranami była królową, ale gdy w listopadzie 1974 r. powiedziała, że nigdy już w niej nie wystąpi, dotrzymała słowa. Skoro śpiewając, dawała z siebie tysiąc procent, nierzadko mdlejąc po koncertach, żądała od wszystkich wokół rzeczy niemożliwych. Dożyła 79 lat. Ostatni raz wystąpiła w Poznaniu w listopadzie 1999 r., ja na żywo ostatni raz słyszałem ją nieco wcześniej, w Teatrze Narodowym w Warszawie. Wokalnie była już cieniem samej siebie, ale magnetyzowała widownię tak samo jak w latach 60. i 70.

Zaczynała wcale nie od poezji. Śpiewała włoski przebrój „Ventiquattromila baci”, wzbudzając entuzjazm publiczności. W Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, której była studentką, zmusiła Martę Stebnicką do rezygnacji na pewien czas z nauczania. Profesorka musiała się nauczyć, bo studentka o śpiewie wiedziała więcej od niej. Później w Paryżu, gdy sławny Bruno Coquatrix obiecywał, że zrobi z niej drugą Édith Piaf, jeśli tylko zacznie śpiewać po francusku i opanuje repertuar, jaki jej zapewni, odpowiedziała, że języka może uczyć się w kraju, gdzie ma swoje obowiązki, także na uczelni. Dyplomu PWST, który zdobyła – a ci, którzy widzieli ją w akcji scenicznej, twierdzili, że w teatrze też była znakiem – nigdy nie odebrała.

W 1962 r. w Ogólnopolskim Studenckim Konkursie Piosenkarzy wykonała wiersz Mirona Białoszewskiego, sławną „Karuzelę z madonnami”. Nie wygrała konkursu, zdobyła drugie miejsce. Pierwsze jury przyznało ex aequo znanemu po latach aktorowi Edwardowi Lubaszence, ojcowi Olafa, za „Monsieur Bernarda” i Marianowi Kawskiemu za „Pęk pawich piór”. Nie minął rok,



FOT. C&P&P

Zmarła Ewa Demarczyk: No, brylant, no istny cud



Krzysztof Masłoń

a te piosenki zostały zapomniane, „Karuzela z madonnami” wbijała w ziemię kilka pokoleń słuchaczy. Jak „Czarne anioły” i „Taki pejzaż”, jak „Tomaszów” i „Grande Valse Brillante”, „Groszki i róże”, jak niezwykle „Wiersze wojenne” Baczyńskiego, jak wiele innych cudownych utworów stanowiących klasę dla siebie. Czesław Niemen oddawał jej honor, mówiąc, że to jej wykonania wierszy Tuwima czy Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej sprawiły, że sam, mając dość byle jakich tekstów, sięgnął po Norwida.

Zachwycała śpiewem, niezwykłą interpretacją, sobą samą. Chociaż początkowo może nie wszystkich. W 1970 r. nie kto inny, a Czesław Miłosz pisał z Ameryki do swojego przyjaciela, Marka Skwarnickiego: „[...] przystali mi Demarczyk. Okropnie.

Sentymentalne, kicz”. No, po latach na swój sposób zrewanżowała mu się Halina Wyrodek, która obserwując w Piwnicy pod Baranami noblistę tokującego w gronie swych licznych akolitów, przerwała sielską atmosferę wezwaniem: „Czesiek, nie pierdol! Postawże setkę!”. Przyznać trzeba, że poeta podołał wyzwaniu, impreza rozwinęła się wspaniale, co nie zmienia faktu, że kłopoty Miłosza ze słuchem musiały być wcześniejsze, niż się powszechnie sądzi.

Czasem Ewa Demarczyk śpiewała sentymentalne piosenki, nie wstydyła się ich, tak jak słuchacze nie wstydzili się łez spływających po policzkach podczas jej „Rebeki” czy „Miasteczka Bełz”, przy którym ponoć popłakała się sama Zofia Gomułkowa. Zresztą, cokolwiek Demarczyk zaśpie-

wała, zamieniała to w złoto. Piotr Skrzynecki mówił o niej: „Utalentowana, natchniona przez Boga talentem. Jej głos jest fenomenem, zdarzeniem w sensie biologicznym nawet, bo tu nie chodzi o samo brzmienie, o barwę głosu, o skalę, to chyba jeszcze coś więcej”. Nie chyba, na pewno.

Gdy zaczęła jeździć z recitalami po kraju, dochodziło do wydarzeń niewiarygodnych. Na jej występy w 1974 r. w Teatrze Żydowskim w Warszawie biletów tak naprawdę w ogóle nie było w sprzedaży. Można je było jedynie „załatwić”, tak jak w 1967 r. wstęp do Sali Kongresowej na koncert The Rolling Stones. Bywało, że nie tylko oklaskiwano ją, lecz także słuchano na stojąco. Nie tylko w Polsce, lecz także np. w moskiewskim Domu Literatów, gdzie w 1975 r. śpiewała m.in. zakazanego wtedy w Sowietach Osipa Mandelsztama:

**Był sobie skrzypek Hercowicz,
Co grał z pamięci jak z nut.
Z Schuberta on umiał zrobić –
No brylant, no istny cud.**

Nagrała wtedy w ZSRR jedną ze swoich zaledwie trzech płyt długogrających. Sprzedała jej ponad 17 mln (!).

Nie udało się jej życie osobiste. Z mężami się rozwodziła, przyjaciele odchodzili od niej, bo i ona się od nich odwracała. Dzisiaj we wspomnieniach powtarzany jest przymiotnik „trudna”, cokolwiek by to miało znaczyć. I co z tego? Odeszła artystka wyjątkowa, zjawiskowa, tajemnicza i nieodgadniona. Po koncertach powtarzała czasami, że „ludzie umierali”, co znaczyło, że występ się udał, że podobała się. W istocie podobała się zawsze i wszędzie: we Francji i w Ameryce, na Kubie i we Włoszech, w Meksyku i Izraelu, w Bułgarii i Brazylii, ale przede wszystkim tutaj. Wszędzie, i tam, i tu, „ludzie umierali”. A teraz ona umarła. ©©



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Człowiek na torze

Upiory lotniczych hangarów opisywał niegdyś Janusz Meissner, grozą na torach kolejowych straszył nas Stefan Grabiński – jaka nowoczesność, takie duchy. W opowiadaniach Marcina Kowalczyka również dzieją się rzeczy niepokojące, a związane z naszym ukochanym środkiem transportu. Przez Polskę podróżuje pociąg z tajemniczym kontenerem, kto się zbliży, tego czeka niechybna śmierć. Na szyny powraca skład widmo, który zaginął w roku 1913. Dworce i zakłady naprawcze kryją straszliwe tajemnice. Kolejarze z zaświatów pomagają żywym. Inni martwi mają mniej ciekawe plany.

Nigdy w życiu nie czytałem książki, z której tak wiele mógłbym się dowiedzieć o kolejarskim życiu i robocie (inna sprawa, że nie przypuszczałem, iż taka wiedza będzie mi do czegokolwiek potrzebna), ale „Bilet w tamtą stronę” to nie jest zbiór obrazków rodzajowych, lecz zestaw opowieści grozy napisanych przez fanatyka kolejnictwa, a obecnie pracownika kolei. W to, czy osobiście napotkał duchy na torach, nie wnika. Jak to z debiutami bywa, są tu teksty gorzej i lepsze (lepszyc jest moim zdaniem więcej), ale przede wszystkim jest

miłość do fascynującego świata znanego zdecydowanej większości z nas jedynie z wygodnego fotela pasażera – to znaczy nieznanego wcale.

Są to historie nieco staroświeckie, ale to właśnie jest ich zaletą. Proste historie z zagadką oraz niespodziewanym finałem. Po autorze nie widać, żeby był pisarzem-amatorem, bo opowiada ciekawie, zresztą klasyczna forma pasuje do tych klasycznych fabuł o tym, co nie z tej ziemi. Nie wszystkie są fantastyką grozy, mamy też smutne opowiadanie kryminalne o słusznie minionej epoce i brutalności Służby Bezpieczeństwa.

Jest w tych opowiadaniach wiele nostalgii, a czasami też nuta wściekłości i żalu na to, jak potraktowano kolej w III RP, jak cięto na oślep połączenia, likwidowano dworce, rozwalano żelazny krwiobieg kraju. Wrażenie to potęgają sugestywne czarno-białe zdjęcia, którymi autor zilustrował swe opowieści. Jest i niepoprawne w dzisiejszych czasach stwierdzenie, że świat bez rozkładu jazdy jest chaosem, a kolej żelazna to jedna z metod porządkowania i osławiania czasoprzestrzeni. Gdy o tym zapominamy, cóż – swoje rozkłady jazdy piszą tamci. No wiecie, ci z tamtej strony. ©©



★★★★★

MARCIN KOWALCZYK
„BILET W TAMTĄ STRONĘ”
WYDAWNICTWO IX

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Świadectwa ludzi powstania”, siedem relacji świadków i uczestników zrywu z 1944 r. Antologię uzupełniły dwa montaże źródeł archiwalnych. Jeden ukazuje Warszawę tuż przed wybuchem powstania, drugi po kapitulacji.



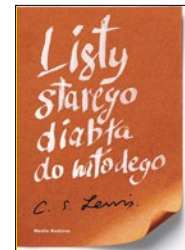
AUTORZY RÓŻNI
„ZAGŁADA MIASTA”
OŚRODEK KARTA

Czarna legenda września 1939 r. potrzebna była komunistom jako jeden z dowodów na nieudolność sanacyjnej, kapitalistycznej Polski. Zdaniem Forczyk nie był to wcale łatwy blitzkrieg, ale i Polacy nie byli tacy bezzadni.



ROBERT FORCZYK
„FALL WEISS. NAJAZD NA POLSKĘ 1939”
REBIS

Wznowienie słynnej książki wybitnego pisarza i chrześcijańskiego filozofa. Lewis, stosując przewrotną formę, wytyka drogi, którymi sami prowadzimy siebie do upadku. Plus postscriptum autora o odbiorze tej publikacji.



C.S. LEWIS
„LISTY STAREGO DIABŁA DO MŁODEGO”
MEDIA RODZINA

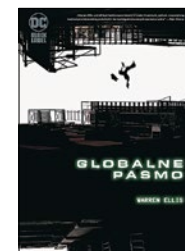
Opowieść o samolubnych i niekochających rodzicach oraz o bardzo spragnionych miłości dzieciakach. Coś pomiędzy „Willym Wonką” Dahla a „Serią niefortunnych zdarzeń”; także podstawa filmu animowanego Netflix.



LOIS LOWRY
„RODZEŃSTWO WILLOUGHBY”
NASZA KSIĘGARNIA

KOMIKS TYGODNIA: „GLOBALNE PASMO”

Globalne Pasma to nazwa tajnej ponadnarodowej organizacji skupiającej agentów o bardzo różnych umiejętnościach. Jeden jest za to cel: ochrona Ziemi przed skutkami niebezpiecznych eksperymentów naukowych, terrorystami, aktywnością dziwnych kultów, a czasem zjawiskami paranormalnymi. Serię wymyślił (i scenariusz napisał) Warren Ellis, twórca takich serii jak „Transmetro-



WARREN ELLIS
„GLOBALNE PASMO”
EGMONT 2020

politan” czy „Planetary”. Fabuły 12 części (ukazuje się wydanie zbiorcze) bywają umiarkowanie ciekawe, za to grafika jest bardzo zajmująca, każdy odcinek miał innego rysownika (jednym z nich był Simon Bisley). ©©

poleca Piotr Gociek

Dagmara i Martyna Melosik to siostry bliźniaczki. Wokalistki, kompozytorki, autorki tekstów, instrumentalistki od wielu lat współpracujące z Anią Dąbrowską. Występują w jej chórkach, są także współautorkami tekstów (były nominowane do Fryderyków za piosenki: „Nieprawda”, „W głowie” i „Porady na zdrady [Dreszcz]”). Na limitowanej edycji płyty Ani „Dla naiwnych marzycieli” (2016) pojawiły się gościnnie z piosenką „Znam na pamięć dalszy ciąg”. Pisały też teksty lub muzykę m.in. dla Grzegorza Hyżego, Edyty Górniak, Haliny Mlynkovej, Krzysztofa Kiljańskiego.

Bliźniaczki tworzą też duet Siostry Melosik. Śpiewają razem, od kiedy nauczyły się mówić (w dzieciństwie występowały m.in. w programie „Od przedszkola do Opola”), ale na razie płyta siostr wciąż pozostaje w sferze zapowiedzi. O wspólnym albumie



Siostry idą na swoje?

FOT. MATERIAŁ PRACOWNE

Dagmara i Martyna zaczęły mówić już w 2018 r., kiedy autorską piosenką „Batumi” zdobyły Nagrodę Publiczno-

ści na 55. Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. Minęły dwa lata, płyty jeszcze nie ma, ale pojawiło się kilka

singli: „Równocześnie”, „Coś nie tak” (piosenka i teledysk inspirowane filmem „Nóż w wodzie”) i najnowszy, z czerwca, „Nawet Ty”.

– Dla nas zawsze melodia i tekst będą najważniejsze. Dlatego dobieramy producentów, którzy to czują. Nie chcemy przewracać do góry nogami rzeczy, które same się bronią w prostocie – mówiły o swoim melodyjnym pop/country na antenie Radia Lublin. – Bywają utwory, które bronią się samą produkcją, ale to jest wtedy właśnie bardziej produkcja, czyli coś, co w założeniu nigdy nie miało być piosenką. My potrzebujemy piosenek i takie piszemy – dodawały, zapowiadając przy okazji kolejny singiel i album. – Płyta będzie na sto procent. Dokładamy wszystkich starań, żeby udało się ją wydać na jesieni tego roku – deklarowały. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ
BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Nieujarzmione myśli

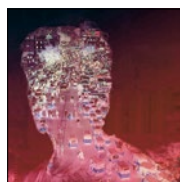
Przez 10 lat Max Richter tworzył „Voices”, ponure dzieło inspirowane Powszechną deklaracją praw człowieka.

Brytyjski kompozytor pochodzenia niemieckiego jest twórcą muzyki filmowej (m.in. „Walc z Baszirem”, „Nowy początek”), a także elektronicznej i współczesnej. Wydany przez niego, przed pięcioma laty, album „Sleep” zawierał ośmiogodzinną kompozycję przeznaczoną do spania. Do dziś utwór odsłuchano w sieci 450 mln razy!

„Głosy” są równie monumentalnym dziełem. Aktorka KiKi Layne czyta deklarację, której fragmenty rozbrzmiewają dodatkowo w 70 językach. Deklamacjom towarzyszy „Ujemna Orkiestra” złożona z: ośmiu skrzypiec, sześciu altówek, 24 wiolonczeli, 12 kontrabasów,

harfy i skrzypaczki Marii Samuelson. Basowy skład instrumentalny sprawia, że muzyka brzmi rzeczywiście ponuro. Ten nastrój podkreśla udział chóru Tenebrae i wokalistki Grace Davidson. Na drugim krążku znajdują się instrumentalne wersje utworów.

Jest to kolejny muzyczny komentarz Richtera do dzisiejszych, wywróconych na opak czasów. Jego wcześniejsze kompozycje inspirowały wojny w Kosowie, Iraku czy ataki terrorystyczne w Londynie. Jak zwykle kompozytor łączy dyscyplinę klasycznego wykształcenia z innowacyjnym duchem muzyki elektronicznej. „Voices” w porównaniu ze „Sleep” jest bardziej dynamicznym utworem i zamiast prowokować, wywołuje burzę myśli. ©©

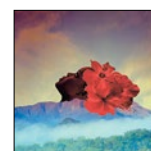


★★★★★
MAX RICHTER
„VOICES”
DEUTSCHE
GRAMMOPHON



★★★★★
FANTASTIC NEGrito
„HAVE YOU LOST
YOUR MIND YET”
COOKING VINYL

Tytuł „Czy już straciłeś rozum?” idealnie pasuje do koronawirusowego szaleństwa. 51-letni Amerykanin, Xavier Dphrepaulezz, wymiata nowoczesnego bluesa osadzonego w funku i hip-hopie. Płyta przywołująca Purpurowego Księcia kipi z energii, humoru i wirtuozerii.



★★★★★
ZARA MCFARLANE
„SONGS OF
UNKNOWN TONGUE”
BROWNSWOOD

Londyńska wokalistka powraca do swych karaibskich korzeni. Zara stworzyła serię wibrujących opowieści, w których jej pięknie zharmonizowany wokal przeplata się z mrocznymi syntezatorowymi podkładami. Kosmiczne dub reggae z niezapomnianym głosem. ©©

Przez ten dziwny czas polski teatr przechodzi, nie wiedząc czemu, pod znakiem Iwaszkiewicza. Najpierw pojawiły się dwie realizacje opowiadania „Panny z Wilka”: w Starym Teatrze i w olsztyńskim Teatrze im. Jaracza. A potem już rozpoczął się minifestiwal adaptacji „Matki Joanny od Aniołów”. Rozpoczął go w listopadzie 2019 r. Jan Kłata premierą w warszawskim Nowym Teatrze. Potem Teatr Powszechny pokazał sztukę „Diabły”, w której ten sam utwór posłużył do opowiedzenia, cytując reżyser Agnieszkę Błońską, „tematu kolonizacji kobiecego ciała, przemocy wobec kobiet dokonywanej przez Kościół, naczelnego strażnika patriarchy”. Wreszcie – na 5 września Teatr Narodowy zapowiada premierę „Matki Joanny”, przełożoną z marca. Reżyseruje Wojciech Faruga, a w tytułowej roli powróci na scenę Narodowego Małgorzata Kożuchowska i właściwie wiadomo niewiele więcej. Ponieważ Nowy Teatr, wznowiając działalność po tzw. lockdownie, od początku września grać będzie seriami superprodukcję Klaty, będzie okazja do porównań. A teatromani z niedosytem Iwaszkiewicza mogą jeszcze pojechać do Gdańska, gdzie w tamtejszym Wybrzeżu ujawniają „Życie intymne Jarosława”.

Zostanemy jednak na razie w stolicy. Mokotowska parafia teatralna przy ul. Madalińskiego, w której probostwo sprawuje Krzysztof Warlikowski, świadczy swoje usługi głównie stolicy, a zwłaszcza okolicznym mieszkańcom. Koncesję na tematy religijne otrzymał w niej – jako jedyny – właśnie Jan Kłata. Na pomoc zawezwał Iwaszkiewicza, tak dziś modnego jak żaden

Karma instant



Grzegorz Kondrasiuk

Jan Kłata szamocze się z Iwaszkiewiczem i przegrywa. Tanie prowokacje unieważniają pytania stawiane przez Iwaszkiewicza serio

ze skamandrytów, pisarza czytanego z wypiekami na twarzy w mokotowskich bajglowniach, według zgrabnej formuły Tomasza Burka oscylującego „między biegunem perwersji a biegunem konwersji”. „Joanna”, napisana w czasie wojny, dzieło niepokojące, interpretacyjnie otwarte – to rzeczywiście znakomity materiał dla teatru spoglądającego w stronę zaświatu. Idealne dla agnostyków, którzy chcą sobie pomacerować mózg tak egzotycznymi pytaniami, jak te o żarliwą religijność, moc rytuału czy wiarę nie tylko w Boga, lecz także w szatana – zwłaszcza że autor na te pytania ostatecznie nie odpowiada.

Kłata Iwaszkiewicza przyrządził według własnej, tyle już razy sprawdzonej recepty: znakomity literacko tekst opowiedziany poprzez popkulturowe klisze plus przemysłana obsada, w tym aktorzy cieszący się popularnością medialną. Tym razem reżysera do sukcesu prowadziły głównie cytaty z estetyki filmowej („Młody papież” Sorrentino, Fellini, Lynch...). Prowadził też Bartosz Bielenia – oglądany nie tak dawno w kinach w roli fałszywego księdza w nominowanym do Oscara „Bożym ciele” – który wcielił się w egzorcystę Suryna. Bielenia u Klaty zmagają

się z trudnym wyzwaniem wydobywania głębi, prześwietlającej poprzez zaprojektowaną przez reżysera patchwork. Spektakl otwiera ekspozycja, świadomie przeciągnięta, ujawniająca nieznośną gęstość teatralnego czasu. Oto dwóch karłów (później okazały się parobkami, ofiarami obłąkanego, a może i opętanego Suryna) pracowicie wyciąga z krzyży lśniącego topory, rzucając je na stosy po bokach sceny. Krytyka dopatrzyła się w niej polemiki z bluźnierczą sceną ścinania krzyża z „Kłatwy” Olivera Frlijicia. Kodą do tego wstępu jest prowokacyjny, oparty na grze z prywatnością monolog (modlitwa? ostrzeżenie?) Ewy Dałkowskiej – wygłaszany z zaskoczenia już na oklaskach. Coś jest na rzeczy... Krzyż-topór jako znak ciągle odczuwalny, tkwiący w świecie (filozof, za Barbarą Skargą, powiedziałaby: ślad jako blizna, piętno, wyzwanie...). Jednak pomiedzy otwarciem a finałem oferuje się tu metafizykę raczej w wersji instant. Kłata szamocze się z Iwaszkiewiczem (i przegrywa), a Bielenia z gęstym, filozoficznym tekstem (również wynoszągo na tarczy, nie ma też szans ze starym księdzem Malanowiczem ani z cadykiem Poniedziałkiem). Matka Joanna Małgorzaty Gorol jest wściekle ekspresyjna, a jako „opę-

tana” pragnieniem wolności od wszelkich klauzul ma zbyt oczywistą rację. Zakonnice, furkocząc habitami, bujają się na sznurach od dzwonów jak na akrobatycznych szarfach, Wojciech Kalarus w stroju kardynała wykonuje „Blowin’ in the Wind” jak pielgrzymkowy grąjek, a Bielenia namawia publikę do wspólnego odmówienia „Ojcze nasz”, wywołując i śmiechy, i skrepowanie.

Takie tanie prowokacje, obliczone zarówno na swoisty test socjologiczny, jak i na sporządzenie prywatnych rachunków sumienia na widowni, w istocie unieważniają pytania stawiane przez Iwaszkiewicza na serio. A więc – jesteśmy w teatrze, aktor nas zaciepia, a za chwilę pójdziemy na jakieś dobre kraftowe piwo... Szatan w tym rozdaniu ma twarz Maćka Stuhra. To miała być przełomowa scena – kiedy po spotkaniu ze Złym ubranym na białego egzorcysta chwytą za toporek i urządzią rzeź niewiniątek. Jak było u Klaty? Zdawkowo, beznamiętnie i – znów – unieważniająco. Reżyser, przywołując słowa Josepha Ratzingera, sugerował chęć zmierzenia się z tematem osobowego zła. Skończyło się na zamiarach. Zły jest grany jak pusty znak, odsyła w najlepszym przypadku do aktora celebryty, grającego samego siebie. To jeszcze nie najgorzej, gdyby dało się obronić – tak jak broni się kreacja Dałkowskiej, o której tajemnica poliszynela mówi, że jest jedynym „prawym” kapłanem w zakrystii u Warlikowskiego. Brak jednak w spektaklu Klaty sygnałów, które pozwalałyby przeczytać trop celebryckiego Złego na poważnie. W każdym razie: sukces frekwencyjny murowany, mokotowski kościół – i bez diabła – będzie zapełniony. ©©



FOT. ADRIAN STOK

Zdrowo ograniczeni

Schudnąć jest trudno, ale za sprawą drobnych zmian wszyscy możemy poczuć się lepiej i zdrowiej. Jeżeli każdy zrobi swoje, to zmniejszymy ryzyko dla zdrowia oraz ochronimy się przed koronawirusem, a także odciążymy Narodową Służbę Zdrowia – napisał na Twitterze brytyjski premier Boris Johnson, załączając link do nowej brytyjskiej strategii walki z otyłością oraz filmik, na którym opowiada o swojej walce z nadwagą i o tym, że gdy trafił na oddział intensywnej terapii z koronawirusem, ważył zdecydowanie za dużo. Strategia, którą ogłosił brytyjski rząd, zakłada zakaz reklamowania w Internecie oraz w telewizji przed godz. 21 niezdrowego jedzenia, definiowanego ogólnie jako zawierające wysoką dawkę cukru, soli lub tłuszczu. W przypadku takich produktów zakazane mają być też promocje na zasadzie „kup jeden, drugi dostaniesz gratis”. Na jadłospisach ma być wymieniona kaloryczność potraw, a producenci alkoholi mają zostać w niedalekiej przyszłości zobowiązani do poinformowania na opakowaniach o „ukrytych” alkoholowych kaloriach. Do tego ma ruszyć wielka kampania społeczna, pokazująca związek otyłości z podatnością na COVID-19. W jej ramach przy zakładach opieki zdrowotnej mają zostać zainstalowani „trenerzy”, których zadaniem będzie przekonywanie Brytyjczyków do zmiany diety i stylu życia. Oficjalna statystyka pokazuje, że nadwagę ma 63 proc. mieszkańców Zjednoczonego Królestwa.



Łukasz Warzecha

Pozornie systemowa walka z nadwagą zdaje się rozsądna. Wydawałoby się, że nie ma nic oczywistszego niż wprowadzenie przepisów przeciw tuczącemu jedzeniu. To jednak wcale nie jest takie oczywiste

Pierwszy problem z tym planem jest taki, że aby tego typu działania odniosły jakiegokolwiek skutek, potrzeba zwykle lat (jeśli w ogóle przyjąć, że kampanie społeczne są w jakimkolwiek stopniu skuteczne), tymczasem trudno sobie wyobrazić, żeby pandemia trwała latami. Jeśli chodzi o koronawirusa, to możliwe są dwa scenariusze. Pierwszy to wygaśnięcie pandemii w ciągu kilkunastu miesięcy (w sposób naturalny albo za sprawą szczepionki). Drugi to przyznanie przez rządy i instytucje takie jak WHO, że w gruncie rzeczy mamy do czynienia z jeszcze jedną chorobą, którą trzeba po prostu uznać za obecną w naszym życiu i przestać traktować ją specjalnie, bo skutkiem będzie paraliż systemów opieki zdrowotnej. Tę drobną niespójność brytyjskich planów zostawmy jednak na boku.

SOK Z BURAKA

Pomysły rządu Borisa Johnsona są – trzeba przyznać – jeszcze stosunkowo mało zamordystyczne. Nie ma na przykład mowy o nakładaniu na jakiś rodzaj żywności „zdrowotnych” podatków (co zafundo-

wała nam w Polsce władza, przepychając wreszcie przez parlament podatek cukrowy – ponad 3 mld zł do budżetu, ostatecznie oczywiście z naszych kieszeni) ani tym bardziej o zakazywaniu czegokolwiek. Na razie to łagodne podejście.

Nie wiadomo natomiast, jakie pomysły ma poseł Lewicy Marcin Kulasek, który po przejściu operacji zmniejszenia żołądka postanowił pomóc Polakom – choć nikt go o tę pomoc nie prosił – i założył w Sejmie parlamentarny zespół ds. walki z otyłością. Zespół liczy 10 członków, przy czym ośmioro z lewicy. Poza tym są w nim Piotr Zgorzelski z PSL-Kukiz'15 oraz Artur Dziambor z Konfederacji, który znalazł się tam, jak przypuszczam, na zasadzie tzw. trollingu lub po to, aby kontrolować, jakie niemądre pomysły mogą się tam narodzić. Poseł o powstaniu zespołu i swoim w nim udziale poinformował na Facebooku.

Poseł Kulasek chwali się, że po operacji odkrył sok z buraka (mowa o soku w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie o hejterskim portalu opozycji) i że nie ma ochoty na pizzę. Istnieje jednak obawa,

że podobnie jak w przypadku Borisa Johnsona tak i tu mamy do czynienia z typowym dla neofitów szkodliwym zapalem. Trudno zaś o gorszą sytuację niż neofita decydujący o tym, co i jak mają robić inni. Neofita jest zawsze przekonany – to element psychologicznej racjonalizacji jego własnego wyboru – że robi rzecz najlepszą i wszyscy powinni podążać jego śladem. Jeśli zatem na przykład podjął walkę z własną otyłością, to wszyscy powinni zacząć z nią walczyć.

POZORNY ROZSĄDEK

Pozornie systemowa walka z nadwagą wydaje się rozsądna. To istotnie problem społeczny, który według szacunków w Polsce w 2025 r. ma dotyczyć 26 proc. kobiet i 30 proc. mężczyzn. Nie ma też wątpliwości co do tego, że otyłość sprzyja powstawaniu innych problemów zdrowotnych. Wydawałoby się zatem, że nie ma nic oczywistszego jak wprowadzenie przepisów przeciw tuczacemu jedzeniu.

Jednak to wcale nie jest oczywiste. Zaczniemy od tego, co nie powinno budzić kontrowersji. Jeden taki element w brytyjskiej strategii się znalazł – to obowiązek informowania o kaloryczności potraw podawanych w restauracjach. W informacji nie ma nic złego. Jeśli obywatel dostaje pełną wiedzę, to może dokonać świadomego wyboru. Może zjeść smacznie, ale bardziej kaloryczną pizzę, a może zjeść bardzo zdrową, ale cokolwiek mdłą sałatkę. Dodajmy do tego rozpowszechnienie się aplikacji i smartwatchów monitorujących sposób odżywiania się, a jakaś część ludzi prawdopodobnie zacznie się bardziej pilnować.

Problemy zaczynają się, gdy uznamy, że państwo ma prawo głębiej ingerować w nasz sposób odżywiania się – poprzez nasze kieszenie. A to się przecież już stało. Kilka miesięcy temu pisałem w „Do Rzeczy” o wątpliwych skutkach podatku cukrowego tam, gdzie go wprowadzono. A przecież jest on początkiem równi pochyłej. Skoro bowiem w jednej dziedzinie państwo mogło za pomocą bodźca fiskalnego interweniować w nasze nawyki żywieniowe, to dlaczego ma nie interweniować w innych sprawach? A czemu miałyby nie mieć do tego prawa, skoro opieka zdrowotna jest finansowana z budżetu? To oczywiście ujęcie celowo zamydlające rzeczywistość, stosowane przez zwolenników regulacji. Jak bowiem w słynnym przemówieniu w Blacpool powiedziała Margaret Thatcher – nie ma czegoś takiego jak pieniądze publiczne,

są jedynie pieniądze podatników. A to już zmienia postać rzeczy.

Odpowiedź na pytanie, czy państwo ma prawo na przykład obłożyć dodatkowymi podatkami to, co uzna za niezdrowe, zależy i od tego, jak duże mamy do tego państwa zaufanie, i od tego, jak widzimy relacje między nim a obywatelami. Jeśli uważamy, że obywatele są czymś w rodzaju własności państwa, które ma w związku z tym troszczyć się o nich na takiej samej zasadzie jak rolnik troszczy się o swoją trzodę, dbając, aby dostawała zbilansowaną paszę – to nie ma problemu. Jeśli natomiast uznamy, że obywatel nie jest jednak własnością państwa – to sprawa się komplikuje.

Po pierwsze – nie ma żadnej rozsądnej granicy, na której państwo miałyby się zatrzymać w swoim dążeniu do regulowania naszego trybu życia, w tym przypadku pod pretekstem zdrowia. Jeśli można za pomocą podatków rugować z naszego życia cukier, tłuszcz czy sól, to właściwie dlaczego w którymś momencie nie stworzyć Narodowego Instytutu Zdrowego Żywnienia, który – niczym kiedyś Komitet Centralny PZPR ceny mięsa wieprzowego czy masła – będzie ogólnie ustalał opodatkowanie poszczególnych rodzajów żywności? Oczywiście jeść będzie można nadal wszystko, tyle że część potraw będzie zaporowo droga. Jak śpiewali kiedyś w kabarecie Tey Bohdan Smoleń z Zenonem Laskowikiem: „Bo my musimy być silni i zdrowi, choćby na skrobi. Nam polędwica oraz schab nie smakują tak jak szczaw”. Można by dorzucić, śladem złotoustego byłego pośła Niesiołowskiego, zdrowe mirabelki.

Po drugie – parametry zdrowotności będą jak zwykle ustalać mityczni eksperci. Z ekspertami sprawa zaś jest o tyle trudna, że każde lobby umie sobie zawsze znaleźć swoich, by przypomnieć tylko słynną bitwę zwolenników margaryny ze zwolennikami masła. „Ekspertci” posłusznie dostarczali argumentów na rzecz jednego i drugiego. I w tym przypadku byłoby to samo: kto miałby lepsze wejścia, ten obstawiałby decydentów swoimi „ekspertami”, a ci zadbaliby, żeby odpowiednie produkty okazały się „niezdrowe”, a inne – miałyby nam przedłużyć życie o dekadę.

Po trzecie – pojawia się argument, że opodatkowanie „niezdrowej” żywności jest sprawiedliwe, bo osoby ją spożywające powinnyłożyć więcej na system ochrony zdrowia. Pomińmy kwestię tego, że wpadające do budżetu pieniądze nie są zwykle „znaczone”, a nawet jeśli są, to

i tak rząd ma sposoby, żeby skorzystać z nich w innym celu (taka jest sytuacja z wszelkimi funduszami). Przede wszystkim jednak polski system ochrony zdrowia nie jest zbudowany na zasadzie różnicowania składek pod względem stylu życia czy aktywności. Wysokość składki zależy jedynie od wysokości zarobków. A przecież można założyć, że ktoś uprawiający ryzykowne sporty – na przykład paralotniarstwo – ulegnie wypadkowi, po którym leczenie i rekonwalescencja będą kosztowały budżet setki tysięcy złotych. Czy ma wyższą składkę? Nie. Z kolei ktoś obsesyjnie dbający o zdrowie i własne bezpieczeństwo nie ma składki niższej niż ktoś, kto na potęgę pali i pije alkohol. Dlaczego zatem mielibyśmy wyróżniać ludzi, którzy lubią tłusto zjeść? A może część z nich ten tłuszcz natychmiast spali na siłowni lub w inny sposób? Nie ma tu żadnej racjonalności.

To prowadzi nas do czwartego punktu: tak jak w przypadku podatku cukrowego, tak i w przypadku wszelkich fiskalnych impulsów dotyczących walki z otyłością głównym powodem nie jest zdrowie obywateli, tylko chęć zdobycia kolejnego źródła zasilania budżetu.

Po piąte – nawet gdyby poprzestać na polityce informacyjnej, tak jak w dużej mierze chce zrobić Boris Johnson, to i tak wydawanie na nią publicznych pieniędzy powinno być poprzedzone kalkulacją pokazującą, że to się opłaca. Złotówka wydana na społeczną kampanię powinna generować w realnych oszczędnościach dla budżetu służby zdrowia więcej niż 1 zł, bo inaczej inwestycja nie ma sensu. I powinno to zostać jasno wykazane.

WĄSKI WYCINEK

W tego typu rozważaniach fatalną rolę odgrywają na ogół lekarze (nie wszyscy, rzecz jasna), którzy widzą jedynie wąski wycinek rzeczywistości – ten dotyczący zdrowia – nie obejmują natomiast spojrzeniem szerszego obrazu, a więc kwestii fiskalizmu, wolności obywateli oraz poziomu interwencjonizmu państwa w nasze życie.

Jeżeli zatem mielibyśmy się wzorować na brytyjskich planach, to bierzmy z nich tylko to, co warte powielania: prawo do pełnej informacji o tym, co jemy. To nam się należy. Obawiam się jednak, że na tym może się nie skończyć. Zdrowie oraz bezpieczeństwo to zaś zawsze dwa najlepsze preteksty do docięcia obywateli.

W „Do Rzeczy” 32/2020 ukazał się artykuł „Fałszywa epidemia” Mariusza Błochowiaka. Poniżej odnoszący się do tego tekstu list do redakcji oraz odpowiedź autora

Spiewać każdy może, trochę lepiej lub trochę gorzej – przekonywał kiedyś starszych czytelników Jonasz Kofta. Pisać także każdy może, ale do głowy mi nie przyszło, że „Do Rzeczy” [nr 32 (385)] może publikować teksty tak paskudne jak Mariusza Błochowiaka „Fałszywa epidemia”. Autor albo nie ma pojęcia o wielości prac naukowych poświęconych analizie rozprzestrzeniania się choroby wywołanej przez wirus SARS-CoV-2, albo – co gorsza – świadomie manipuluje czytelnikiem, wmawiając mu,

lockdownu w Niemczech. (Inna sprawa, że zupełnie nie rozumiem, dlaczego autor „Fałszywej epidemii” tak bardzo skupił się na sytuacji epidemicznej w Niemczech).

Pan Błochowiak powinien też napisać – i nieuczciwością jest, że tego nie uczynił – iż Ioannidis nigdy nie nazwał wcześniej tu wspomnianych społecznych restrykcji błędem. Na przykład w lipcu pisał w „The British Medical Journal”:

„Lockdowny były krokiem desperackim, wyborem dającym się obronić, gdy o COVID-19 wiedzieliśmy niewiele. Ale dziś, gdy wiemy więcej, powinniśmy unikać przesady. Powinniśmy ostrożnie i stopniowo likwidować lockdown [...]”.

W naukowej dyskusji liczą się twarde wyniki oparte na właściwie zebranych danych. W przypadku COVID-19 tych danych jest ciągle za mało, a te, które są,



Polemicznie o epidemii

że wszystko już o pandemii wiadomo. Dokładniej zaś pan Błochowiak sugeruje, że żadnego niebezpieczeństwa już nie ma. Przywołuje jednego poważnego naukowca, Johna Ioannidisa, należącego do tych mniej licznych, którzy uznali, że śmiertelność spowodowana COVID-19 jest tak niska, iż przedsięwzięte środki w postaci wymuszenia przez rządy „społecznego dystansowania się” oraz „lockdownu” być może przyniosły więcej szkody niż pożytku.

Pan Błochowiak, jeśli już chce pisać o COVID-19, powinien wiedzieć, że Ioannidis i jego zespół dokonali pewnej nadinterpretacji otrzymanych przez nich w kwietniu wyników (co wytknęli im statystycy). Powinien też być zairażony, jeśli przywołuje innego naukowca, Stefana Hockertza, do jego prac na temat COVID-19. Ja zairażałem do jednej, napisaanej wspólnie z Haraldem Walachem i opublikowanej w sieci w czerwcu 2020 r., i więcej prac prof. Hockertza czytać nie będę. Ta wspomniana to swoiste kuriozum – doskonały aparat statystyczny, ale użyty w metodologicznie niepoprawny sposób. Jednocześnie jednak przyznaję, że z zainteresowaniem poznałem opinię prof. Hockertza, na pewno dobrego naukowca na innych polach, na temat

często są obarczone błędami, są częściowo fałszywe albo są nie w pełni porównywalne. Stąd biorą się dodatkowa komplikacja problemu i różne wyniki podobnych analiz, ale opartych na różnych danych.

Oczywiście, naukowcy mają prawo – byle w cywilizowany sposób – wygłaszać swoje oceny polityki danego państwa, pamiętając wszakże, że w przypadku COVID-19 często wykraczają poza naukę i włączają się w debatę społeczną. I tak jedni uznają restrykcje rządowe za zbyt surowe, inni za jak najbardziej właściwe. Notabene polski rząd wydaje się moim zdaniem prowadzić od początku politykę zgodną z radą prof. Ioannidisa, cały czas uwzględniając polskie uwarunkowania administracyjne oraz organizację służby zdrowia. Od pewnego czasu bierze pod uwagę głos znakomitych polskich naukowców, analityków danych i wspomagających ich informatyków.

W tym liście nie może zabraknąć słowa protestu przeciwko obrażaniu ekspertów ośmielających się prowadzić rzetelne analizy, które prowadzą do wyników sprzecznych z poglądem autora artykułu. Jak P.T. Redakcja mogła dopuścić do ich szkalowania?

prof. dr hab. inż. Jacek Koronacki

OD AUTORA

Szanowny Panie Profesorze, jestem bardzo wdzięczny Redakcji „Do Rzeczy”, że odważyła się opublikować artykuł krytyczny dotyczący fałszywej pandemii, zwłaszcza że w Polsce nie ma na ten temat merytorycznej debaty, a rząd zakazuje wypowiadania się lekarzom.

Z przykrością stwierdzam, że list Pana Profesora trudno uznać za merytoryczny z uwagi na fakt, że w ogóle nie odniósł się Pan do wielu moich argumentów uzasadniających, iż nie mamy do czynienia z pandemią, ale z wielkim oszustwem. Ponadto pisze Pan o pracach prof. Ioannidisa i Hockertza, ale nie podaje Pan ani źródła, ani na czym konkretnie polegały popełnione przez nich błędy, a co więcej, jak to się ma do przedstawionych przeze mnie argumentów. W związku z tym nie da się odnieść do tej części Pana krytyki, która ich dotyczy.

Uważam, że polski rząd nie stosuje się do rady prof. Ioannidisa, ponieważ jesteśmy już od dawna na etapie, gdzie wiemy na tyle dużo, że należy znieść lockdown jak najszybciej, a nie go ponownie zaostrzać, jak to ma obecnie miejsce, powołując się m.in. na wymyśloną tzw. drugą falę.



Wszystkie obostrzenia powinny zostać uchylone jak najszybciej, ponieważ w Polsce w szczycie (!) tzw. epidemii mieliśmy zaledwie 30 zgonów (pomijam zafałszowane statystyki) osób z pozytywnym, nie wiarygodnym testem dziennie, co w przypadku ok. 1150 średniej liczby zgonów każdego dnia stanowi znikome 0,02 proc. Ponadto w szczycie (!) „epidemii” było 65 proc. (!) wolnych miejsc w szpitalach. Skoro mieliśmy i mamy tak duże rezerwy, to jaki sens mają jakiejkolwiek obostrzenia, rujnowanie gospodarki i doprowadzanie do niepotrzebnych zgonów (np. z powodu nieodbytych czy przekładanych operacji oraz utrudnionego dostępu do lekarzy) w ramach skutków ubocznych walki z koronawirusem? Tego typu tok rozumowania uważam za patologiczny.

Nie wiem, czy Ioannidis nigdy nie nazwał restrykcji społecznych błędem, ale z pewnością pozytywnie wypowiedział się o polityce Szwecji: „Jak dotąd brak dowodów na to, że Szwecja zrobiła coś złego. Myślę, że poradziła sobie całkiem nieźle. [...] Obserwuję to bardzo uważnie, ale nie sądzę, że możemy winić Szwedów za to, co zrobili. Może powinniśmy im pogratulować” (*).

Prof. med. Sucharit Bhakdi, którego nie uznał Pan za poważnego naukowca,

choć ma bardzo bogaty dorobek naukowy i jest jednym z najczęściej cytowanych uczonych w dziedzinie medycyny w Niemczech, a ponadto jest specjalistą w dziedzinie mikrobiologii i epidemiologii chorób zakaźnych, uznał obostrzenia (w Niemczech) za „groteskowe, przekraczające granice i wprost niebezpieczne” oraz stwierdził, że „te działania są samoniszczące”. A jeśli społeczeństwo je akceptuje i przeprowadza, to równa się to zbiorowemu samobójstwu” (*).

O liście rządowych „ekspertów” i ich analizach nic nie wiadomo. Może w ogóle nie istnieją? W każdym razie, jeśli polityka walki z koronawirusem jest odzwierciedleniem rad tychże „specjalistów”, to należy ich jak najszybciej postawić przed sądem za działanie na szkodę obywateli i państwa.

Niemieckie MSW w wewnętrznym raporcie „KM 4 – 51000/29#2” donosi, że w marcu i kwietniu 2020 r. w Niemczech przesunięto albo nie przeprowadzono łącznie 90 proc. zaplanowanych wcześniej operacji. W ciągu tych dwóch miesięcy z powodu obostrzeń wprowadzonych przez rząd 2,5 mln pacjentów nie zostało poddanych operacji, chociaż byłyby one konieczne dla ratowania ich

zdrowia lub życia. Ekspert przypuszcza, że z powodu przesunięć operacji już zmarło lub umrze w Niemczech łącznie od 5 tys. do 125 tys. pacjentów. Ilu umrze w Polsce? Co na to nasi „ekspert”?

Ministerstwo Zdrowia (MZ) w piśmie nr ZPŚ 0164.156.2020 z dnia 29 maja 2020 r. podało do wiadomości, że w Polsce do 19 maja z powodu COVID-19 zmarło 200 osób bez chorób współistniejących. To byłoby ok. 20 proc. (!) wszystkich rzekomo zmarłych z powodu koronawirusa.

Jakim sposobem MZ ustaliło, że osoby te nie miały chorób współistniejących, skoro nie przeprowadza się w Polsce sekcji zwłok?! Tymczasem prof. Klaus Püschel z Hamburga w Niemczech wykonał już ponad sto autopsji osób, u których stwierdzono istnienie koronawirusa, i nie znalazł ani jednego (!) przypadku osoby, która nie miałaby chorób współistniejących: „Jeszcze nikt, kto by nie miał choroby współistniejącej, nie umarł na koronawirusa”. Uważam, że MZ po prostu kłamie. Co na to „ekspert”?

Z poważaniem
dr Mariusz Błochowiak

(*) „Fałszywa pandemia. Krytyka naukowców i lekarzy”, wyd. Osuchowa, 2020

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Jest pani prawdziwą wojowniczką, prześladowaną przez hiszpańskie feministki i ideologów gender. Kto się podda pierwszy, pani czy oni?

ALICJA RUBIO: Mam nadzieję, że oni. Feminizm przestał mieć jakąkolwiek wartość, gdy zagościł w nim neomarksizm ze swoją walką klas, ale w ramach płci. To zdumiewająco głupi projekt, bo jeszcze o ile można jakoś zrozumieć odmiennosć losu robotnika i „burżuazji”, o tyle przecież walka klas między kobietą a mężczyzną jest bezsensowna. Chcemy kochać i być kochane, tworzyć związki i mieć dzieci. Wreszcie kobiety zaczynają rozumieć szaleństwo tej ideologii. Nawet same feministki zaczęły kłócić się wewnątrz ruchu i w tym moja nadzieja.

Jak jednak można dać się oczarować tej ideologii na tyle, aby mimo szalejącego koronawirusa wyjść masowo na ulice i wykrzykiwać nienawiść do mężczyzn?

To efekt marszu przez instytucje. Feminizm radykalny jest religią obecnego rządu. Poza tym nowa ideologia pociesza i rozgrzesza: „Ty nie jesteś niczemu winna, tylko patriarchalny świat”. „Nie myśl o macierzyństwie, bo musisz się wyemancypować, a dziecko tylko zmusza do wyrzeczeń”. „Usuń ciążę, bo jest zagrożeniem dla twojej wolności. A najlepiej bądź homoseksualna, bo mężczyzna jest zagrożeniem”.

Zmotywowanie kobiety, aby zniechęcić mężczyznę, nie jest chyba takie łatwe?

Ale dokonuje się na naszych oczach. Jak? Poprzez eliminację miłości romantycznej, która czyni kobiety zakochanymi i bezwolnymi. Oraz obrzydzenie tradycyjnego modelu rodziny i dzieła kultury. Pisać nowym językiem o nowym lepszym świecie i zabraniać czytania książek innych niż podręczniki gender.

Ponoć czytanie logiki, dzieł klasyków mogłoby zniechęcić młode aktywistki feminizmu.

Gdy podchodzę do tych lewicowych bojówkarzy, którzy przychodzą bucieć na konferencjach, i chcę z nimi rozmawiać, to oni szybko zatykają uszy i uderzają w krzyk. Panicznie boją się debaty. Mogłoby się okazać, że cała ta ideologia gender jest nie do przyjęcia nawet na prosty rozum.

No więc to raczej sekta, ze swoimi parakaptanami, dogmatami i inkwizycją?

Problem w tym, że odkąd postulaty LGBT weszły w struktury prawa, inkwi-

Alicja Rubio to deputowana VOX, filolog, nauczyciel, publicysta, autorka książki „Od kiedy zabroniono nam być kobietami i prześladowano was za bycie mężczyznami, czyli jak wpływa na nas ideologia gender”

FOT. VOX ESPAÑA/FACEBOOK



Z Alicją Rubio, deputowaną Zgromadzenia Madrytu rozmawia Małgorzata Wołczyk

Nie dajcie się skolonizować

zycja jest już systemowa, przynajmniej w niektórych regionach. W regionie Madrytu mamy prawo zwane Cifuentes, które zobowiązuje do nauki w perspektywie gender o różnych „modelach rodziny” we wszystkich placówkach edukacyjnych. Przede wszystkim jednak uprzywilejowuje kolektyw LGBT i ściga

z urzędu homofobie. Prawo madryckie przenosi ciężar dowodowy na oskarżonych o dyskryminację innych ze względu na orientację seksualną, tożsamość płciową. To oni muszą przedstawić dowody potwierdzające ich niewinność. Innymi słowy: oskarżony o homofobie musi udowodnić, że nie jest homofo-

bem. Co prowadzi nas do oczywistego wniosku, że całe społeczeństwo takie jest dopóty, dopóki nie udowodni, że jest inaczej. I to wszystko dzieje się w kraju najbardziej gay-friendly na świecie, jak pokazują wszystkie rankingi!

**Polacy wciąż nie dowierają, że w Hiszpanii trwa regularna indoktrynacja już od najmłodsze-
go wieku. Jak ona wyglądała na początku?**

Wszystko, co związane z ideologią gender, najpierw weszło przez działania urzędów miejskich płacących za godziny uzupełniające dla nauczycieli, kółka szkolne etc. Tak się zaczęły kursy seksualizacji. Na szczęble gmin zaczęto zatrudniać ludzi z organizacji LGBT, którzy bez żadnego przygotowania pedagogicznego wchodzili do szkół z ofensywą ideologiczną. Oczywiście pod hasłami wyrównywania szans, walki z dyskryminacją i niechcianymi ciężarami wśród nieletnich. Problem w tym, że od kiedy weszli, wiek inicjacji spadł z 16 lat do 11, a ciążę wśród nieletnich są na skalę masową. Nikt jednak nie ma dostępu do tych danych, bo po pierwsze nastolatki mają darmowy dostęp do tabletki „dzień po”, a po drugie mamy bardzo liberalne prawo do aborcji (przez parę lat prawo Aído pozwalało 16–17-latkom aborować bez wiedzy rodziców). Nikogo też nie interesuje, że są dziewczynki, które zażywają siedem tabletek „dzień po” w ciągu roku, a to jest po prostu bomba hormonalna. Nie wypada też mówić o chorobach przenoszonych drogą płciową. Seksualizacja to priorytet. Tam, gdzie wkroczyły feministki z ich oskarżeniem męskiego świata, uznaje się, że dla dobra kobiety powinno się lansować lesbijski model życia, który pozwala na uniknięcie w ten sposób opresji i męskiej dominacji. Zaczęto lansować modę wśród młodych na różnorodność, bo bycie heterykiem jest już przestarzałe. Już długo przed rządem Zapatero pojawił się przedmiot obowiązkowy pod nazwą przysposobienia obywatelskiego i tam wykładano te dogmaty ideologii LGBT, pod przykrywką walki o lepsze społeczeństwo.

Nauczyciele nie widzą, co się dzieje? Nie zgłaszają fatalnych skutków seksualizacji?

Są zastraszeni. Jeśli uczeń posądzi nauczyciela o homofobię, to można się spodziewać linczu w białych rękawiczkach. Nauczyciele po tym, jak widzieli pikietę i bojówki pod moją szkołą [Alicja Rubio była nauczycielką – przyp. M.W.],

nie chcą narażać siebie i swoich rodzin. Poza tym w przewodzie liczebnej są nauczyciele zideologizowani lub szczerze przekonani do nowej wizji świata.

Młodzi czują się dobrze w takim orwellowskim świecie?

Tu się świetnie sprzedawał marksizm i to głównie wśród dzieci z bogatych rodzin. Nagle na uniwersytetach skolonizowanych przez lewicę albo w willach letniskowych na wybrzeżu odkrywają, że trzeba naprawiać świat – to znaczy oskarżać dom, Kościół, rodzinę. Znajdują ideologię, która zdejmuje z nich ciężar odpowiedzialności, popełniasz błąd – nie jesteś winny.

No dobrze, a jak reagują rodzice?

Wraz z wejściem do polityki partii Vox rozpoczęliśmy prawdziwą wojnę kulturową i rodzice ośmielili się mówić na głos, a nawet żądać dostępu do programu tych lekcji. Wcześniej tylko wymieniali

Nowe prawo przenosi ciężar dowodowy na oskarżonych o dyskryminację ze względu na tożsamość płciową. To oni muszą dowieść swej niewinności

się ukradkiem przerażającymi treściami, które serwowano ich dzieciom. No bo jak można sześciolatkowi kazać masturbować się dla poznania własnego ciała? Jak można nastoletnim dzieciom wykładać techniki seksu oralnego i analnego? Przecież to są kryminalne praktyki.

Czy szkoły katolickie i społeczne mogą pomóc uchronić się przed ideologiczną ofensywą?

Zacznijmy od tego, że Kościół hiszpański poddał się dawno temu. Ba! Zdarza się, że w katolickich szkołach zakonniczek wykładano tezy radykalnego feminizmu, bo wydaje się jej, że w ten sposób ochroni dziewczynki przed rzekomym naciskiem. Ale też szkoły społeczne, prywatne poddawane są coraz większemu naciskowi. Nowy rząd chce skończyć z prawem rodziców do wyboru szkoły. „Dzieci homofobicznych matek i ojców muszą wiedzieć, że mogą kochać, kogo chcą, jak chcą, ponieważ edukacja

w duchu równości jest jednym z filarów demokracji i tego rządu” – powiedziała ministra ds. równości Irene Montero.

Eurodeputowany z Hiszpanii Juan Fernando López Aguilar oskarża Polskę o brak praworządności, tymczasem to on jest autorem prawa łamiącego zapis hiszpańskiej konstytucji o równości przed prawem niezależnie od płci oraz o domniemaniu niewinności, co wydawało się zdobyczą oświeczonej Europy.

To chore prawo powstało na bazie walki z wydumaną męską przemocą. I to w kraju, w którym kobieta jest wyjątkowo bezpieczna i chroniona. Autorzy prawa uznali jednak, że kobieta jest w każdym związku istotą podległą i dlatego należy chronić ją poprzez „dyskryminację pozytywną”, co automatycznie stawia każdego mężczyznę na przegranej pozycji. Odebrano mu podstawowe prawo domniemania niewinności. Gdy kobieta składa doniesienie, bo np. rozwódząc się, nagle jej się przypomina, że została uderzona 15 lat temu, to nie ona ma dostarczyć dowodów winy, ale on musi dowieść, że jest niewinny. Kobiety bywają przecież mistrzyniami przemocy psychicznej, konflikty wszczynane są po obu stronach, ale prawo o przeciwdziałaniu przemocy seksistowskiej uczyniło mężczyznę z góry winnym z racji posiadania chromosomu Y.

Czy to prawo nie jest przypadkiem wymarzoną narzędziem zemsty, zwłaszcza dla kobiet bez skrupułów?

Tak. Mężczyźni boją się wchodzić w związki. Wiedzą, że gdy miłość się skończy, to kobieta może złożyć fałszywe doniesienie, żeby się wzbogacić. Pokusa jest ogromna, jeśli zna się to prawo. Wystarczy przypomnieć sobie jakieś zajęcie, przepychankę i posądzony traci opiekę nad dzieckiem. A sąd z automatu przyznaje poszkodowanej i dziecku, i dom, nawet jeśli nie był jej, plus zasiłki dla dziecka lub stypendia. Która kobieta nie miałaby pokusy puszczania męża w skarpetkach, gdy odkryje romans albo sama znudzi się partnerem? To prawo jest też pośrednio przyczyną ogromnej liczby samobójstw wśród mężczyzn i katastrofalnej demografii.

Ma pani jakąś radę dla Polski? My dopiero zaczynamy poznawać, na co ich stać...

Nie dajcie się skolonizować. Najważniejsze to zachować media, edukację i kulturę.



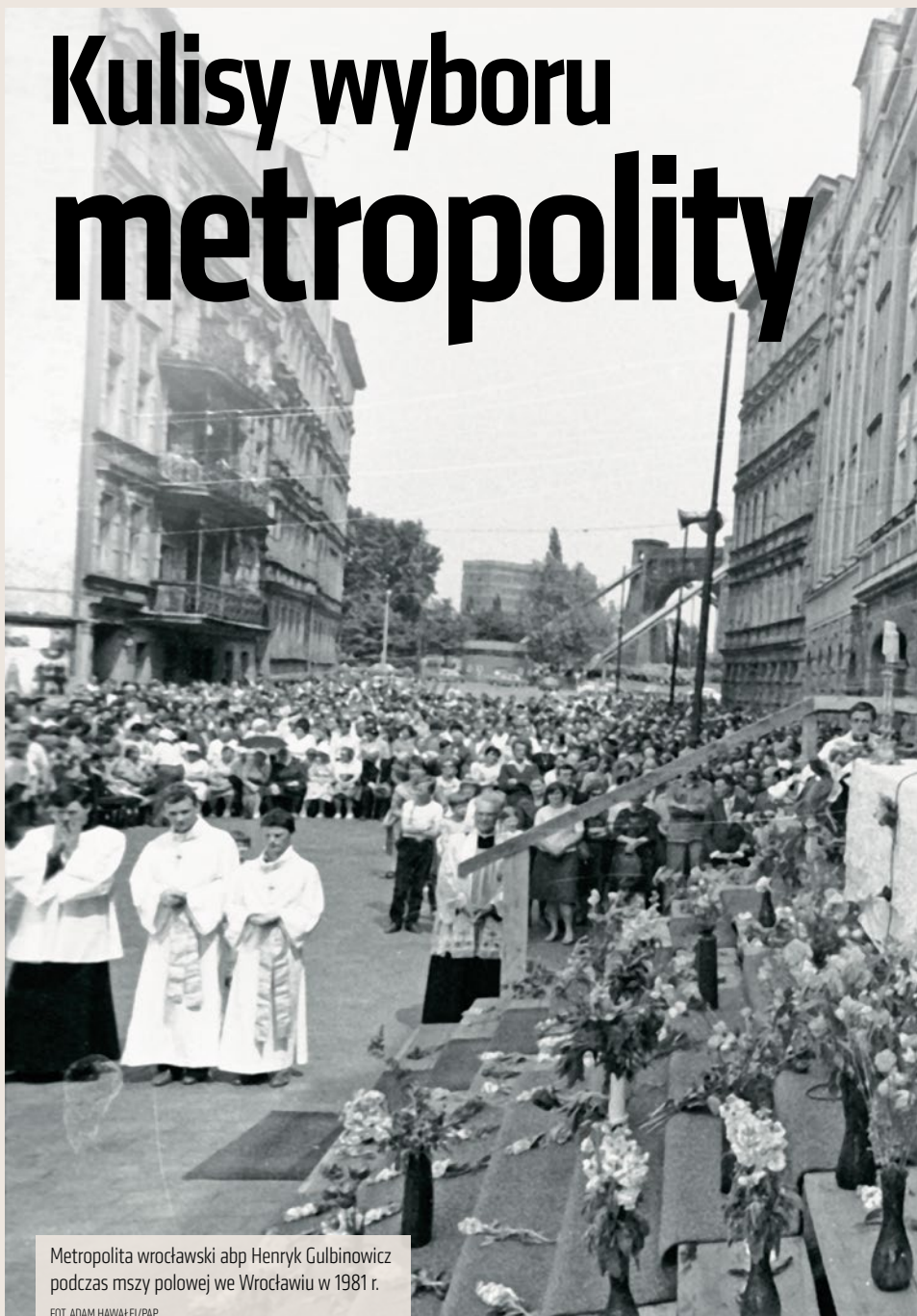
Rafał Łatka

Walka o obsadę stanowiska metropolity wrocławskiego po śmierci kard. Bolesława Kominka trwała dwa lata. Czy bp. Henrykowi Gulbinowiczowi w otrzymaniu nominacji pomogły potajemne rozmowy ze Służbą Bezpieczeństwa?

Kardynał Bolesław Kominek odegrał bardzo ważną rolę w dziejach Kościoła katolickiego w PRL, szczególnie w zakresie starań o trwałe uregulowanie statusu jego struktur na ziemiach zachodnich i północnych. Jego śmierć w 1974 r. rozpoczęła długotrwały konflikt o obsadę stanowiska metropolity wrocławskiego pomiędzy Episkopatem Polski a władzami Polski „ludowej”. Dotychczas w literaturze historycznej dominowało przekonanie, że wybór bp. Henryka Gulbinowicza na następcę kard. Kominka był sukcesem strony kościelnej. Okazuje się jednak, że sytuacja była znacznie bardziej skomplikowana, a kluczową rolę w wyborze tego właśnie kandydata miał komunistyczny aparat bezpieczeństwa.

Dominuje przekonanie, że rządy kard. Kominka jako ordynariusza we Wrocławiu były przełomowe dla archidiecezji w zakresie wzmocnienia jej znaczenia nie tylko w polskim Kościele, lecz także w Kościele powszechnym. Jest to oczywiście prawda, ale niepełna, gdyż wspomniany hierarcha nie był w stanie zapanować nad konfliktami personalnymi wśród osób piastujących najważniejsze funkcje w kurii wrocławskiej. Szczególnie istotne w tym względzie było odsunięcie od wpływu na jej zarządzanie biskupów pomocniczych: bp. Andrzeja Wronki, bp. Wincentego Urbana i bp. Pawła Latuska. Spowodowało to interwencję kard. Stefana Wyszyńskiego u kard. Kominka we wrześniu 1971 r. Wydaje się, że przyniosła ona tylko przejściowe efekty, gdyż prymas w czasie rozmowy z bp. Wronką z 5 kwietnia 1973 r. przekonał się, że niewiele się zmieniło, jeśli chodzi o rządy w archidiecezji, na którą o wiele poważniejszy wpływ niż biskupi pomocniczy mieli „wszechwładny” ks. Jan Krucina i rektor WSD ks. Józef Majka. To właśnie przekonanie, że we Wrocławiu istnieją

Kulisy wyboru metropolity



Metropolita wrocławski abp Henryk Gulbinowicz podczas mszy polowej we Wrocławiu w 1981 r.

FOT. ADAM HAWAŁEJ/PAP

silne konflikty o podłożu personalnym, zdecydowało, iż po śmierci kard. Kominka prymas uważał, iż metropolitą powinien zostać kandydat spoza Wrocławia. Dlatego nie miał żadnych szans na nominację bp Urban, który w okresie przejściowym pełnił funkcję wikariusza generalnego.

ODRZUCANE PROPOZYCJE

Zgodnie z tzw. procedurą terno stosowaną z 31 grudnia 1956 r. prymas przedstawiał władzom trzech kandy-

datów do nominacji biskupiej, z których te milcząco akceptowały jednego, a następnie był on powoływany na stanowisko przez Stolicę Apostolską. Pierwszym etapem konfrontacji przy obsadzie metropolii wrocławskiej było odrzucenie przez władze wszystkich trzech kandydatów wskazanych przez kard. Wyszyńskiego 19 kwietnia 1974 r. Byli to: bp Władysław Miziołek i bp Zbigniew Kraszewski (sufragani warszawscy) oraz ks. Jan Michalski



z Gniezna. Dyrektor antykościelnego Departamentu IV MSW płk Zenon Go-
roński podkreślał: „Wszyscy kandydaci
są ludźmi Wyszyńskiego. Zostali przez
niego wywyższeni i są mu w pełni
posłuszni oraz lojalni”. To właśnie taka
ocena spowodowała negatywną decyzję
komunistów. Nie chcieli się zgodzić na
propozycje prymasa, gdyż oznaczało-
by to dalsze wzmocnienie Episkopatu
oraz pozycji kard. Wyszyńskiego. Już
wtedy szef Departamentu IV sugerował

także, by zaproponować Watykanowi
bezpośrednie (czyli z pominięciem
polskiego Kościoła) uzgodnienie osoby,
która obejmie stanowisko metropolity
wrocławskiego.

Władze PRL, chcąc przejąć inicjatywę
oraz wykorzystać dialog prowadzony
przez przedstawicieli rządu z dyplomacją
Stolicy Apostolskiej, w lipcu 1974 r. wysu-
nęły własnych kandydatów do obsadzenia
stanowiska metropolity wrocławskiego:
bp. Urbana, ks. Mieczysława Krąpca – rek-

tora KUL i ks. Jana Stępnia – rektora ATK.
Były to propozycje starannie dobrane
pod kątem krytycznego stosunku do
kard. Wyszyńskiego. Dwaj ostatni, o czym
nie wiedział prymas, byli także tajnymi
współpracownikami SB, można więc po-
wiedzieć, że znajdowali się pod wpływem
aparatu bezpieczeństwa. Komuniści liczyli
na to, że Watykan zaakceptuje któregoś
z wymienionych kandydatów, dzięki cze-
mu uzyskają o wiele dalej idący wpływ na
nominacje biskupie przez wytworzenie

■ bardzo korzystnego dla siebie prece-
densu, metropolię wrocławską obejmie
zaś duchowny, który nie jest całkowicie
lojalny wobec prymasa. Dzięki interwencji
Episkopatu Polski w Stolicy Apostolskiej
plan władz się nie powiódł.

Próbą przełamania impasu była
osobista inicjatywa Pawła VI, by no-
minować na stanowisko metropolity
wrocławskiego bp. Władysława Rubina,
wpływowego sekretarza generalnego Sy-
nodu Biskupów. Papież, przedstawiając
w październiku 1975 r. tę kandydaturę,
działał w dobrej wierze, ale zabrakło mu
realizmu politycznego, gdyż komuniści
nigdy by nie wyrazili zgody, żeby wspo-
mniany hierarcha objął jakiegokolwiek
stanowisko w polskim Kościele. Wyni-
kało to z jego silnych związków z polską
emigracją niepodległościową oraz – na
co wskazywał płk Konrad Straszewski,
wicedyrektor Departamentu IV – był on
także osobą niezwykle lojalną i przywią-
zaną do kard. Wyszyńskiego. Prymas
mimo zaskoczenia stanowiskiem Ojca
Świętego przedstawił władzom kandy-
daturę bp. Rubina. Została ona odrzuc-
ona w listopadzie 1975 r. (choć decyzja
zapała już w październiku). Stanowisko
władz przedstawił w Stolicy Apostolskiej
wiceminister spraw zagranicznych Józef
Czyrek w czasie rozmowy z abp. Agosti-
no Casarolim. Prymas decyzję rządu PRL
na piśmie otrzymał dopiero 13 grudnia.

Kardynał Wyszyński nie miał zama-
ru akceptować tej sytuacji i 20 stycznia
1975 r. zgłosił władzom kolejne terno,
w którym wskazał jako kandydatów na
metropolitę wrocławskiego: bp. Wła-
dysława Miziołka (proponowanego już
wcześniej), bp. Jerzego Strobę, ordyna-
riusza szczecińsko-kamińskiego, oraz ks.
Kazimierza Romaniuka, rektora metro-
politalnego WSD w Warszawie. Opinia
SB była analogiczna do tej w przypadku
pierwszego terno: każdy ze wspomnia-
nych duchownych ma bliskie związki
z prymasem oraz prezentuje negatywne
stanowisko wobec władz i dlatego należy
wszystkich trzech kandydatów odrzucić.
Decyzję podjęto już w styczniu, ale odcze-
kano trzy miesiące, by przesłać ją oficjal-
nie do kard. Wyszyńskiego. W międzycz-
asie rząd PRL po raz kolejny nieskutecznie
próbował nakłonić Stolicę Apostolską do
nominacji metropolity wrocławskiego
z pominięciem Episkopatu Polski.

8 maja kard. Wyszyński odpowiedział
na negatywne stanowisko komunistów,
wnosił o ponowne rozpatrzenie sprawy,

zgłosił tych samych trzech kandydatów
i jednego nowego – ks. Józefa Glempa,
swojego sekretarza. Władze PRL nie
miały zamiaru wyrażać zgody także na
tę ostatnią propozycję, gdyż przyszły
następca kard. Wyszyńskiego był oce-
niany jako bezwzględnie wobec niego
lojalny oraz kilkakrotnie odrzucił pro-
pozycję współpracy agenturalnej z SB.

OSTATNI ETAP

Prymas nie doczekał się żadnej ofi-
cjalnej odpowiedzi ze strony premiera
PRL ani kierownika Urzędu ds. Wyznań
Kazimierza Kąkola na swoje pismo
z 8 maja. W związku z tym 7 październi-
ka wskazał dwóch nowych kandydatów
na metropolitę wrocławskiego: bp. Igna-

**Dla władz bp Gulbinowicz był osobą do zaakceptowania ze względu
na prowadzone przez niego w tajemnicy rozmowy z SB oraz
umiarkowane stanowisko w zakresie relacji państwo-Kościół**

cego Jeża i bp. Henryka Gulbinowicza.
W charakterystyce SB podkreślano, że
pierwszy z nich jest „oddany Wyszyń-
skiemu i lojalny wobec niego”. Rów-
nocześnie zaznaczano, że nie zabiera
publicznie głosu w negatywny dla władz
sposób. W konkluzji zauważono, że:
„Jest spokojny, wyważony i mimo że
w prywatnych wypowiedziach podkre-
śla swoją dezaprobatę dla komunizmu,
nie jest rzecznikiem awanturnictwa
w stosunkach z Państwem”. Z tych
powodów był więc dla komunistów do
zaakceptowania. Drugi ze wskazanych
przez kard. Wyszyńskiego kandyda-
tów był jednak z ich punktu widzenia
znacznie lepszą opcją. Przede wszyst-
kim od sześciu lat prowadził utrzymy-
wane w tajemnicy (przed prymasem
i Episkopatem) rozmowy z wysokimi
rangą funkcjonariuszami SB. Rozpoczęły
się one w 1969 r. i z czasem przybrały
charakter dialogu operacyjnego (choć,
jak się wydaje, szczególnie w ich pierw-
szym okresie liczono nawet na werbu-
nek agenturalny). Najpierw prowadził
je ppłk Józef Maj, a następnie od 1975 r.
ppłk Czesław Wiejak.

Ksiądz Gulbinowicz, jak się wyda-
je, zdecydował się na rozmowy z SB
z dwóch powodów: chęci ułożenia
sytuacji w zarządzanej przez siebie
Administraturze Apostolskiej w Białym-
stoku oraz ryzyka, że wyjdzie na jaw jego

niemoralny tryb życia w okresie pracy
w Olsztynie i Białymstoku. Chodziło
o utrzymywanie kontaktów homosek-
sualnych z młodymi, ale pełnoletnimi
mężczyznami. Funkcjonariusze SB, jak
wynika z zachowanej dokumentacji,
nie podejmowali tego tematu, nie chcą-
c zrażać do siebie rozmówcy.

Bardzo istotne znaczenie w kontek-
ście nominacji na metropolitę wrocław-
skiego miała propozycja przedstawiona
przez drugiego z wymienionych oficerów
SB w czasie spotkania 15 października
1975 r., by bp Gulbinowicz porozmawiał
z Konradem Straszewskim, dyrektorem
Departamentu IV MSW. Mimo począt-
kowych oporów hierarcha zgodził się
na spotkanie. Doszło do niego dwa dni

później w Białymstoku. Przebieg roz-
mowy nie jest znany. W moim przeko-
naniu jednak silny nacisk na realizację
tej koncepcji, zaznaczenie, że spotkanie
z gen. Straszewskim miało się odbyć
„za wiedzą czynników politycznych”, oraz
tajemniczość ppłk. Wiejaka pozwalają
przypuszczać, iż za rozmową z szefem
antykościelnej struktury aparatu bez-
pieczeństwa stało coś znacznie więcej
aniżeli dalsza „lojalizacja” administratora
apostolskiego w Białymstoku. Można
domniemywać, że tematem spotkania
była zgoda władz na nominację bp. Gul-
binowicza na metropolitę wrocławskiego
i osobiste wysondowanie kandydata
przez szefa antykościelnego pionu bez-
pieki. Było ono dla hierarchy z pewnością
pozytywne, o czym świadczą także trzy
kolejne spotkania Gulbinowicz-Str-
aszewski, do których dochodziło w latach
1975–1977.

Dla władz bp Gulbinowicz był osobą
do zaakceptowania ze względu na
prowadzone przez niego w tajemni-
cy rozmowy z SB oraz umiarkowane
stanowisko w zakresie relacji państwo-
-Kościół. W przeciwieństwie do kan-
dydatów wysuwanych wcześniej przez
stronę kościelną nie był oceniany przez
władze jako bezwzględnie lojalny wobec
kard. Wyszyńskiego. 15 października
aparat bezpieczeństwa przygotował
obszerną charakterystykę wspomnia-

nego hierarchy, w której zdecydowanie przeważały pozytywne w oczach władz elementy działalności bp. Gulbinowicza. Wśród nich wymieniano: prowadzenie przez administratora apostolskiego w Białymstoku polityki niezadrażniania relacji z władzami, a nawet realizowania ich sugestii i postulatów; deklarowanie, że podległe mu duchowieństwo nie będzie podważać autorytetu władz państwowych; sprzeciwianie się nielegalnemu budownictwu sakralnemu; prezentowanie kwestii normalizacji stosunków państwo-Kościół w korzystnym dla rządu świetle w czasie narad dekanalnych czy też powstrzymanie organizacji 50-lecia archidiecezji wileńskiej. Wśród elementów negatywnych wymieniono: krytyczne spojrzenie na działalność abp. Casarolego w zakresie polityki wschodniej Watykanu; zainteresowanie sytuacją religijną w Związku Radzieckim czy negatywne akcenty w wypowiedziach dotyczących budownictwa sakralnego. Analogicznie, czyli z dużą przewagą akcentów pozytywnych dla władz, działalność bp. Gulbinowicza była oceniana w innych charakterystykach przygotowanych w czasie dwóch kolejnych miesięcy przez MSW i Urząd do spraw Wyznań..

WĄTPLIWOŚCI WATYKANU

Ostatecznie komuniści wyrazili zgodę na nominację bp. Gulbinowicza na metropolitę wrocławskiego 2 grudnia 1975 r. Decyzję abp. Casarolemu miał zakomunikować Kazimierz Szablewski, przedstawiciel władz ds. stałych kontaktów roboczych ze Stolicą Apostolską. To jednakże nie zakończyło sprawy, gdyż Stolica Apostolska miała poważne wątpliwości co do bp. Gulbinowicza. Wspomniał o tym w swoim dzienniku kard. Wyszyński, który relacjonował, że Paweł VI nakazał mu wziąć odpowiedzialność za tę nominację. Ponadto Paweł VI pytał, czy Episkopat Polski nie ma lepszego kandydata: „Wasz kandydat jest młody i mało reprezentatywny. Przecież macie tylu zdolnych biskupów?”. Prymas odpowiedział: „Na pewno mamy lepszych. Ale nie wszyscy lepsi akurat nadają się na to stanowisko. Zresztą nie ma nadziei, by mogli pacifice objąć w posesję Stolicy Bpiej. Np. bp Ablewicz jest godnym biskupem, dobrze uformowanym teologicznie, ale ma trudności współpracy z duchowieństwem. A diec[e]zja w[roclawska] jest i tak już zróżnicowa-

na. Obydwa biskupi sufragani nie są w stanie podołać zadaniu”. W końcowej części rozmowy papież zaznaczył także, że ewentualna przyszła nominacja kardynalska dla tego hierarchy musiałaby „zostać odłożona w czasie”.

Można się jedynie zastanawiać, czy prymas (a także watykański Sekretariat Stanu) mógł posiadać pewną wiedzę na temat niemoralnego prowadzenia się bp. Gulbinowicza w czasie pracy w Olsztynie i Białymstoku. Zapisy w jego dzienniku na to nie wskazują i wydaje się, że prymas nie miał ich świadomości. Podobnie jak nie posiadał informacji na temat jego rozmów z SB. Z pewnością obydwie te czynniki przekreśliłyby w jego oczach wspomnianego hierarchę jako kandydata na tak ważną stolicę biskupią jak Wrocław. Dodatkowym argumentem za ostatecznym rozstrzygnięciem sprawy było z pewnością zmęczenie prymasa przedłużającym się konfliktem. Trudności ze strony Stolicy Apostolskiej kard. Wyszyński tłumaczył złą opinią, którą mieli bp. Gulbinowiczowi wyrobić watykańscy dyplomaci. W doniesieniu TW „Ludny” z 9 stycznia 1976 r. odnotowano interesującą opinię bp. Jerzego Modzelewskiego na temat nominacji bp. Gulbinowicza, która – jak się wydaje – dobrze oddaje poglądy kard. Wyszyńskiego i jego bliskich współpracowników w tej sprawie: „Jest to kandydat najbardziej kompromisowy i najbardziej dla władz wygodny. Kardynał [Wyszyński – przyp. R.Ł.] liczy się, że Gulbinowicz będzie we Wrocławiu popularny, ponieważ jest tam duże zgrupowanie rodzin kresowych, a Gulbinowicz jest z pochodzenia wilnianinem. Ma on dużą łatwość nawiązywania kontaktów”.

Ostatecznie dokument z nominacją papieską dla bp. Gulbinowicza na metropolitę wrocławskiego przekazał prymasowi abp Agostino Casaroli 16 grudnia w czasie ich wieczornej rozmowy. Decyzję Stolicy Apostolskiej kard. Wyszyński zakomunikował bp. Gulbinowiczowi 30 grudnia 1975 r. w Warszawie. Należy podkreślić, że w czasie rozmowy nominat zaznaczył, iż doszły już do niego informacje na ten temat, co odnotował prymas: „Przedstawiam Mu decyzję Stolicy Św., mocą której został przeniesiony na wakującą Stolicę Arcybiskupią w Wrocławiu. Ks. Biskup nie jest zaskoczony, gdyż jakieś »przyjazne« głosy już dotarły do Niego. Ale ma różne obawy, co nie jest złym znakiem. Zaledwie wgryzł się w Archidiecezję w Białymstoku, którą

zna dokładnie. Teren Wrocławia jest dlań obcy. Jednak chce być posłuszny woli Ojca św. Przyjmuję to jako znak consensus [...]”. Możemy zakładać, że hierarcha dowiedział się o tym, iż jest kandydatem na metropolitę wrocławskiego, bezpośrednio od Konrada Straszewskiego w czasie ich październikowego spotkania. Nominację ogłoszono oficjalnie 8 stycznia, ingres abp. Gulbinowicza do katedry wrocławskiej odbył się zaś 12 lutego 1976 r. Rozpoczęły się długoletnie rządy tego hierarchy we Wrocławiu.

CZĘŚCIOWY TRIUMF

Walka o obsadę stanowiska metropolity wrocławskiego trwała dwa lata. Władze PRL zmierzały do narzucenia stronie kościelnej nowej metody wyboru biskupów oraz stworzenia w archidiecezji wrocławskiej ośrodka, który mógłby być przeciwwagą dla kard. Wyszyńskiego w polskim Kościele. Z tego założenia wynikały brak zgody na kolejnych przedstawianych przez prymasa kandydatów oraz próba narzucenia własnych, bardziej dla komunistów wygodnych.

Gdy wspomniane próby się nie udały, rządzący PRL rozpoczęli grę na czas, starając się odwlec nominację oraz zablokować wybór duchownych, których kard. Wyszyński darzył pełnym zaufaniem. Ostatecznie władze komunistyczne wyraziły zgodę na bp. Gulbinowicza. Zadecydowały w tym względzie, jak się wydaje, dwie kluczowe przyczyny: ocena, że nie jest on w pełni lojalny wobec prymasa, oraz że prowadzony przez SB dialog operacyjny ze wspomnianym hierarchą przyniesie określone rezultaty. Liczono w tym zakresie na co najmniej pełną lojalizację bp. Gulbinowicza, a w najlepszym dla władz scenariuszu na pozyskanie go do współpracy agenturalnej i wykorzystywanie jako agenta wpływu w kierownictwie Episkopatu.

Zamierzenia władz zrealizowały się jedynie częściowo. Do momentu powstania Solidarności abp Gulbinowicz jako metropolita wrocławski nie sprawiał władzom większych problemów. Zmieniło się to dopiero na przełomie lat 1980 i 1981, gdy zaczął dość otwarcie wspierać nowy związek zawodowy. Równocześnie jednak do 1985 r. prowadził rozmowy operacyjne z wysokimi rangą funkcjonariuszami SB, ale przynosiły one coraz mniejsze z punktu widzenia władz efekty.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, doktorem habilitowanym, pracownikiem BBH IPN.

TOMASZ ROWIŃSKI: W jaki sposób władze PRL utrudniały biskupom sprawowanie władzy w Kościele?

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI: Komunistyczne służby specjalne od samego początku prowadziły działania przeciwko Kościołowi katolickiemu. Najpierw był Urząd Bezpieczeństwa, po 1956 r. Służba Bezpieczeństwa, a w 1962 r. przy każdej komendzie wojewódzkiej powstał IV Wydział SB do zwalczania Kościoła i związków religijnych. I UB, i SB miały kilka wypracowanych metod, żeby wpływać na politykę personalną w Kościele. Szczególnie chodziło o biskupów. Pierwszą metodą była kompromitacja niewygodnych kandydatów. W Polsce każdy duchowny, a nawet każdy kleryk miał zakładany tzw. TEOK, czyli teczkę operacyjną na księdza. To sformułowanie „na księdza” miało taki wydźwięk, jakby zbierano dane na potencjalnego przestępcę, tzw. kompromateriały, czyli materiały kompromitujące. Ale nie tylko takie materiały, ponieważ zbierano też wszelkie informacje o charakterze prywatnym. Kiedy miało dojść do nominacji – nie tylko biskupiej, lecz także na stanowisko kanclerza kurii czy proboszcza ważnej parafii – i jeżeli duchowny był niewygodny, czyli był np. patriotą, niezłomny, wobec systemu komunistycznego, wyciągano taką teczkę i starano się go utracić, najczęściej na podstawie kompromatów. Nie wiemy, jaka była skala tego zjawiska, niemniej na podstawie wielu już informacji domyślamy się, że niektórzy nie zostali biskupami, chociaż byli bardzo dobrymi kapłanami. Byli typowani przez władze kościelne do takiego stanowiska, ale właśnie władza świecka ich odrzucała. Byłoby ciekawe opublikować kiedyś takie dane, ilu kandydatów na biskupów zostało utraconych z powodu sprzeciwu czy manipulacji władz PRL.

Jakie jeszcze metody stosowano?

Drugą drogą było promowanie tych, którzy już się uwikłali w działania Służby Bezpieczeństwa jako tajni współpracownicy. Z kolei w latach 50. byli to tzw. księża patrioci, którzy współpracowali jawnie z władzą komunistyczną w ramach swojego stowarzyszenia, też tacy, którzy byli ulegli wobec władz. W takich przypadkach prowadzono tzw. gry operacyjne, czyli w różny sposób przedstawiano te osoby jako wartościowe, pomagano im w karierze kościelnej. Muszę też powiedzieć, że byli księża, którzy świadomie



Z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim rozmawia Tomasz Rowiński

Milicja eskortująca konwój papieski podczas pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski
FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

Nie każdy musiał ulec SB

podejmowali współpracę z SB, ponieważ liczyli, że tą drogą otrzymają kościelne awanse. Kiedy dany ksiądz zostawał biskupem lub wyższym przełożonym, np. kanclerzem kurii, to starano się go z jednej strony pozyskać, czyli zachęcić do współpracy, ale też, nawet jeśli stanowczo odmówił, starano się z nim nawiązać tzw. dialog operacyjny, czyli wejść w tryb systematycznych rozmów, które miały na celu zmiękczenie go, przekonanie, choćby częściowe, do komunizmu i władz PRL. Proponowano też różne wzajemne działania czy wymianę „usług” pomiędzy Kościołem a państwem. To były bardzo trudne rozmowy, bo z jednej strony Kościół, biskupi musieli rozmawiać, musieli mieć kontakty z władzami państwowymi,

a z drugiej strony była to taka bardzo cienka linia – między rozmową i współpracą – którą łatwo było przekroczyć. Nieraz duchowny nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia daje się uwikłać bezpiecze. Te kontakty były taką grą w pokera znaczącymi kartami. Z moich różnych doświadczeń, czyli ze spraw, które poznałem, muszę powiedzieć, że jednak to duchowny częściej przegrywał. W tej grze w pokera przedstawiciel służb był bowiem lepiej przygotowany i miał „asy w rękawie”, czyli dostęp do podsłuchów, inwigilacji korespondencji, do informacji od ewentualnych agentów z otoczenia duchownego. Po prostu SB miała często dużą wstępną wiedzę o swoich rozmówcach, a duchowni mieli na ogół mgliste

pojęcie o technikach i strategiach swoich przeciwników.

Jak posługiwano się kompromatami?

To nie musiało koniecznie polegać na ujawnianiu takich materiałów, czyli właśnie skompromitowaniu duchownego. Wystarczyło posiadanie takiej wiedzy jako haka. W latach 50., 60. czy 70. czynny homoseksualizm był sprawą absolutnie dyskwalifikującą duchownych. Jeśli służby miały wiedzę o takich praktykach seksualnych delikwenta i przekazały ją duchownemu, nad którym postanowiły pracować, to dlatego, że liczono na jego podporządkowanie się z obawy przed publicznym ujawnieniem takich informacji.

Kompromatami zawsze były skuteczne?

Znam jeden przypadek z archidiecezji krakowskiej, gdy ksiądz, bardzo dobrze się zapowiadający, pracujący w kongregacji w Watykanie, szykowany być może w przyszłości na fotel biskupa, wdał się w romans z kobietą, i to zameźną. Esbecja go szantażowała, że jeżeli nie podpisze współpracy i nie będzie donosił, to go skompromitują. Ten duchowny odmówił, mając świadomość, co go za to czeka. Mszcząc się, służby rzeczywiście ujawniły związek z mężatką. Po tym wydarzeniu został on usunięty z kongregacji watykańskiej. To jest ciekawe od strony moralnej – z jednej strony naganny był ten romans, ale z drugiej strony kapłan ten potrafił oprzeć się naciskom w sprawie współpracy dokonywanym pod presją szantażu. Były takie momenty, że ludzie skompromitowani moralnie znajdowali w sobie tyle siły, by odmówić współpracy. Czyli nie każdy musiał ulec SB. Czasem można usłyszeć takie tłumaczenia, że ktoś musiał podpisać. Nikt nie musiał, to była zawsze decyzja konkretnego człowieka, czy się na to zgodzi, czy nie. Mam więcej wyrozumiałości dla ludzi, którzy zgadzali się na współpracę w czasach stalinowskich, ponieważ ich faktycznie łamano nieraz brutalnie, ale i mimo to można było nie dać się złamać. Na przykład kard. Franciszek Macharski przez sześć lat nie mógł pojechać na studia do Szwajcarii, ponieważ odmówił esbecji. Jeszcze jedna sprawa istotna, dla władzy komunistycznej było wygodne, żeby stanowiska kościelne obejmowali ludzie, na których są haki.

Na ile dobór ludzi na stanowiska kościelne był kształtowany przez władze PRL?

Często rzeczywiście te sprawy odbywały się krakowskim targiem. Obie stro-

ny musiały się w końcu dogadać, ale też pamiętajmy, że były stanowiska bardzo długo nieobsadzone, więc też widać, że i te spory miały wyższą temperaturę. Jeśli chodzi np. o Wrocław, w którym po dwóch latach wakatu znalazł się ostatecznie Henryk Gulbinowicz, było to miejsce newralgiczne, ziemie odzyskane. Długotrwałe nieobsadzenie tego biskupstwa byłoby nie na rękę władzom PRL w relacjach międzynarodowych. Strona rządowa za wszelką cenę chciała podkreślać polskość tych ziem, więc długi wakat byłby przynajmniej wizerunkową porażką.

Czy jednak władze nie zmuszały swoimi naciskami prymasa Wyszyńskiego do obsadzania stolic biskupich ludźmi nielojalnymi?

Kardynał Wyszyński działał w absolutnie innej sytuacji niż ta, w której obecnie znajduje się episkopat, gdzie biskupi mają poglądy od Sasa do Lasu i często wspólna zgoda w niektórych sprawach jest trudna. Była większa świadomość powagi sytuacji i tego, że po drugiej stronie stoi wroga władza świecka, władza komunistyczna. Wtedy sprawdzała się taktyka „obleżonej twierdzy”, czyli zwieranie szeregów, wzajemne wspieranie się. Prymas Wyszyński miał przy tym potężny wpływ na duchowieństwo w Polsce. Mógł też liczyć na zaufanych ludzi w episkopacie. Do nich należał m.in. kard. Karol Wojtyła, który był wprawdzie z innej bajki i miał w wielu sprawach odmienne podejście od prymasa, ale mimo to był wobec niego bardzo lojalny. To samo bp Ignacy Tokarczuk w Przemyślu czy bp Henryk Bednorz na Śląsku, choć ich diecezje były bardzo zróżnicowane od strony duszpasterskiej. Także biskupi, wcześniej prześladowani przez bezpiekę, tacy jak abp Antoni Baraniak z Poznania, którego więziono i torturowano. Oni wszyscy mieli jedną linię wobec komunizmu. Po prostu wiedzieli, że z diabłem nie da się grać w pokera. W episkopacie znaleźli się też niestety tajni współpracownicy SB, jak np. bp Jerzy Dąbrowski z Gniezna, pełniący ważną funkcję zastępcy sekretarza episkopatu, ale to były wyjątki.

Czy władze czasem odpuszczały i kard. Wyszyński nominował, kogo uważał?

Były też różne etapy walki z Kościołem. W czasach stalinowskich to była otwarta walka, więzienia, wypędzanie biskupów z diecezji, internowanie prymasa. My tak ładnie mówimy, że to było internowanie, ale to było po prostu więzienie bez żadne-

go wyroku, razem z zakazem kontaktu ze światem zewnętrznym. W tamtym czasie były diecezje w ogóle bez biskupów, tak jak w Katowicach czy Krakowie. Próbowano wtedy jako administratorów osadzać „księży patriotów”. Po 1956 r. nastąpiła krótka chwila odwilży październikowej, która bardzo szybko się skończyła, ponieważ pojawił się problem rocznicy 1000-lecia chrztu Polski, nowenny Prymasa, uroczystości kościelnych, które ogromnie mobilizowały polskie społeczeństwo. Okres przygotowania duchowego do millennium to praktycznie cała dekada. I wtedy Gomułka znów zaczął walczyć z Kościołem. Natomiast w tamtym czasie, jak sądzę, wspomniany Wydział IV SB zaczął rozumieć, że lepszą metodą nie jest używanie kija, ale marchewki, czyli coraz częściej próbowano drogi przekupstwa zamiast zastraszania. Przekonywano, że komunizm jest wieczny i że trzeba z nim jakoś żyć i się układać. Oczywiście to były różne metody wobec różnych duchownych, ale lata 70. pokazują wyraźną zmianę taktyk operacyjnych. Po wyborze Jana Pawła II to się zmieniło już zupełnie, ponieważ SB miała nowe problemy z pojawieniem się zorganizowanej opozycji. Zatem i ten dialog dotyczący obsadzania stolic biskupich miał różne fazy z różnymi poziomami napięcia.

A czy poprzez Watykan także próbowano oddziaływać na politykę kadrową Kościoła w Polsce?

Oczywiście, wciąż były podejmowane próby przede wszystkim ośmieszania i oczerniania Wyszyńskiego, pokazywania go jako despoty, zacofanego i ciemnego, niedziśnieszego człowieka, nienadającego się do swojej funkcji w nowoczesnych czasach. Zawsze byli jacyś lepsi, bardziej otwarci, których Stolicy Apostolskiej podsuwano niby to z życzliwości, a przecież zawsze chodziło o zdobycie nad Kościołem dominacji. Reasumując, Kościół polski z komunizmu wyszedł na ogół zwycięsko. Rażące błędy zaczął popierać dopiero po 1990 r., a zwłaszcza po śmierci papieża Jana Pawła II, kiedy zablokowano lustrację. Ale to temat na osobną rozmowę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski
– historyk Kościoła,
wieloletni uczestnik opozycji
antykomunistycznej w PRL,
działacz społeczny.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Rycerze przestworzy

Zapierające dech w piersiach powietrzne manewry, nagłe zwroty akcji. Pociski karabinów maszynowych prujące bezlitośnie nieprzyjacielskie kadłuby. Ogłuszający huk silników i oślepiający błysk eksplozji. Płonąca maszyna w zawrotnym tempie pędząca ku ziemi i łagodnie opadający spadochron. Ktoś dzisiaj zatrumfował, ktoś inny poniósł klęskę.

Podniebne pojedynki myśliwców w trakcie drugiej wojny światowej miały w sobie coś ze średniowiecznych turniejów rycerskich. Sprawia to, że wspomnienia ówczesnych pilotów – brytyjskich, polskich lub niemieckich – należą do jednych z najciekawszych źródeł historycznych. Dowodem potwierdzającym tę tezę są pamiętniki Mariana Duryasza, dowódcy Dywizjonu 302.

Zauważyłem nieco z boku samotnego He 111 – wspominał. – Natychmiast skierowałem na niego mój samolot. Niemiecki tylny strzelec otworzył do mnie ogień z odległości ok. 600 m. Oddałem i ja krótką serię. Przez cały czas trzymałem go na celowniku. Nacisnąłem na spust i oddałem dwie dłuższe serie. Strzelec zamilkł. Oddałem trzecią i zauważyłem za prawym silnikiem czarny dym, który stale się powiększał.

Oddałem jeszcze jedną serię i w tym momencie moje karabiny zamilkły.

Samolot nieprzyjacielski zmniejszył prędkość i coraz bardziej tracił wysokość. Doleciałem do niego na kilkanaście metrów i zauważyłem tylnego strzelca leżącego w kabinie. Był zabity lub ciężko ranny”.

Duryasz nie mógł dobić nieprzyjacielskiej maszyny, gdyż zabrakło mu już amunicji. Na łamach książki znalazło się wiele podobnych opisów starć z Luftwaffe. Polski pilot – jak to bywa na wojnie – raz zwyciężał, innym razem musiał ratować się ucieczką.

Wykonując unik – pisał – zauważyłem, że jestem atakowany przez cztery lub pięć Me 109. Pomimo że wcisnąłem pełny gaz, a silnik wył na pełnych obrotach, miałem wrażenie, że ciągle jestem tak samo daleko od chmury. Wiedziałem, że oni są za mną, że będą strzelać. I wreszcie pierwsze trzaski i uderzenia, jakby ktoś kamieniami ciskał w samolot. Trafili. Czy tylko

w samolot, czy ja też oberwałem, a tylko nie czuję? Wreszcie wpadłem w upragnioną chmurę. W miarę upływu sekund uspokajałem się i zacząłem systematycznie sprawdzać, jaka jest sytuacja. Po pierwsze stwierdziłem, że żyję”.

Trudno się od tych wspomnień oderwać. ©©



★★★★★
MARIAN DURYASZ
„MOJE PODNIEBNE BOJE”
BELLONA 2020



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zamek Chojnik

Jedną z atrakcji turystycznych Dolnego Śląska są ruiny zamku Chojnik koło Jeleniej Góry. Budowla wygląda jak wzorec tajemniczej średniowiecznej warowni, ruiny leżą na szczycie wysokiej góry, a w tle widoczne są Karkonosze. To idealne miejsce do kręcenia filmu o strzygach lub upiorkach, ewentualnie o rycerzach

niosło to jednak szczęścia, podczas wojny trzydziestoletniej popadł w niełaskę cesarza i w lipcu 1635 r. zakończył życie na szafocie w Ratyźbonie, a jego majątek skonfiskowano.

Chojnik odzyskał dopiero jego syn 15 lat później. Były to już jednak ostatnie chwile świetności twierdzy, 31 sierpnia 1675 r. w warownię trafił piorun, a spowodowany nim pożar poczynił znaczne spustoszenia. Od tej chwili zamek zaczął popadać w ruinę. Jego malownicze pozostałości już pod koniec XVIII w. stały się jednak atrakcją turystyczną. Ruiny odwiedzano z reguły podczas pobytu w pobliskim uzdrowisku w Cieplicach, gościli tutaj nie tylko arystokraci, lecz także koronowane głowy. Do ich obsługi powstała gospoda i punkt wynajmu lektyk, by dobrze urodzeni nie musieli się zbyt męczyć wspinaczką.

Jak na przyzwoitą ruinę przystało, zamek ma też własne legendy. Jedną z nich opowiada o okrutnej księżniczce Kunegundzie, córce właścicieli warowni. Starających się o jej rękę miała zmuszać do objazdu konno zamku, co zawsze miało śmiertelny epilog. Pojawił się jednak wreszcie rycerz, któremu udało się objechać budowlę i na dodatek miał się Kunegundzie bardzo podobać. Odmówił jednak jej poślubienia, nie chcąc wiązać się z kobietą, która miała tyle krwi na rękach. Zrozpaczona księżniczka miała się rzucić w przepaść, natomiast jedna z jej ofiar podobno do dziś straszy w ruinach. O północy pojawia się na koniu i w zbroi, skarżąc się na swój los. ©©

**Jak na przyzwoitą
 ruinę zamek
 ma też
 własne legendy**

– rabusiach z zamierzchłych epok. Zamek byłby znakomitą ilustracją prozy Andrzeja Sapkowskiego lub innych mistrzów gatunku, a twórcy horrorów też znaleźliby tutaj interesujące plenery.

Nazwa zamku pochodzi od góry porośniętej choiną. Pierwsza murowana warownia powstała tutaj w połowie XIV w. na polecenie książąt z jednej ze śląskich linii dynastii Piastów. Pod koniec stulecia warownia przeszła w ręce rodu Schaffgotschów i pozostała ich własnością przez kolejne trzy wieki.

Właściciele warowni byli jednym z najbogatszych rodów na Śląsku, a ukoronowaniem ich pozycji było małżeństwo Hansa Ulryka Schaffgotscha z córką księcia brzesko-legnickiego. W ten sposób rodzina spowinowaciła się z Piastami i wieloma europejskimi dynastiami. Hansowi Ulrykowi nie przy-



ANTYKRYZYSOWE LAMBORGHINI

Dawid Hines z Miami (USA) wystąpił o rządową pomoc w ramach programu ochrony miejsc pracy. Żeby nie zwalniać pracowników, poprosił o 13,5 mln dol. Przyznano mu ostatecznie niecałe 4 mln. 29-latek nie przeznaczył nic z tych pieniędzy na wypłaty dla pracowników. Po zainkasowaniu środków zamieszkał w luksusowym hotelu i kupił sobie lamborghini wartę 320 tys. dol. Został aresztowany za wyłudzenie pomocy, odebrano mu samochód oraz 3,4 mln dol.

FOT. MATERIAŁ PRASOWE

FAKE NEWSY ZABIJAJĄ

„American Journal of Tropical Medicine and Hygiene” zamieścił raport o kłamstwach związanych z koronawirusem publikowanych przez ludzi w Internecie. Wśród niemądrych zaleceń chronienia się przed COVID-19 wyłapano m.in. spożywanie krowiego moczu lub gnoju (Indie) czy picie moczu wielbłąda z sokiem z limonki (Arabia Saudyjska). Jednym z najpopularniejszych fake newsów dotyczących zabezpieczenia się przed chorobą było polecenie picia wysokoprocentowego alkoholu. Według badaczy z Australii i Japonii tylko z tego powodu umrzeć mogło nawet 800 osób na świecie, a blisko 6 tys. trafiło do szpitali po spożyciu metanolu.

SOMALIJSKI NUMER

Cały świat oczekiwał, że Somalia wreszcie zabierze się do zmiany prawa, aby ograniczyć przemoc wobec kobiet. Jeszcze w 2018 r. tamtejszy rząd zaaprobował ustawę o przemyśle seksualnej, która wprowadzała wysokie kary za gwałty i m.in. zakazywała małżeństw z dziewczynkami. Tymczasem, zamiast tej ustawy, pojawiła się teraz nowa – o stosunkach

plciowych. Zezwala ona na małżeństwa z dziewczynkami, które wejdą w okres dojrzewania. ONZ zaalarmowała, że narusza międzynarodowe standardy.

ZŁAMALI MU RĘKĘ I UKARALI

Dziennikarz MediaZona News – David Frenkel – podczas niedawnego referendum chciał sprawdzić w lokalu wyborczym w Sankt Petersburgu, czy nie dochodzi do naruszenia zasad głosowania. Tam został zatrzymany przez policjantów tak brutalnie, że przy skuwaniu kajdankami złamali mu rękę. W Rosji jest sprawiedliwie, więc przygotowano oskarżenie za złamanie. Tyle że nie za złamanie ręki, ale za złamanie rozkazów policji. I nie oskarżono milicjantów, tylko poszkodowanego dziennikarza.

ZAKAZANA MUZYKA

Facebook od dawna cenzuruje, co chce i jak chce. Teraz – jak ze zdumieniem odkryli jego użytkownicy – „niezgodna ze standardami społeczności” stała się muzyka blackmetalowa. Z tablic użytkowników usuwane były posty zawierające klipy czy linki do piosenek takich wykonawców. © ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Pandemia radykałów

W Ameryce Bidena nikt nie będzie bezpieczny – ostrzegł Donald Trump, który otrzymał oficjalne poparcie związku zawodowego nowojorskich policjantów. I choć to element kampanii, to w mieście rządzone przez demokratę Billa de Blasio, zwolennika ruchu Black Lives Matter i bojówkarzy z Antify, przestępczość rzeczywiście wzrosła tak bardzo, że burmistrz zyskał przydomek Przyjaciela Kryminalistów. Przybyło strzelanin, zabójstw oraz włamań. Sytuacji nie uspokoiły mająca być receptą na „rasizm” obniżka finansowania policji oraz decyzja o zmniejszeniu jej liczebności.

Obcięcie budżetu policji nie usatysfakcjonowało też radykałów z ruchu Black Lives Matter w Seattle. „New York Post” poinformował, że grupa członków BLM oraz bojówkarzy Antify zażądała przed kilkunastoma dniami, aby biali mieszkańcy wynieśli się z dzielnicy zamieszkałej przed laty przez Afroamerykanów i dobrowolnie zostawili czarnym swoje domy. „Oddajcie nam, co nasze” – wzywali biali, przekonując, że lepiej oddać majątek dobrowolnie, bo czarni bojówkarze tak czy owak go sobie wezmą. „Ekonomiczna sprawiedliwość dla czarnych... musi polegać na przekazaniu nam

ziemi, ponieważ ziemia to majątek” – tłumaczyli. Jedną z uczestniczek protestu była bardziej wyrozumiała i „w ramach reparacji” była gotowa przyjąć gotówkę. Wcześniej lewicowi bojówkarze zbudowali w mieście „strefę wolną od policji”, do której nie wpuszczali służb bezpieczeństwa. Strefa Capitol Hill Autonomous Zone (CHAZ) została zlikwidowana przez lewicowe władze dopiero, gdy wzrosła w niej liczba śmiertelnych strzelanin.

Nie wiadomo, czy mieszkańcy Seattle będą musieli opuścić domy. Exodus rodzin z Nowego Jorku już trwa. Tak się bowiem kończy uleganie radykałom. © ©

Marsz wolności w Mińsku przerodził się w największą demonstrację w historii Białorusi FOT. SERGEI GAPON/AFP/EAST NEWS

Łukaszenka walczy o życie



Jacek Przybylski

– Dopóki mnie nie zabijecie, nie będzie innych wyborów – ostrzegł Alaksandr Łukaszenka. Po największej w historii kraju demonstracji jego przeciwników i paraliżujących kraj strajkach dopuścił pomysł nowych wyborów, ale dopiero po zmianie konstytucji. Czy ostatni dyktator Europy pójdzie w ślady Jaruzelskiego, czy czeka go los Ceaușescu i Kaddafiego?

Jaki tam ze mnie dyktator? – pytał retorycznie w roku 2005. Już wtedy miał na koncie sfałszowane wyniki referendum konstytucyjnych, dzięki którym przestał obowiązywać go limit kadencji prezydenckich. Już wówczas łamał też prawa obywatelskie i tłamsił niedojrzałą, delikatną demokrację. Jednak jeszcze w 2005 r. Łukaszenkę można było wciąż nazywać przywódcą Białorusinów. Niemal połowa narodu

naprawdę go popierała. Ludzie pamiętali bowiem, że zanim 20 lipca 1994 r. 39-letni parlamentarzysta wygrał drugą turę wyborów prezydenckich – zdobywając ponad 80 proc. głosów – w kraju panowała gigantyczna hiperinflacja, a w sklepach brakowało podstawowych produktów.

Łukaszenka zbił inflację z ponad 30 proc. do zaledwie kilku procent rocznie. Wzmocnił eksport i mógł pochwalić

się imponującym wzrostem gospodarczym, wynoszącym według zachodnich analityków nawet 8 proc. rocznie (a według państwowej propagandy nawet kilkanaście procent rocznie). Zapewniał też rodakom materialne bezpieczeństwo w czasach, w których na Ukrainie i w Rosji dzika prywatyzacja prowadziła do wzrostu bezrobocia i błyskawicznego ubożenia społeczeństwa. Nakazał też podniesienie emerytur. Białorusini pamiętali także, jak – jeszcze jako przewodniczący tzw. Komisji do Walki z Korupcją – Łukaszenka w 1993 r. publicznie formułował oskarżenia pod adresem wielu przedstawicieli władzy, stając się „postrachem aferzystów”.

POKOJOWY ANTYNobel

– Mówią, że Łukaszenka jest dyktatorem. Co z tego? – pytał więc też ze spokojem w roku 2010, przekonując, że musi kontrolować kraj, aby „nie rujnować ludziom życia”. Od początku swych

rządów kreował się bowiem na „człowieka z ludu”, przekonując do siebie głównie mieszkańców wsi, małych miast oraz wszystkich tych, którzy nie mogli związać końca z końcem. – Nazywają mnie „baćka”. To dobre określenie, ponieważ prawdziwy ojciec jest opiekunem, ale jeśli trzeba, to potrafi przyłożyć – tłumaczył, a reżimowa propaganda wiele pracy włożyła w to, aby Białorusini uwierzyli, że to rzeczywiście oni, a nie sam prezydent, wymyślili ten „ojcowski” przydomek.

W 2010 r. wykształceni Białorusini, mieszkańcy stolicy i innych dużych miast głośno powiedzieli już jednak dość. Na plac Październikowy w Mińsku wyszło wówczas kilkadziesiąt tysięcy wściekłych z powodu fałszerstw Białorusinów. – Wszystko będzie dobrze, nie martwcie się. Mamy służby specjalne, mamy milicję, mamy wojsko – uspokajał wówczas Łukaszenka członków Zgromadzenia Ludowego. I rzeczywiście prodemokratyczne protesty zostały okrutnie stłumione. Brutalnie obchodzono się również z demonstrantami, którzy w kolejnych latach bez głośnych okrzyków czy antyrządowych transparentów gromadzili się na głównych ulicach miast i w proteście przeciw dyktaturze po prostu klaskali. W 2013 r. Łukaszenka za zakaz nienawistnych oklasków zdobył Pokojowego Antynobla, którego przyznano mu *ex aequo* z białoruską milicją, której za publiczne klaskanie udało się aresztować nawet... jednorękiego mężczyznę.

Pokojowy Antynobel nie był zaskoczeniem, bo w ciągu ostatniej dekady były dyktator sowchozu pod Szwłokiem przestał troszczyć się o pozory. Co prawda próbował raz po raz grać to z Rosją, to udawać prozachodnie aspiracje, ale za pomocą nielegalnych zmian w konstytucji i brutalnych represji zapewnił sobie trwające ponad ćwierć wieku rządy oraz prawdziwą władzę absolutną. Podporządkował sobie każdy element państwa. Kontrolując władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą, media oraz służby specjalne, przekształcił swoją ojczyznę w wielki łagier, którego mieszkańcy jeszcze do niedawna żartowali, że na Białorusi bez zgody Łukaszenki nawet deszcz nie pada. Wierzy w to chyba już sam dyktator; przekonuje bowiem, że to on w czasie suszy zsyła rolnikom deszcz.

W praktyce od lat przeciwnikom reżimu wcale nie jest do śmiechu, zwłaszcza gdy widzą oficjalne wyniki wyborów: w 2010 r. dyktator miał otrzymać

79,67 proc. głosów, a pięć lat później już 84,09 proc. Na opozycjonistów, potencjalnych rywali i krytyków reżimu czekał zazwyczaj zestaw kar: od relegowania z uniwersytetu poprzez niezwykle bolesne zwolnienie z pracy aż do kar więzienia (najczęściej nie są to jednak zbyt długie wyroki). Dla najgroźniejszych opozycjonistów reżim Łukaszenki przewidział jednak nieoficjalne wyroki śmierci. Jurij Garawski, były oficer białoruskiego specnazu, po ucieczce na Zachód opowiedział dziennikarzom „Deutsche Welle”, jak „znikano” wrogów prezydenta. Już w 1999 r. „zaginęli” Jurij Zacharenka, Wiktar Hanczar oraz wspierający opozycję przedsiębiorca Anatol Krasowski. Porwany i zabity miał zostać również dziennikarz Dźmitryj Zawadski. Garawski twierdzi, że sam brał udział w porwaniach prowadzonych przez „szwadron śmierci”. Miał też być obecny przy egzekucjach.

Sam prezydent twierdzi, że „szwadron śmierci” nigdy nie istniał. Aby nie narażać się na zbyt ostre sankcje zagraniczne, Łukaszenka nie zdelegalizował również nigdy formalnie działalności opozycyjnej. Przeciwnicy mogli działać, ale w sposób w pełni kontrolowany przez rządowe służby specjalne. W kraju żyje się więc ciężko. Jak ciężko? Odpowiedzią niech będzie kolejny, opowiadany w opozycyjnych kręgach żart: naziści wieszają w lesie Ruską, Polaka i Białorusina. Po kilku dniach przychodzą odciąć ciała, ale Białorusin ciągle żyje. – Jak ty to przeżyłeś? – pytają. – Jestem przyzwyczajony – odparł wisielec.

TWARDY ZBIR

Według autorów różnych biografii Łukaszenka zarządza krajem silną ręką, ponieważ nigdy nie otrząsnął się ze stygmatyzującej traumy bycia nieślubnym dzieckiem nieznanego ojca. W małej wsi Kopyś, w której nie dało się tego ukryć. Przyszły dyktator miał więc w szkole i poza nią naprawdę ciężko. Nieustających kpinom i wyszydzaniu nie było końca. Mały Alaksandr szacunek zaczął więc wymuszać pięścią. Braku ojca wstydił się tak bardzo, że podczas jednej z pierwszych wizyt w Rosji miał ponoć przekonywać dziennikarzy, że wychowywał się bez ojca, bo ten zginął podczas drugiej wojny światowej. Kłopot w tym, że „Baćka” urodził się dopiero w roku 1954 r. – rok po śmierci Stalina.

Ukończył historię w Instytucie Pedagogicznym w Mohylewie oraz zaocznie

ekonomię w Białoruskiej Państwowej Akademii Gospodarstwa Wiejskiego. Krótko był nauczycielem nauk społecznych, historii i ekonomii. Był też instruktorem Komsomołu (Komunistycznego Związku Młodzieży), sekretarzem partyjnym oraz oficerem politycznym w sowieckich wojskach ochrony pogranicza. W pobliskim Szklowie został dyrektorem kołchozu. Znany ze stanowczości bił pijanych traktorzystów na tyle mocno, że nieomal nie zakończyło to jego kariery. Później wielokrotnie przekonywał w wywiadach, że rządzenie krajem przypomina zarządzanie kołchozem, tyle że większym. W roku 1990 został wybrany do Rady Najwyższej Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Początkowo sprzeciwiał się zlikwidowaniu Związku Sowieckiego. W 1991 r. opowiedział się jednak za niepodległością Białorusi. Trzy lata później został prezydentem, a w roku 1996 tak zmienił konstytucję, że miał już pełnię władzy. Rok później wraz z Jelenym podpisał umowę o Związku Białorusi i Rosji (ZBiR), mając ambicję zostania przyszłym carem odnowionego rosyjskiego mocarstwa. Plany te szybko pokrzyżował mu Władimir Putin.

Białorusią Łukaszenka konsekwentnie rządzi twardą ręką. Psychiatrzy, tacy jak Dmitrij Szczygielski – który przed laty musiał uciekać z Białorusi do USA – są więc przekonani, że wielokrotnie publicznie manifestowane przekonanie dyktatora o jego dziejowej misji oraz niezwykle wysoki poziom agresji i zdolności do manipulacji to efekt tzw. psychopatii mozaikowej.

I rzeczywiście Łukaszenka od lat publicznie przedstawia się nie tylko jako twórca niepodległej Białorusi – co do pewnego stopnia rzeczywiście jest prawdą – lecz także jako jedyny gwarant dalszej jej niepodległości oraz bezpieczeństwa. Każdy, kto występuje przeciw niemu, jest więc automatycznie klasyfikowany jako wróg kraju i agent obcych sił (w zależności od chwili jako tajny wysłannik Moskwy, Warszawy, Waszyngtonu etc.).

– Nie widzę niczego nowego w zachowaniu Łukaszenki. W ciągu ostatniego roku rozmawiałem o tym z dziesięcioma psychiatrami, niektórzy zostali na Białorusi, inni pracują poza jej granicami i wszyscy zgadzają się z moją diagnozą – mówił Szczygielski w czerwcu obecnego roku w wywiadzie dla Biełsatu.

Autorzy rosyjskiego czteroodcinkowego serialu o Łukaszence pod ty-

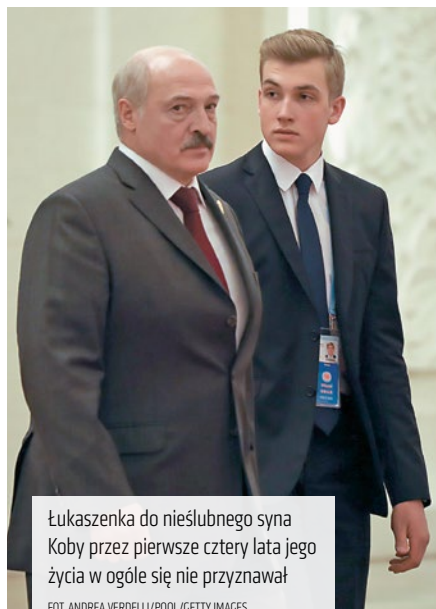
tułem „Ojciec chrzestny” – wyemitowanego w rosyjskiej telewizji przed wyborami w 2010 r. – również podawali w wątpliwość zdrowie psychiczne białoruskiego dyktatora. Kreml z Łukaszenką ma poważny problem. Sam Putin – jak dowodził Andrew Wilson, autor książki „Białoruś, ostatnia europejska dyktatura” – jako były oficer KGB i zagraniczny agent służb postrzega Łukaszenkę jako „wieśniaka”, który służył jedynie na niskich szczeblach straży granicznej, i nawet podczas wspólnych występów telewizyjnych nie ukrywa pogardy wobec przywódcy Białorusi. Aby ustawić Łukaszenkę do pionu, władca na Kremlu co jakiś czas odcina też dostawy taniej ropy, Putin zdaje sobie jednak sprawę z tego, że nie może dopuścić do tego, by Białoruś skierowała się ku Zachodowi. Obecnie kraj ten tworzy bowiem strefę buforową między Rosją a NATO oraz UE.

WIRUS KONTRA „BAĆKA”

Co takiego się stało, że przyzwyczajeni do represji Białorusini, w której opozycja jest skłócona i słaba, w tym roku masowo wyszli na ulice i stanowczo powiedzieli dość? Jedną z przyczyn jest zapewne poważna recesja gospodarcza, która znacząco obniżyła poziom życia Białorusinów. Wiele osób jest też wzburzonych lekceważącym stosunkiem Łukaszenki do pandemii COVID-19. Początkowo dyktator twierdził, że doskonałym lekiem na koronawirusa jest wódka oraz sauna. Wódka zdradziła jednak dyktatora. Nie tylko nie ochroniła Białorusinów przed koronawirusem, ale mimo swej niskiej ceny – o co bardzo dba reżim w Mińsku – nie ochroniła „Baćki” przed gniewem narodu. Co więcej, on sam zachorował na COVID-19, choć w jednym z wywiadów twierdził, że jest przekonany, iż ktoś mu tego koronawirusa „podrzucił”, a poza tym 97 proc. Białorusinów przechodzi wirusa bezobjawowo.

Wytrawny polityczny gracz jeszcze przed wyborami przeczuwał, że tym razem może być ciężko. Straszyl więc, że liderka opozycji Cichanouska – która na jej czele stanęła, gdy reżim dyktatora wtrącił za kraty jej męża, znanego opozycyjnego blogera – oraz jej ludzie „chcą tak naprawdę rozlewu krwi” i „rzeźni w centrum Mińska”. Przestrzegał również przed trwającą już w kraju „wojną hybrydową”.

– Dopóki mnie nie zabijecie, nie będzie innych wyborów – oświadczył butnie podczas spotkania z robotnikami



Łukaszenka do nieślubnego syna
Koby przez pierwsze cztery lata jego
życia w ogóle się nie przyznawał

FOT. ANDREA VERDELLI/POOL/GETTY IMAGES

z Mińskiej Fabryce Ciągników Kołowych (MZKT) Alaksandr Łukaszenka już po wybuchu sierpniowych protestów i strajków w wielu miastach kraju. Samych robotników ostrzegał zaś, że jeśli on jako „zły prezydent” przegrałby wybory, to MZKT podobnie jak inne duże fabryki w kraju po prostu przestałaby istnieć.

– Wojska NATO już są pod naszą granicą. Litwa, Łotwa, Polska, Ukraina nakazują nam przeprowadzić nowe wybory. Jeśli pójdziemy za ich przykładem, to wpadniemy w chaos – groził zaś, przemawiając do zorganizowanego przez władze wiecu poparcia dla dyktatora.

Po marszu wolności – największej manifestacji w historii Białorusi, w której udział mogło wziąć nawet 200 tys. osób, popularnej w mediach społecznościowych akcji zrywania pagonów i palenia mundurów przez członków służb bezpieczeństwa, a także po głosach krytycznych płynących ze strony wysokiej rangi białoruskich dyplomatów, sportowców i literatów – dyktator najwyraźniej zmienił zdanie co do warunków „po moim trupie”. – Nowe wybory prezydenckie, parlamentarne i lokalne mogą się odbyć po przyjęciu nowej konstytucji – oznajmił 17 sierpnia, cytowany przez agencję RIA Nowosti. Zadeklarował także, że chociaż nie zamierza ulegać presji ulicy, to jest gotów podzielić się szerokimi kompetencjami szefa państwa.

Być może przypomniał sobie, jak skończyli Hosni Mubarak oraz Muammar Kaddafi – w stanowczej obronie

obu dyktatorów stawał przecież nie tak dawno sam Łukaszenka.

Nie wiadomo, czy dyktator rzeczywiście zdecyduje się na transfer władzy, czy to kolejna zagrywka psychopatycznego lidera, który potrafi bez żadnego mrugnienia kłamać, patrząc prosto w oko kamery. Będzie więc próbował tak zmienić konstytucję, aby władzy de facto nie stracić. A co, jeśli to mu się nie uda? Będzie musiał uciekać do Rosji. Raczej nie wróci bowiem na rodzinną wieś, gdzie od lat mieszka jego żona Galina, dawniej ładna, delikatna brunetka, która wraz z Łukaszenką w szkolnym przedstawieniu grała Śnieżynkę u boku Dziadka Mroza. Żonę zdradzał jeszcze jako szef kołchozu. Jako dyktator zakazał jej opuszczania wsi (otoczony wysokim murem dom jest de facto aresztem domowym) i jakichkolwiek kontaktów z dziennikarzami. Nie tylko ze względu na to, że jego liczne romanse są tajemnicą poliszynela, lecz także dlatego, że Stalin z żoną się nie pokazywał, a to on jest dla dyktatora Białorusi wzorem męskości i siły. Aby dodać sobie męskości, chętnie zabierał za to ze sobą swą niebieskooką osobistą lekarkę Irinę Abelską, która leczyła prezydenta tak zagorzale, że urodziła mu trzeciego, najmłodszego syna. O Kobie przez pierwsze cztery lata życia Łukaszenka milczał jednak jak grób. Z ubranego w mikroskopijny wojskowy mundur Koby zrobił jednak w końcu gwiazdę, a kochanki jeszcze wielokrotnie wymieniał na młodzie.

Również obaj synowie dyktatora z prawowitego łóża pod skrzydłami ojca szybko zrobili karierę: starszemu Wiktorowi podlegają służby specjalne, z kolei Dmitrij sprawuje pieczę nad sportem. Z czego będzie żyła rodzina dyktatora po transferze władzy? Jeśli przebiegłby on tak jak w Polsce po Okrągłym Stole, to Łukaszenka i jego bliscy nie mają się o co bać. Oficjalnie „Baćka” nie ma jednak żadnych oszczędności, nieruchomości czy innego majątku. Nie odebrał nawet przyznanych mu przez „komitet antynoblowski” 10 bln dol. zimbabweńskich (choć ich wartość rynkowa i tak szacowana byłaby tylko na jakieś 20 zł). Przecieki WikiLeaks pokazały jednak przed laty, że nieoficjalnie jest on najbogatszym człowiekiem na Białorusi, z majątkiem szacowanym na 9 mld dol. Z takimi pieniędzmi można się już gdzieś zaszyść nie tylko w Rosji. Niestety, wciąż wielu ekspertów boi się, że choć Łukaszenka znalazł się w ślepych zaułku, to pokojowo władzy nie odda.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

GABRIEL MICHALIK: Czym dzisiaj jest rosyjska Cerkiew prawosławna?

ANDRIJ KURAJEW: W jakiejś mierze tym samym co Kościół rzymskokatolicki w Polsce: ogromną instytucją społeczną, w której są bardzo różni ludzie, na różne sposoby pojmujący swoje obowiązki chrześcijańskie. Są biskupi z wielkim apetytem biorący udział w życiu politycznym i tacy, którzy troszczą się, by świątynie dawały schronienie przed polityką i bieżącymi problemami.

W czasie, gdy rozmawiamy, nie uciły jeszcze głosy oburzenia na to, że w konsekrowanej w tych dniach głównej świątyni Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej znalazły się mozaiki z wizerunkami Stalina i Putina. Podobno już je zdjęto.

Wcale nie wiadomo, czy zdjęto. Do tej pory nie opublikowano żadnego zdjęcia wnętrza bez tych mozaik. A nawet jeśli je zdjęto, to nie znaczy, że one przepadły w nicości. Minie szum, mozaiki wrócą na swoje miejsce...

Bardzo wielu duchownych zmartwiła nie tylko forma, w jakiej zbudowano świątynię wojskową, nie tylko te mozaiki, lecz także to, co już się tam dzieje. Jesteśmy wstrząśnięci wystąpieniem patriarchy Cyryla z 22 czerwca, w rocznicę wybuchu wielkiej wojny ojczyźnianej. Patriarcha określił ten dzień terminem „*vyssokotorjestvennyj*”, zarezerwowanym w prawosławnej nomenklaturze dla szczególnie radosnych wydarzeń. Cerkiew tak nazywała dzień imienin, urodzin i koronacji imperatora lub następcy tronu. Z kolei o ludziach, którzy zginęli na wojnie, patriarcha powiedział, że to „*sviataya zertva*” [święta ofiara], co też ma bardzo ścisłe znaczenie w tradycji prawosławnej. Patriarcha przemawiał w obecności Putina i ministra obrony, chciał powiedzieć coś przyjemnego dla nich w „języku cerkiewnym” i wyszło źle.

A wyrażają się w tych frazach najgłębsze przekonania patriarchy Cyryla: Rosjanie, którzy zginęli w czasie drugiej wojny światowej, to ofiara odkupieńcza za grzech poprzedzającego tę wojnę ateizmu, prześladowanie wierzących i burzenie świątyń. Nawiasem mówiąc, jeszcze dalej idzie metropolita białogrodzki Jan (Popow), przewodniczący Wydziału Misyjnego naszej Cerkwi, naczelny misjonarz Rosji. Otóż metropolita Jan wyjaśnił niedawno, dlaczego armia niemiecka zwyciężyła przez pierwsze dwa lata wojny: w Armii Czerwonej służyli młodzi komsomolcy; nie mieli

„mystycznej ochrony przed nazistowskim okultyzmem”, albowiem nie byli ochrzczeni. Później, gdy zmobilizowano starsze roczniki, a więc ludzi urodzonych w carskiej Rosji, ochrzczonych, przyszło zwycięstwo.

Zdaję sobie sprawę z tego, że chrześcijańskie tradycje w Rosji zostały zniszczone i dla nas przymiotnik „święty” i rzeczownik „ofiara” mogą znaczyć rozmaite rzeczy. Jednak to przecież te słowa wypowiedział patriarcha, i to w świątyni. Kontekst jest zatem religijny. Rodzi się więc pytanie, jakiemu bogu ta ofiara została złożona? Jakież bóg potrzebował 27 mln istnień ludzkich z samej tylko strony sowieckiej? Cóż to za straszny bóg?



Z o. Andriejem Kurajewem, duchownym prawosławnym i profesorem teologii rozmawia Gabriel Michalik

Lekcja od Boga

Jak pan widzi, przed nami jeszcze daleka droga, zanim dojdziemy do tego, co na Zachodzie nazywa się „teologią po Auschwitz”.

Sam ojciec podczas jednego z wykładów snuł myśl, że w bolszewizmie można widzieć „lekcję od Boga w odpowiedzi na łzy starowierców”.

Tak powiedziałem i wyjaśniłem zarazem, że wiedząc, jakie lekarstwo przepisał lekarz, można się zorientować, z jaką chorobą mamy do czynienia. Naszej Cerkwi w XX w. lekarz przepisał państwowe represje skierowane przeciwko nam. Znaczący więc, że właśnie na to chorowaliśmy, tym grzeszyliśmy. Za naruszenie postu, a nawet za wolny seks Bóg tak nie karze. Nasz ból jest zapłatą za ból,

którego my przysporzyliśmy. Tak więc próbowałem postawić diagnozę nam, mojej Cerkwi, mojej historii. A patriarcha zdecydował się na diagnozowanie cudzych losów, losów ateistów. Wyraża się tu różnica między pokajaniem a oskarżeniem. Oficjalne stanowisko patriarchy jest radykalnie wolne od pokajania. Według jego wersji przed rewolucją bolszewicką wszystko w Cerkwi było jak należy. A przecież nie było, skoro doszło do tego, do czego doszło!

Potrzebny nam jest całkiem inny poziom refleksji. Przywołany już metropolita Jan domaga się, aby teraz, w czasie epidemii, częściej bito w dzwony, i tłumaczy, że wibracje dzwonów cerkiewnych

unicestwiają wirusy. O czym my więc mówimy?!

Badania socjologiczne wskazują, że Rosjanie znacznie częściej niż inne nacje skłonni są do myślenia magicznego. I skoro tysiąc lat temu udało się nawrócić Słowian, asymilując lokalne wierzenia, to dlaczego nie spróbować raz jeszcze? Może metropolita Jan mówi, co mówi, bo taką sobie obrał drogę do rechrystianizacji słuchaczy?

To nie jest żadna strategia nawracania, tylko dowód bardzo niskiej jakości wykształcenia duchownych. Metropolita szczerze wierzy zarówno w „mystyczną ochronę”, jak i w antywirusowe działanie dzwonów! Sowiecki buldożer ściał wysoką kulturę, teologię, filozofię religijną, a prymitywna ludowa magia nie



■ tylko pozostała, lecz także rozkwitła. Drobnym przykładem: w ogrodzie mogiły Pawlika Morozowa w jego rodzinnej wsi pobożne staruszki wciskały karteczki z wypominkami za zmarłych. Robiły to w przekonaniu, że wypełniają chrześcijański uczynek. Pawlik stał się dla nich lokalnym patronem, świętym. Ten rodzaj „pobożności” nie tylko nie zanikł wraz z upadkiem Związku Sowieckiego, lecz także – jak widać – czuje się w Rosji doskonale.

Może zatem na wyrost ojciec martwi się mozaiką w głównej świątyni wojskowej, skoro i w Stalinie wierni nie czczą mordercy, lecz symbol godnych pochwały wartości, które w swej zwichrowanej wierze podłożyli pod tę makabryczną postać? Nie myślą, a może nawet nie wiedzą o zbrodniach...

Ależ i myślą, i wiedzą doskonale! Apologia wszystkiego, co sowieckie, w tym stalinizmu, włączając w to również pakt Mołotow-Ribbentrop, trwa

w najlepsze, dając uzasadnienie bieżącej polityce państwowej. Uważa się, że łagry, represje i zagłada milionów ludzi stanowiły adekwatną cenę za rzekomą wielkość Rosji. Ulubione przysłowie czasów stalinowskich brzmi: „Las rąbają, wióry lecą”. Nie przypadkiem patriarcha Cyryl już od lat mówi o „globalnej herezji humanizmu”. Powtarza, że człowiek nie jest miarą wszystkich rzeczy. Przy takim założeniu bardzo łatwo jest uzasadnić wszelkie straty... Owszem, ginęli ludzie, ale za to ojczyzna jest wielka, wszyscy się nas boją. W neostalinizmie szczególnie przeraża mnie jego synteza z prawosławiem. To wielka hańba dla Cerkwi.

Czy nie sądzi ojciec, że hierarchia dlatego orientuje się na Kreml i jego propagandę, bo nie ma innego oparcia? Nawet najbardziej optymistyczne szacunki mówią o raptem kilku procentach Rosjan przyjmujących regularnie sakramenty.

Co myślą, nie wiem, bo ze mną nie rozmawiają. Natomiast jasne jest, że

ten, kto chce totalnej władzy i totalnych wpływów, pragnie zarazem, by jego status został sakralizowany. Chce oblekać w cerkiewne barwy swoje sukcesy finansowe i wojskowe.

A może powinniśmy uznać, że Cerkiew w sensie instytucji przestała istnieć w czasach sowieckich i już się nie odrodziła, stąd próżne są pretensje pod adresem patriarchy, który nie stoi na czele Cerkwi, lecz jedynie na czele imitacji, swego rodzaju grupy rekonstruktorskiej.

Nie zgadzam się. To nie są problemy, które zaczęły się w wieku XX. Jestem przeciwny terminowi „sergianizm” [określenie polityki pełnego lojalizmu wobec marksistowskiego państwa, zainicjowanej przez patriarchę Sergieja (Stragorodskiego) w 1927 r.]. Moim zdaniem wszystko to ma korzenie w IV w., w czasach cesarza Konstantyna, i ciągnie się przez stulecia. Sergiej przeniósł do Rosji sowieckiej doświadczenie trwania Cerkwi w imperium osmańskim. Dzisiaj-



Patriarcha Cyryl od lat mówi o „globalnej herezji humanizmu”
FOT. SERGEY PYATAKOV/SPUTNIK/EAST NEWS

epidemii wzywali wiernych do niezmiennego udziału w liturgii, nie wprowadzili żadnych środków bezpieczeństwa.

Niestety, u nas Cerkiew pokazała, że może ustępować tylko pod naciskiem świeckiej władzy. Wyszło bardzo źle. Nie sama Cerkiew oznajmiła, że zamyka kramiki z dewocjonaliami, że rezygnuje z dochodów, bo nie one są ważne, lecz życie ludzi. Zrobiono to dopiero na polecenie władzy świeckiej. Bardzo długo nasz patriarcha nie mógł wypowiedzieć kluczowych słów o tym, że ten, kto nie przyjdzie do cerkwi w czasie epidemii, służy swojemu sąsiadowi, że to jest ofiara za drugiego człowieka. Że to jest właśnie ofiara. Ta formuła, która była już wykorzystywana przez księży na Zachodzie, u nas wybrzmiała zbyt późno i zbyt cicho. To bardzo smutne.

Lecz w końcu wybrzmiała...

... ale i potem nasi biskupi stale powtarzali: „Otwórzcie nas jak najszybciej!”. W kwietniu jeszcze prognozowałem, że z końcem maja ze względów ekonomicznych na całym świecie będą luzowane ograniczenia, niezależnie od wskazań medycznych. I w tych warunkach bardzo ważne byłoby, aby Cerkiew powiedziała: „My jesteśmy przeciw, bo dla nas najważniejsze to chronić ludzi!”. Cerkiew mogłaby w ten sposób zyskać pewnego rodzaju humanistyczny image. Zamiast tego zatroszczyła się o to, by nie stracić dochodów ze sprzedaży świeczek.

W efekcie zachorowało i zmarło również wielu duchownych.

Nie byli w stanie zrozumieć, że to dotyczy także ich. „Nie boimy się, u nas wszyscy zdrowi!”. A cóż to ma do rzeczy, że wy się nie boicie, jeśli macie kwitujący monastyr, do którego pielgrzymki zjeżdżają autobusami?! Jedyny wyjątek to monastyr Wałaamski na wyspie na jeziorze Ładoga. Zamknęli się już w marcu. Ale tam na wyspie znajduje się też rezydencja Putina, więc może to Federalna Służba Ochrony nakazała zamknięcie.

Do tego mrocznego obrazu chciałbym wpuścić trochę światła. W Polsce nadal pamiętamy wspólne oświadczenie patriarchy Cyryla i abp. Józefa Michalika, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. A zatem jakiś krok w stronę wyjścia z obłożonej twierdzy został postawiony.

Po wydarzeniach na Ukrainie wszystko to straciło znaczenie. Teraz, podobnie jak w czasach sowieckich,

ekumenizm patriarchy ma charakter czysto protokolarny, ewentualnie może być przykrywką dla jakichś działań szpiegowskich. Poważnego sensu dzisiaj w tym nie ma. Przyznam, że dziwne, iż Cyryl, który dobrze zna świat Zachodu, spędził w Europie wiele lat, nie bierze stamtąd w ogóle doświadczeń pozytywnych, w tym doświadczenia, jak zachowywać się w przypadku skandalu. Ileż warte jest doświadczenie Kościoła związane z brakiem reakcji na pedofilię i ceną, jaką przyszło Kościołowi za to płacić? Patriarcha, owszem, chce iść po śladach Kościoła katolickiego, ale... głęboko przedsoborowego. Nie tego, który pragnie pomagać ubogim, lecz tego, przed którym imperatorzy padali na kolana.

No, ale przecież to raczej patriarcha Cyryl pada na kolana przed imperatorem...

Tym bardziej, na zasadzie kompensacji, roi sobie odwrotny układ stosunków. Taka analogia: wśród hierarchów w czasach sowieckich modne było wieszanie w gabinetach obrazów w rodzaju „Młota Skuratow zabija metropolitę Filipa” albo „Patriarcha Hermogenes umiera w polskiej niewoli”. Biskupom czasów sowieckich, w pełni usłużnym wobec ateistycznej władzy, miło było uważać siebie za uczestników heroizmu tamtych ludzi: „Jesteśmy w tej samej Cerkwi, w tej samej randze, też jesteśmy metropolitami i też, prawda, bohaterami, no... przynajmniej troszeczkę”. To psychologiczna kompensacja za osobisty serwilizm i uniżoność, a nie postawa obywatelska.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

szy problem zawiera się w bałamutnym przekonaniu, że przed rokiem 1917 wszystko było jak należy. Do tego dochodzi kompletne niedostrzeżenie przez hierarchię, nawet na poziomie oficjalnym, problemu dramatycznego rozwarstwienia społeczeństwa. Ani w dokumentach Cerkwi, ani w wypowiedziach patriarchy to zjawisko po prostu nie istnieje.

Użytkownicy insygniów archijerejskich szaleją ze szczęścia, że udało im się zrobić wielką karierę finansową: „s gryazi v knyazi” [porzekadło rosyjskie „z błota w książęta”]. Przeżywają najprawdziwszy orgazm, gdy wszystko wokół nich lśni od złota. I nic ich przy tym nie obchodzi, że jacyś tam ludzie, choćby nawet duchowni, nie mają za co wychowywać dzieci.

Obecne problemy księdza, zakaz sprawowania czynności liturgicznych, zaczęły się od tego, że ksiądz krytykował kapłanów z najbliższego otoczenia patriarchy Cyryla, którzy już po wybuchu



protodiakon Andriej Kurajew

(ur. 1963 r.) – duchowny prawosławny, profesor teologii, jeden z najczęściej cytowanych współczesnych teologów i historyków prawosławia, kaznodzieja moskiewskich opozycyjnych intelektualistów, autor kilkudziesięciu książek. Wstawiony m.in. walką z homoseksualnym lobby w rosyjskiej Cerkwi prawosławnej i z procederem ukrywania przestępstw pedofilskich wśród duchowieństwa. Wielokrotnie szykanowany za swoją działalność przez otoczenie patriarchy Cyryla.



Łukasz Zboralski

Mikrochipy tkwią już podobno pod skórą tysięcy osób. Pionierami są Szwedzi. Dlaczego ludzie się na nie godzą?

Jedną z teorii spiskowych pojawiających się podczas pandemii była ta, że efektem COVID-19 ma być zmuszenie ludzi do instalacji podskórnych mikrochipów. Miała ona różne rozgałęzienia. Czasem twierdzono, że tylko tak będzie można potwierdzać swój „paszport zdrowia” i w ten sposób wielki biznes wymusi na ludziach zgodę na podskórne chipy. Inna opowieść dotyczyła rzekomego planu szczepionek na COVID-19, które miały być wcześniej opracowane i sprzedawane jako dawki w mikrourządzeniach. Z tą teorią wiązano Billa Gatesa, twórcę Microsoftu. Głównie po tym, jak podczas wywiadu z użytkownikami serwisu społecznościowego Reddit stwierdził, że jego zdaniem będziemy mieć „cyfrowe certyfikaty” świadczące o tym, iż ktoś już wyzdrowiał albo został przetestowany. Dość wspomnieć, że sondaże Yahoo w USA wskazały, iż jedna trzecia badanych Amerykanów uważała, że Gates planuje poprzez szczepionkę na koronawirusa wszczepiać ludziom chipy i dzięki temu ich monitorować.

Tymczasem mikrochipy tkwią już pod skórą tysięcy osób. Nikt ich do tego nie zmuszał, a powód, dla którego to zrobili, był zaskakujący.

SZWEDZKI SPOSÓB

Chociaż to podczas pandemii zrobiło się głośno o biochipach, to ich kariera zaczęła się prawie 20 lat temu. Amerykańska agencja zatwierdziła takiego chipa już w 2004 r. Miał on przechowywać w ramieniu człowieka informacje medyczne, skanowanie w placówkach zdrowia miałoby pomagać np. ludziom przywiezionym po wypadkach czy nieprzytomnym. Lekarze szybciej otrzymaliby dane o grupie krwi, przyjmowanych lekach, wieku itd. Nie udało się. Ludzie już wówczas mieli wiele obaw.

O dziwo, na podatny grunt kilka lat później trafił Szwed z Göteborga Jowan Österlund. Start-up Biohax International

założył w 2013 r. Jednak dopiero trzy lata później zaczął żyć tylko z tego, że instaluje i sprzedaje biochipy. Wszystko wygląda jednak wciąż jak podziemie z futurystycznego filmu. Klienci płacą i Österlund własnoręcznie wszczepia im chipa ze strzykawki w salonie piercingu. Urządzenie wielkości ziarna ryżu umieszczane jest w skórze między palcem wskazującym a kciukiem. Koszt? Około 800 zł.

No dobrze, tylko po co to wszystko? Po co ludzie dają sobie przebić skórę i włożyć pod nią coś z firmy Biohax? Głównie z powodu mody. Chcą mieć urządzenie ci zafascynowani nowymi technologiami. W mikrochipa pod skórą da się bowiem wgrać dane, których mogą używać w zamkniętym środowisku. Mogą więc zbliżyć dłoń do zamka w drzwiach, który elektronicznie się otworzy. Mogą w ten sposób otworzyć biuro, szafkę w pracy czy nawet pokazać bilet w szwedzkim pociągu. Ba, mogą zaimponować znajomym czy potencjalnym klientom, gdy przytkną dłoń do ich smartfona, a ten przekieruje do zawodowego profilu osoby na portalu LinkedIn.

W ten sposób można też ręką „odbić” swój karnet na siłowni.

Zastosowań może być naprawdę wiele. Każdy chip ma swój unikalny numer identyfikacyjny. Wystarczy, że operator jakiegoś systemu doda go do niego, i właściciel chipa będzie mógł nim wykonać daną operację, np. otworzyć drzwi czy pobrać obiad w pracowniczej kantynie.

Niektórzy argumentują, że to bezpieczniejsze niż noszenie wielu plastikowych kart w portfelu. Przecież nikt nikomu ręki nie ukradnie. To myślenie może być jednak zgubne, bo czy przy napadzie woleliby zostać ograbieni z portfela, czy mieć wydłubywany ze skóry mikrochip?

WOLNOŚĆ PRACOWNIKA

Wszystko zaczęło zresztą wykraczać poza grupę fanów nowych technologii. Szacuje się, że w Szwecji techniczną pigułkę pod skórę dało sobie wstrzyknąć już ponad 4 tys. osób. W takiej skali chodzi nie tylko o młodych geeków, zafascynowanych przyszłością. Wszystko robi się bardziej przemysłowe.

Już trzy lata temu – jak podała „Fortune” – Biohax International zaproszony

Obce ciało





Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało własny projekt dokładnie w tej samej sprawie.

ZRÓB SOBIE SAM... KRZYWDĘ?

Zaraz po szwedzkim start-upie najgłośniej w Europie jest o brytyjskiej firmie BioTeq zajmującej się implantami wykonanymi w dwóch standardach identyfikacji radiowej RFID (tak skonstruowane są np. karty pozwalające na otwarcie drzwi w biurowcu i m.in. zabezpieczenia antykradzieżowe w sklepach) oraz NFC (ten znany jest wszystkim, którzy płacą zbliżeniowo kartą bankową zainstalowaną w smartfonie).

Według medialnych doniesień chipy z tej firmy ma w swoim ciele już podobno 150 Brytyjczyków.

Firma uważa, że biochipy mogą być pomocne w przypadku osób z niepełnosprawnościami. Na przykład ludziom na wózkach umożliwiałyby łatwe, zbliżeniowe otwieranie drzwi. Z kolei ludziom, którzy mają zaburzenia intelektualne, implant mógłby pomóc, powiadamiając np. o otwarciu drzwi i wyjściu poza dom.

Brytyjczycy na swojej stronie internetowej oferują w sprzedaży wysyłkowej pakiety z biochipem do „instalacji”. Można kupić je od razu z fachową medyczną usługą i kosztują wówczas ok. 800 zł (NFC) albo 650 zł (RFID). Można też kupić sobie taki „starter” bez usługi i wówczas kosztuje on 200–340 zł.

Jest w tym wszystkim jednak pewien kruczek prawny. Gdy przechodzi się do strony zakupowej, przy zestawie do umieszczenia sobie implantu jest wyraźny opis: „Implanty nie są przeznaczone do implantacji lub stosowania u człowieka. Użycie na własne ryzyko”. To zabieg podobny do sprzedawanych w Polsce dopalaczy, które były oferowane oficjalnie jako mieszanki kolekcjonerskie, do zbierania, a nie zażywania.

Brytyjska firma wywołała niedawno sporą burzę we włoskich mediach, gdy zapowiedziała, że złożyła do tamtejszego ministerstwa zdrowia prośbę o zgodę na wejście z produktem na rynek. Ostatecznie okazało się, że firma ma na to chęć, ale oficjalnie o taką zgodę jeszcze się nie stara.

Czy w ciągu najbliższych lat ludzie zaczną masowo wszczepiać sobie elektronikę pod skórę? Miejmy nadzieję, że nie. Wystarczy, że oddają swoją prywatność, nosząc przy sobie smartfony i pozwalając zbierać o sobie informacje licznym sieciom społecznościowym.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

został do siedziby firmy TUI Group w Sztokholmie, by pokazać swoje mikrochipy. Podobno odwiedzał potem siedzibę jeszcze trzy razy, bo przerosła go liczba zamówień. W ubiegłym roku co piąty pracownik w tej firmie miał już pod skórą elektronikę.

Sęk w tym, że firmy zaczęły już wietrzyć nową możliwość – marzą o kontroli nad pracownikami. Wszczepiony pod skórę człowieka implant kontrolować może choćby czas pracy czy liczbę przedmiotów, które przesunęły się w jego dłoniach (jeśli zawierały zbliżeniowe czytniki). Jedyne, czego – według producenta – nie można, to śledzić traktacji takich chipów. Te wysyłają bowiem sygnał jedynie w momencie bliskiego zbliżenia do nich urządzenia mogącego odczytać emitowaną radiowo informację.

Stało się to dla ludzi na tyle niepokojące, że niektórzy politycy zaczęli już stawać w ich obronie. W lutym tego roku Izba Reprezentantów amerykańskiego stanu Indiana jednogłośnie zatwierdziła projekt ustawy zakazujący pracodawcom stawiania przy zatrudnieniu warunku wszczepienia pracownikowi chipa. Takie

„wszczepianie urządzenia lub w inny sposób umieszczanie go w ciele” ma być też zakazane jako warunek przy awansie lub gdy wiązałoby się z „dodatkowym wynagrodzeniem i innymi korzyściami”.

Amerykańscy politycy z Indiany sprawę postawili jasno – chcą wyprzeździć możliwe nieprawidłowości, zanim ludzie zaczną być do tego zmuszani. I byli w tym dość stanowczy. „Proszę sobie wyobrazić, jak wyglądałyby nazistowskie Niemcy, gdyby taka technologia była w rękach Adolfa Hitlera” – mówił senator stanowy John Crane cytowany przez „Chicago Tribune”.

Na marginesie warto sobie wyobrazić, jak wyglądałoby to w Polsce. Wystarczy porównać to np. ze sprawą elektrycznych hulajnóg. Prawodawstwo dotyczące tych urządzeń zagracających chodniki i zagrażających pieszym uregulowano szybko w wielu krajach (do tego stopnia, że wielkie wypożyczalnie zaczęły się zwinąć z dużych miast USA), a w Polsce Ministerstwo Infrastruktury najpierw problem długo „analizowało”, a potem przygotowało projekt, z którym od miesięcy nic się nie dzieje... Niedawno



Jakub Wozinski

Polacy w ostatnich miesiącach ruszyli na zakupy kruszców. To jeszcze nie gorączka złota, ale handlarze przeżywają prawdziwe obłędzenie

W kryzysowych chwilach popularność twardego pieniądza tradycyjnie wzrasta. Nie inaczej stało się i tym razem, gdy w wyniku pandemii koronawirusa światowa gospodarka znalazła się na zakręcie. Według ostatnich badań nawet co szósty Amerykanin nabył w ciągu

szcza z możliwych. Ekspert ds. metali szlachetnych z firmy 79th Element Tomasz Nykiel potwierdza, że skala zainteresowania kruszcami jest wciąż bardzo duża. – W chwili obecnej nie ma większych problemów z dostawami, tak jak to miało miejsce choćby w marcu. Wtedy zainteresowanie było 10-krotnie większe niż zazwyczaj przy stabilnej sytuacji, dziś utrzymuje się podobny poziom w stosunku do marca, nieco mniejszy ze względu na dość wysoką cenę, ale ostatecznie obrót jest porównywalny. Sytuacja związana z ograniczaniem dostaw i zamykaniem granic spowodowała, że nie było dostępu do towaru i w związku z tym podjęliśmy nawet decyzję o zamknięciu sklepu i nieprzyjmowaniu zamówień – twierdzi Tomasz Nykiel.

Po złoto sięgają jednak coraz częściej także klienci bardzo świadomi i dobrze rozeznani, którzy po prostu dostrzegli w nim jedną z niewielu opcji lokaty kapitału w niepewnych czasach. Aleksander Pawlak dodaje: – W skali całej naszej grupy sprzedaż wzrosła w pierwszym półroczu o 80 proc., a w Polsce odnotowujemy jeszcze większe wzrosty. Naszym zdaniem wynika to z tego, że na rynku brakuje po prostu alternatyw. Klienci często przesuwają swoje nadywyżki z lokat bankowych, bo mają tam do czynienia z oprocentowaniem rzędu 0,01 proc. i dodatkowo podatkiem Belki w wysokości 19 proc.

Zwiększone zainteresowanie złotem nie tyczy się zresztą wyłącznie klientów indywidualnych, lecz także funduszy inwestycyj-

Złoto znów mocno błyszczy



ostatnich miesięcy złoto lub srebro, a coraz więcej osób nosi się z takim zamiarem. Dokładnych danych o tym zjawisku w Polsce nie znamy, lecz tak ożywionego ruchu w branży do tej pory jeszcze nie było.

TOWAR CHWILOWO NIEDOSTĘPNY

Na zakupowy szal wielki wpływ miało bez wątpienia to, że u samego początku koronawirusowego lockdownu dostęp do metali był znacznie utrudniony. Oferowane sztabki rozchodziły się praktycznie w momencie wystawienia ich na sprzedaż. Dla wielu osób była to rekomendacja do inwestycji najlep-

Uwagę zwraca przede wszystkim to, że pomimo utrzymującej się wciąż relatywnie wysokiej ceny uncji złota (obecnie to ok. 7,5 tys. zł) chętnych do zakupu nie ubywa. Część osób wyraźnie czeka na korektę kursu, lecz każdego dnia do firm handlujących złotem zgłaszają się nowi chętni, z których wielu nigdy wcześniej nie przejawiało zainteresowania tego rodzaju lokatą kapitału. Prezes zarządu firmy Tavex Aleksander Pawlak zgadza się z opinią, że koronawirus skłonił do nabycia metali szlachetnych nowe osoby. – Na pewno obserwujemy wzrost liczby klientów, którzy kupują złoto po raz pierwszy. Tego typu osoby mają wiele pytań dotyczących tego, w jakiej formie nabyć kruszec, jak to wygląda itd.

nych. Z miesiąca na miesiąc złoto stało się jednym z najbardziej rozchwytywanych aktywów, a spekulacje co do jego kursu dotyczą już nie tyle tego, czy będzie rósł, ile tego, jaką granicę ostatecznie przekroczy. Jeżeli do tej pory ktoś wątpił w głosy zwolenników złota jako inwestycji, to w ostatnich miesiącach musiał wreszcie przyznać im rację.

Wzrost ceny złota dokonuje się tradycyjnie równolegle z osłabieniem dolara. Chociaż jeszcze w kwietniu niemal cały świat w kryzysowym momencie ruszył po amerykańską walutę, to obecnie przeżywa ona gorsze chwile. Rosnący dług i wciąż mało optymistyczne dane o przyszłości gospodarki sprawiają, że na

atrakcyjności zyskuje ponownie właśnie złoto.

RUN NA SREBRO

Równoległe w sposób bezprecedensowy wzrosło także zainteresowanie srebrem, którego cena jeszcze niedawno była wręcz okazjna. Zdaniem Tomasa Nykiela w przypadku tego kruszcu można mówić o nawet jeszcze większym ożywieniu niż w przypadku złota. – Trudno o dokładne dane, ale zainteresowanie srebrem wzrosło być może nawet 20-krotnie. Bardzo dużo osób nagle zorientowało się, że tutaj jest szansa na przechowanie kapitału i że cena srebra



wzrośnie nawet bardziej niż złota. Są to też mniejsze pieniądze do wydania (w przeliczeniu 1 uncja srebra była nawet w stosunku 1:100 do uncji złota na początku 2020 r.), więc wzrost zainteresowania nie powinien dziwić.

Tak spore wzmoczenie na rynku metali szlachetnych pod wieloma względami przypomina to, co działo się przy okazji poprzedniego kryzysu finansowego w 2008 r. Złoto przeżywało początkowo swoje chwile chwały, lecz po kryzysowych miesiącach nastąpiło odbicie i jego czar nieco prysł. Większość inwestorów na powrót uwierzyła w dobrą kondycję całego systemu finansowego, choć do masowych zakupów złota przystąpiły banki central-

ne z całego świata. Podobnie uczynił także Narodowy Bank Polski, który nabywając w ubiegłym roku aż 100 ton złota, zrobił naprawdę świetny interes.

Obecnie skala niepewności wydaje się już znacznie większa niż przed 12 laty i naprawdę trudno sobie wyobrazić, aby złoto popadło w niełaskę. Aleksander Pawlak przekonuje, że jesteśmy w pewnym sensie skazani na złoto, gdyż żyjemy w czasach swoistego eksperymentu na ogromną skalę. – Do absolutnych rekordów cenowych złota jeszcze bardzo daleko. Cena złota w 1980 r. osiągnęła pułap 850 dol., co w przeliczeniu na dzisiejsze dolary i przy uwzględnieniu inflacji wynosi ok. 2660 dol. W tej chwili mamy poziom 2050 dol. Fakty są obecnie takie, że prasy drukarskie są rozpędzone. Mamy środowisko najbardziej w historii ujemnych realnych stóp procentowych. Jeśli weźmiemy pod uwagę sytuację, że oficjalna inflacja

w Polsce jest rzędu 4 proc., a przeciętny kredyt hipoteczny wzięty siedem lat temu jest oprocentowany na 2 proc., to trudno nie nazwać tej sytuacji absurdalną. Jest to sytuacja, z którą świat jeszcze nie miał do czynienia – twierdzi Pawlak.

Od kiedy złoto przestało być środkiem płatniczym, świat finansów patrzył na nie przez lata jak na pozbawiony szczególnych właściwości metal, który na dodatek stanowi kiepski przedmiot inwestycji. Podczas

gdy na giełdzie stopa zwrotu wynosiła według badań z ostatniego stulecia ponad 6 proc., wartość złota rosła w tym samym okresie (przy uwzględnieniu inflacji) średnio o 1,1 proc. rocznie. Czysto teoretycznie więc lokowanie środków w kruszce nie powinno przedstawiać się jako szczególnie atrakcyjne. Kupujący złoto widzą jednak coraz częściej, że obecny system finansowy oparty na kreowanym ex nihilo pieniądzu w dłuższej perspektywie wiąże się z pewnymi nierozwiązywalnymi sprzecznościami.

BEZPIECZNA PRZYSTAŃ NA NIEPEWNE CZASY

Być może największa zmiana, jakiej pandemia koronawirusa dokonała w obszarze finansowym, polega właśnie na utracie zaufania i pewności. Wszelkiego rodzaju wskaźniki ufności konsument-

kiej, które pozostają wciąż na niskim poziomie, nie oddają istoty rzeczy. Inwestując w kruszce, ludzie w pewnym sensie wyrażają brak zaufania do stabilności całego systemu. Praktycznie we wszystkich państwach świata uchwalono potężne pakiety stymulujące gospodarkę, lecz wobec możliwych dalszych ograniczeń w handlu międzynarodowym związanych z kolejnymi wzrostami liczby infekcji może to doprowadzić do wzrostu inflacji. Na dodatek nie widać także, aby pomimo uruchomienia rekordowych środków pieniężnych gospodarka ponownie się rozpędzała.

W obliczu mnożących się znaków zapytania o przyszłość powrót do złota i srebra wydaje się więc czymś absolutnie naturalnym. – Każdego miesiąca ponad połowa klientów jest zupełnie nowa. Pojawili się także klienci, którzy do tej pory nie kupowali złota, ale wybrali pieniądze z lokat. Z racji tego, że oprocentowanie jest praktycznie zerowe, a nawet ujemne, biorąc pod uwagę inflację, inwestują w kruszce. Tego rodzaju osoby wiedzą, że gotówki nie ma sensu trzymać – mówi Tomasz Nykiel. Kruszce mają dla zwykłych ludzi także tę zaletę, że nie kojarzą się z żadnymi machinacjami finansowych elit (wyjątek stanowi może afera Amber Gold). Większości współczesnych kryzysów finansowych towarzyszyła spekulacja skomplikowanymi instrumentami finansowymi, którymi obrót wymagał zaawansowanej wiedzy. W przypadku inwestycji w złoto czy srebro fachowa wiedza jest oczywiście również bardzo przydatna, ale nie przytłacza zwykłego Kowalskiego.

Pomimo tego, że zainteresowanie złotem i srebrem jest dziś w Polsce naprawdę spore, do prawdziwego „runu na złoto” wciąż nam jeszcze daleko. W drugim kwartale obecnego roku sprzedano więcej złota niż w całym 2019 r., lecz nadal trudno mówić o zjawisku naprawdę masowym. Polacy zauważają wprawdzie stopniowy wzrost cen, ale nie stanowi on jeszcze dla nich powodu do większego niepokoju. Zapobiegliwi już dziś zabezpieczają swoje oszczędności, inwestując w metale szlachetne. Z pewnością w zaistniałej sytuacji rodzi się pytanie, czy zwiększone zainteresowanie kruszcami nie stanowi efektu kolejnej bańki spekulacyjnej. O tym będziemy się jednak mogli przekonać dopiero za kilka miesięcy lub nawet lat.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Apteka plus. Czyli minus

Zazwyczaj trzeba czasu – czasami miesięcy, a czasami lat – by procesy ekonomiczne uruchomione czyjąś decyzją polityczną, przyobleczone w postać ustawy, dały o sobie znać. Ale zazwyczaj prędzej czy później dają. I tak właśnie jest z ustawą znaną pod potoczną nazwą „Apteka dla aptekarza”.

Trzy lata temu rząd postanowił „uporządkować branżę aptekarską”, czyli uchwalić prawo, które w zamierzeniu miało uprzywilejować apteki prowadzone przez polskich farmaceutów oraz przeciwdziałać procederowi nielegalnego wywozu leków. No i „uporządkował” – i to, jak się okazuje, „jeszcze jak uporządkował”. Od tamtej pory nową aptekę może otworzyć jedynie farmaceuta albo spółka jawna lub partnerska farmaceutów, i to tylko, jeśli uda się znaleźć taką lokalizację, by nowa apteka znajdowała się co najmniej 500 metrów od już istniejącej i była jedyną, która przypada na co najmniej 3 tysiące mieszkańców.

Do dziś, a więc w ciągu trzech lat obowiązywania nowych przepisów – zgodnie z łatwymi do przewidzenia konsekwencjami, łatwymi do przewidzenia dla wszystkich oprócz tych, którzy parli do ich przyjęcia – liczba aptek w Polsce spadła już o niemal 1200, czyli jest ich o 10 proc. mniej. Jak porachowała firma analityczna PEX

PharmaSequence, każdego miesiąca zamykanych jest średnio 70 aptek, a otwieranych jedynie od 15 do 20, czyli co miesiąc ubywa kilkadziesiąt placówek. Przed wejściem w życie ustawy „Apteka dla aptekarza” też zamykano każdego miesiąca średnio 70 aptek, lecz otwierano aż 100–110.

Aprzy tym struktura własnościowa nie zmieniła się za wiele i nadal spośród ponad 350 firm, do których należą apteki, znaczna większość to małe i średnie polskie przedsiębiorstwa, choć sieci zagraniczne też są w Polsce nadal obecne. Ustawa nie doprowadziła również – a miała – do zatomowania nielegalnego wywozu leków z Polski; niektóre medykamenty jak znikają z naszego kraju, tak znikają i niektóre z nich co jakiś czas trudno kupić. Z pewnością za to ustawa sprawiła – choć pewnie zgodnie z intencją ustawodawcy nie miało się tak stać – że także apteki mają najpewniej swój udział w wysokiej inflacji, bo przy zmniejszonej o 10 proc. konkurencji po prostu nie może być inaczej i leki muszą szybciej drożeć.

No, ale jeśli ustawodawca uchwała ustawę „Apteka dla aptekarza” – nawet jeśli to nazwa potoczna – a nie „Apteka dla pacjenta”? Kto więc by się przejmował, że chorzy nie dość, iż mają teraz do apteki dalej, to jeszcze pewnie leki muszą kupować drożej? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Koniec z sosem cygańskim

Zagrożone jest ciasto zwane murzynkiem, śledź po tatarsku, może nawet ruskie pierogi, o karpniu po żydowsku nie mówiąc. Modne ostatnio pojęcie „cancel culture” („kasowanie kultury”), czyli rugowanie z przestrzeni publicznej wszystkiego, co nie mieści się w zakresie lewicowej politycznej poprawności, wydaje się wkraczać w nową fazę. Po tym, jak przewaliła się przez media absurdalna awantura o osąd jednego

– że Cyganie z jakiegoś powodu źle się kojarzą zarządowi owej firmy, ale to powinien być wyłącznie problem tychże osób. Trzecie – że mamy do czynienia z przypadkiem klasycznego rasizmu: zarząd firmy uważa, że Cyganie nie mogą firmować żadnej potrawy ani przyprawy. Bo co – są gorsi?

Zachodzę w głowę, jaką teraz nazwę sos będzie nosił. Internet huczał od propozycji: „sos romski”, „sos sinti”, „sos wędrowników”, „sos etniczny pochodzenia indyjskiego”. Były też śmielsze propozycje: „sos tolerancji”, „sos otwartości i inkluzywności”, „sos antyrasistowski”.

**Zachodzę w głowę,
jaką teraz nazwę
sos będzie nosił.
Internet huczał od
propozycji: „sos
romski”, „sos sinti”,
„sos wędrowników”,
„sos tolerancji”**

Czy oburzenie słowem „Murzyn” albo zabiegi takie jak skasowanie nazwy „sos cygański” różnią się czymś od sytuacji, gdy dzicz obala pomniki ludzi ważnych dla zachodniej cywilizacji? Otóż niespecjalnie. Owszem, forma jest różna, ale istota procesu jest ta sama: usunięte ma być to, co „obraża”, a o tym, co „obraża”, będą decydować wtajemniczone kręgi lewicowych twórców opinii. Gdy bowiem proszę moich oponentów o przedstawienie statystyk niechęci do słowa „Murzyn” wśród mieszkających w Polsce i mówiących po polsku Murzynów – zapada oczywiście cisza.

Dziwi mnie bardzo ta decyzja. Może mieć tylko trzy wyjaśnienia. Pierwsze – że to rzadki samokrytycyzm wspomnianej firmy wobec własnego produktu i że sos musiał być faktycznie paskudny. Drugie

– że Cyganie z jakiegoś powodu źle się kojarzą zarządowi owej firmy, ale to powinien być wyłącznie problem tychże osób. Trzecie – że mamy do czynienia z przypadkiem klasycznego rasizmu: zarząd firmy uważa, że Cyganie nie mogą firmować żadnej potrawy ani przyprawy. Bo co – są gorsi?

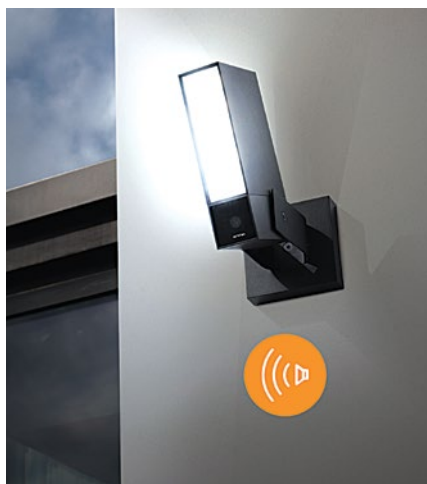
Sprawa, tak jak wiele podobnych, może się wydawać trywialna, ale wcale taka nie jest. To jest przebudowywanie świata poprzez język. Klasyczna lewicowa strategia co najmniej od czasów Gramsciego. ©©

NASZ TEST: KAMERA NETATMO Z SYRENĄ ALARMOWĄ

Głośna syrena alarmowa, jasna lampa zintegrowana z kamerą oraz sprawnie działające algorytmy do rozpoznawania dostrzeżonych przez system obiektów – to największe zalety zewnętrznej kamery Netatmo, która umożliwia zdalny podgląd podwórka, ogrodu i okolicy domu bez konieczności opłacania miesięcznego abonamentu.

Dzięki wykorzystaniu sztucznej inteligencji odporne na warunki atmosferyczne urządzenie uczy się odróżniać ludzi, zwierzęta oraz samochody. To przydatne, ponieważ gadżet może wysyłać na smartfony lub tablety powiadomienia o wykryciu tylko konkretnej kategorii obiektów (dzięki temu jeśli nasze psy lub koty nieustannie biegają po ogrodzie, to nie dostaniemy w ciągu dnia tysiąca niepotrzebnych powiadomień).

Można również zdefiniować strefę np. wokół bramy wjazdowej, garażu, okien przy tarasie lub wokół drzwi wejściowych. Obszar skutecznego monitorowania to według testu 10–15 m (według producenta to jednak nawet 20 m). Powiadomieniom o potencjalnym intruzie towarzyszy obraz jego twarzy wraz z nagraniem filmem. Filmiki nagrywane są przez kamerę o kącie widzenia 100 stopni (to dość słaby wynik w porównaniu z konkurencją) w rozdzielczości Full HD (1920 x 1080). Zdjęcia i filmiki można zdalnie odtworzyć w aplikacji na smartfony. Są też zapisywane na szyfrowanej karcie microSD oraz – opcjonalnie – w chmurze Dropbox lub na własnym serwerze FTP. Sama aplikacja jest prosta w obsłudze i dobrze współpracuje



z systemami Apple HomeKit, Google Home czy Amazon Alexa.

W testowanym modelu kamery w urządzenie wbudowana jest też syrena alarmowa o natężeniu 105 dB. Nie jest to wprawdzie takie natężenie, które postawiłoby na nogi całe osiedle, ale to dźwięk na tyle głośny, że powinien zniechęcić potencjalnego włamywacza do majstrowania przy oknach lub drzwiach. Ważne: syrena nie włącza się automatycznie, może ją uruchomić jedynie użytkownik po otrzymaniu w aplikacji powiadomienia o podejrzanym ruchu.

Dzięki podczerwieni kamera potrafi rejestrować obraz nie tylko w dzień, lecz także w kompletnej ciemności (uzyskany obraz jest czarno-biały).

W kamerkę wmontowana jest również lampka, która włącza się po wykryciu ruchu (jej moc wynosi 12 W). Może ona oświetlić nam drogę do domu lub odstraszyć ewentualnego intruza jeszcze przed włączeniem syreny alarmowej.

Kamerę montuje się w miejscu źródła światła zewnętrznego, wpinając kabelki do kostki montażowej i wywiercając w ścianie dwie niewielkie dziury na kołki montażowe (znajdują się w zestawie). Producent zapewnia, że jest całkowicie odporna na warunki atmosferyczne.

Największą wadą testowanego modelu jest brak wbudowanego akumulatora, przez co awaria sieci energetycznej lub celowe odcięcie prądu przez włamywaczy sprawiają, że gadżet staje się bezużyteczny. Minusem jest także brak opcji nagrywania przez 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Wykrywanie ruchu jest bowiem fajne, ale jeśli ktoś np. zostawi przed naszym domem worek ze śmieciami, to kamera może włączyć nagrywanie zbyt późno, aby móc dostrzec tablice rejestracyjne odjeżdżającego samochodu. Brakuje również dwukierunkowej komunikacji – co prawda urządzenie jest wyposażone w mikrofon, ale odpowiedzieć można jedynie syreną alarmową. Wadą jest również design: stosunkowo toporna kamera przypomina produkt z lat 90. XX w.

Mimo minusów gadżet jest godny polecenia. Niestety, urządzenia Netatmo wciąż należą do najdroższych na zatłoczonym rynku tego typu gadżetów. Cena testowanej kamerki z alarmem wynosi aż 1399,99 zł. ©© **Jacek Przybylski**

INTELENTNE RĘKAWICE

Co prawda siłownie i sale treningowe znów są otwarte, ale rosnąca liczba zachorowań sprawia, że można pomyśleć o tym, aby o formę zadbać we własnych czterech ścianach. Move It Swift to napakowane czujnikami inteligentne rękawice bokserskie, które po połączeniu z inteligentnym workiem treningowym mają pozwalać na profesjonalny trening we własnym salonie. Rękawice Move It Swift mierzą nie tylko intensywność ruchu rękami, lecz także siłę uderzeń. Gadżet wyczuwa także, czy worek właśnie dostał prawym prostym czy lewym sierpowym. Różne programy treningowe – przeznaczone zarówno dla amatorów, jak i dla zaawansowanych bokserów – pozwalają ćwiczyć szybkość oraz poprawić siłę wyprowadzanych ciosów. Zestaw rękawice plus worek kosztuje 169 dol., czyli ok. 630 zł.



LUSTRO Z WBUDOWANYM TRENEREM

Carbon to lustro, które rozpoznaje, czy, kiedy i jak się ćwiczy. Dzięki czujnikom i wbudowanej sztucznej inteligencji ocenia np. poprawność wykonanych przysiadów, motywuje do ćwiczeń ze sztangą i niczym trener personalny potrafi poradzić, jak każdego dnia zmusić się do pobicia kolejnego prywatnego rekordu. Prywatna siłownia może być niewielka – poza miejscem na lustro potrzeba bowiem jedynie przestrzeni 2,4 m na 2,4 m.

Podstawowy zestaw kosztuje aż 1375 dol. (równowartość 5,1 tys. zł). Rozbudowany pakiet „all in”, który zawiera też naszpikowane czujnikami hantle, kettle do treningu siłowego oraz sztangę i ciężary, jest zaś piekielnie drogi – trzeba na niego wydać 2895 dol., czyli ponad 10,7 tys. zł. ©© **Jacek Przybylski**





Wojciech Cejrowski

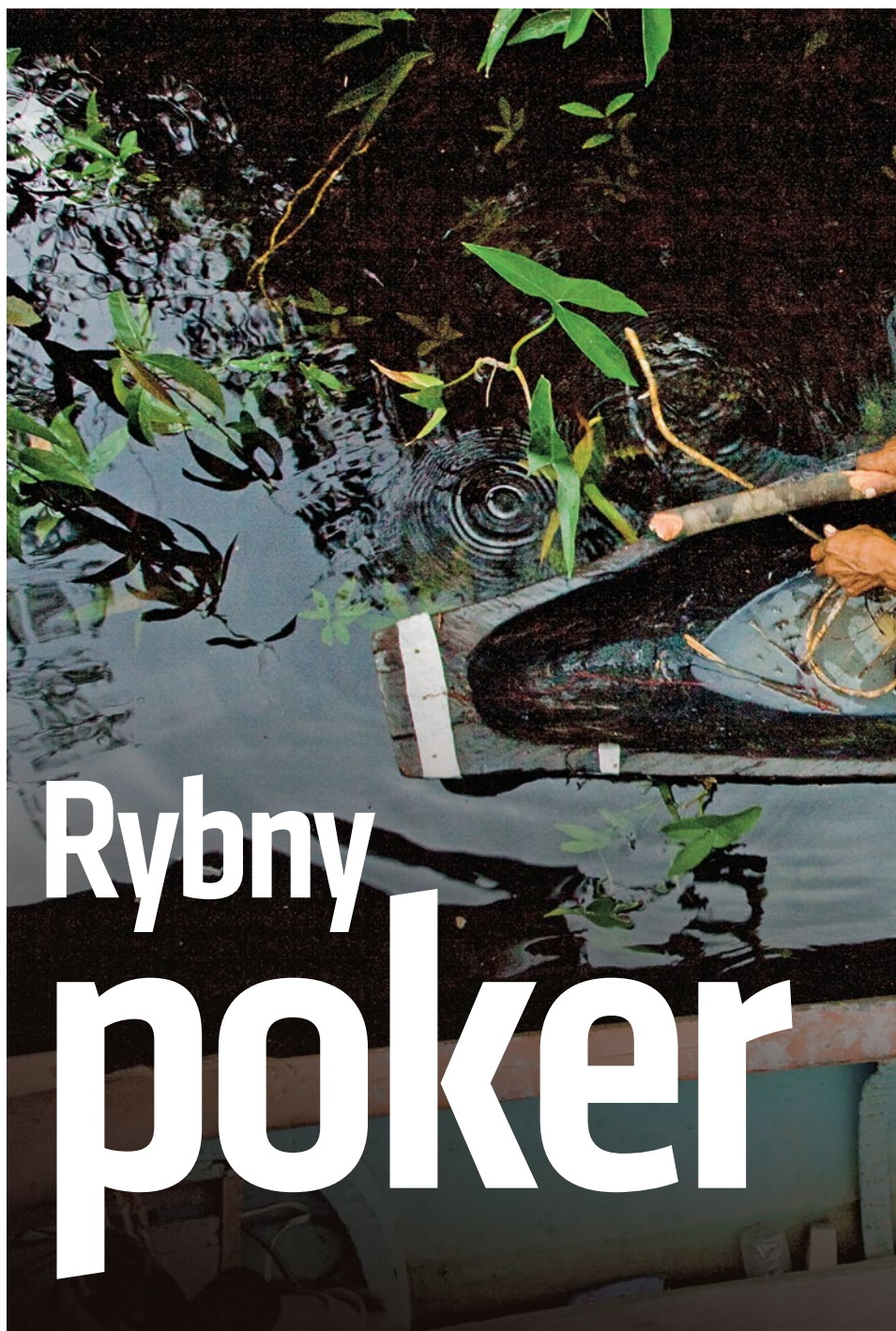
Było to w roku 1996. Trasa mojej wyprawy wiodła przez Przesmyk Darién położony między Panamą a Kolumbią – dżungla i 200 km przez strome góry ulepione z błota. Opisałem to z detalami w książce „Gringo wśród dzikich plemion”, więc nie będę powtarzał, ale... Co było dalej? Posłuchajcie...

Potem było wprawdzie płasko, ale to nie oznacza, że łatwiej. Błoto zamieniło się w bagno. Po drugiej stronie gór Darién leżą potężne mokradła Los Katíos, w większej części bezludne. Pośród nich, to tu, to tam, trafia się samotny domek lub mała osada, czyli domki dwa, rzadziej trzy. Wiele z nich jest opuszczonych przez ludzi i wtedy zamieszkują je stada agresywnych nietoperzy, węże, roje os oraz stare jaguary-samotniki, bardzo groźne.

Jedynym sposobem podróżowania przez te okolice są łodzie, a jedynymi szlakami komunikacyjnymi – bagienne rzeki. Z tego powodu wszystkie domy na mokradłach wyposażone są we własny pomost oraz w przynajmniej jedno drewniane czółno z wypalonego pnia.

Schodząc z gór Darién, wiedziałem to wszystko. Orientowałem się w terenie, ponieważ byłem tu rok wcześniej na wyprawie rozpoznawczej. Zanim przejdiesz przez dzikie i niebezpieczne góry, dobrze jest się zorientować, co znajdziesz po drugiej stronie. Wiedziałem, że przydomowe pomosty na tych bagnach pełnią funkcję taką jak w Polsce wiejski plac targowy, świetlica oraz gospoda razem wzięte – na pomostach w Los Katíos toczy się całe życie towarzyskie i gospodarcze. Ludzie spędzają na nich większość życia, a życie to polega przede wszystkim na czekaniu.

Najczęściej czeka się na przygodny transport, który zapewniają duże łodzie motorowe, uzbrojone w potężne silniki. Żaden planowy rozkład rejsów nie



istnieje. Nie może istnieć, gdyż te łodzie nie bez powodu są takie szybkie. Z tej strony gór jest Kolumbia produkująca kokainę, a po drugiej stronie Panama ze swoim kanałem i statkami na cały świat – dodajcie to sobie sami. Czasami te szybkie łodzie są zapakowane i zajęte – wtedy mijają twój pomost bez zatrzymywania. Innym razem, gdy wracają na pusto,

chętnie zbierają po drodze pasażerów. Gdy ktoś chce złapać łódź, po prostu siada na pomoście i czeka.

Czeka i czeka, kilka dni, tydzień. A w tym czasie czas nie płynie, lecz stoi. A kiedy tak czeka i czeka te kilka dni, to w końcu zaczyna się nudzić.

A kiedy się człowiek nudzi i nudzi, to sobie szuka rozrywki.



Tylko CZYM tu się rozerwać pośród tych wielkich i odludnych bagien?

GRA W RYBY

Miejscowi wymyślili GRĘ W RYBY.

Polega ona na tym, by złapać rybę na coś takiego, na co ryby normalnie nie biorą – na zardzewiały kapsel, na kawałek plastikowej torebki, na

snurowadło, guzik z pętelką, wypisany długopis...

Kiedy to się nudzi, można zmodyfikować zasady gry – zawodnicy najpierw z góry deklarują, co złapią, a potem dobierają odpowiedni rodzaj przynęty (np. kawałek suwaka od spodni), w odpowiedni sposób zarzucają, ciągną i podrywają – wszystko po to, by na

haczyku znalazł się zadeklarowany wcześniej gatunek ryby.

A kiedy i to się nudzi, ludzie na pomoście organizują RYBNE BINGO (kto pierwszy złapie trzy takie same ryby) lub RYBNĄ ZGADUJ-ZGADUŁĘ – jeden z graczy, w tajemnicy przed innymi, zakłada przynętę i łowi rybę, a pozostali muszą rozpoznać po ruchach żyłki, co się akurat złapało.

Siedziałem tak z nimi na pomoście już bardzo, bardzo długo, choć w świecie cywilizowanym, gdzie są zegary, minęły dopiero dwa dni – czekaliśmy na łódź. Oni grali w ryby, a ja się nudziłem. Nieskończenie. Zakończyłem wyprawę i w zasadzie wracałem do domu, ale coś to za wracanie, gdy siedzisz na pomoście i nikt nie wie, ile jeszcze tak posiedzisz, zanim wreszcie ruszysz. Ryb nie łowię – nie moja pasja – ja ryby jem. Poluję i jem. Nudziłem się więc. Nieskończenie.

I nagle wpadło mi do głowy, by wprowadzić do tej ich gry zasady pokera. Tak powstał RYBNY POKER – mój osobisty ślad na drugim końcu globusa. Byłem dumny! Tak ja ci goście, którzy na kompletnej pustyni postawili Las Vegas.

Najpierw nauczyłem ich trzech zasad podstawowych:

1. Każdy z graczy łapie po pięć ryb.
2. Ryby dzielą się na cztery kolory: złote, srebrne, zielone i wszystkie pozostałe (szaro-bure, czarne, łaciaste...). Złote są lepsze od srebrnych, srebrne od zielonych itd.

3. Poklasyfikowaliśmy poszczególne gatunki wedle ich wartości rynkowej: najbardziej cenne były ryby o nazwie dorado (odpowiednik asa w talii kart), potem pyszne robalo (król na każdym stole), caracha (dama), pupo (na Kocięciu zwany „dupkiem”, czyli walet) i tak dalej, aż do pospolitych piranii, które plasowały się na szarym końcu skali wartości. (Dlatego, że najłatwiej je złapać – biorą na wszystko – a do jedzenia są marne, bo strasznie ościste). Piranie to były nasze blotki.

No i zaczął się RYBNY POKER:

Każdy gracz wyławiał po pięć ryb, które, tak jak w pokerze amerykańskim, były układane na widok publiczny na pomoście. Potem gracz miał prawo wymienić kilka ryb, a nawet wszystkie. No i na końcu liczyliśmy, kto ile ugrał.

Odpowiednikiem koloru w tym naszym pokerze było pięć ryb z jed-

FOT. WOJCIECH CEJROWSKI

■ nego gatunku. Kolor złożony z pięciu piranii złotych był więcej wart od koloru z pięciu piranii szarych, ale mniej wart od pięciu dorado – pięć ryb dorado biło wszystko oprócz pokera, a pokerem było pięć ryb w tym samym kolorze (np. srebrnych), każda z innego gatunku.

Indianie pojęli te zasady w lot. Mają pamięć dużo bardziej pojemną od pamięci białego człowieka, bo... nie trzymają w głowie takich rzeczy jak litery, znaki drogowe i całki. Później nauczyłem ich, jak obstawiać.

A więc zakładali przynętę. Zarzucali. A gdy ryba wzięła, starali się najpierw samemu wyczuć (poprzez drgania linki), co się złapało, potem zaś tak sprytnie szarpali i potrząsali wędziskiem, żeby zmylić innych, żeby pozostali gracze nie mogli rozpoznać, co siedzi na haczyku.

No i tu zaczynały się obstawianie.

– Dają dychę, że złapał robalo – mówił Jose, patrząc na charakterystyczne ruchy linki.

– A ja stawiam na dorado – mówił Leon, wpatrując się nie w linkę, ale w to, jak burzy się powierzchnia wody nad rybą.

– Nie zniecie się! Tylko pupo jest na tyle głupi, żeby się połakomić na zardzewiałego gwoźdźcia.

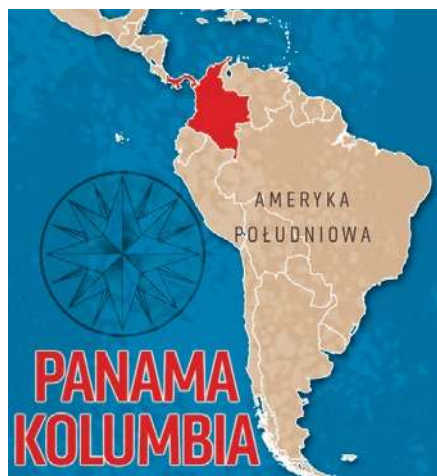
– Co ty! Nie widziałeś, jak on, zakładając tego gwoźdźcia, skaleczył się w palec? Na pewno pirania, tylko bardzo duża.

– 10 pesos, że caracha...

Stopniowo Indianie zaczęły pojmować także, czym jest blef – sztuka manipulacji, kunszt kłamstwa i zwodzenie przeciwnika. Najpierw demonstracyjnie wymachiwali kawałkiem mięsa, a potem jakoś tak sprytnie zarzucali wędkę, żeby się na to mięso połaściła ryba roślinożerna. Albo na odwrót – drapieżniki łapali na śliwki, kawałek kokosa lub ciekącą gałązkę kauczukowca. Uczyli się bardzo szybko i blefowali coraz sprawniej. Po powrocie z tamtej wyprawy byłem dumny – mój rybny poker rozwiązał bagienne nudy. Zostawiłem im w prezencie rozrywkę. Było Los Katíos, teraz macie Las Vegas. Na pożegnanie wyciąłem nad drzwiami domu z pomostem napis: „Casino WC”.

POWRÓT

Po 11 miesiącach wróciłem w tę okolicę i znów byłem pośród bagien. Wracanie to taka moja sztuczka albo metoda – ko-



lejną wyprawę lubię zaczynać w miejscu, gdzie skończyłem którąś z poprzednich. To bardzo ułatwia wszelkie transakcje, logistykę i znajdowanie przewodników, którzy się nie zgubią w dżungli.

Wyskoczyłem z łodzi na znajomy pomost, łódź natychmiast odpłynęła. Ten sam pomost, na którym narodził się rybny poker. Na pewno ten, bo widziałem mój napis „Casino WC”. Oczekiwałem radosnych powitań, a tu...

Pusto.

Wokoło żywej duszy.

Drewniany dom opustoszał. Poletko koło domu zdziczało, znalazłem tam tylko trochę manioku. A sam pomost, na którym z takim zapałem graliśmy, zmurzał i lekko się wykrzywił. Cóż było robić – usiadłem na jego trzeszczącym końcu i postanowiłem czekać na pierwszy przygodny transport. Wpakowałem się jak chłystek. A kierowca łodzi pytał mnie lekko zdziwiony, czy na pewno chcę wysiadać akurat tu?

Czekałem tak prawie dwa dni. W końcu zza zakrętu rzeki wypłynęła długa indiańska piroga z doczepionym silnikiem peke-peke.

Przy sterze rozpoznałem misjonarza w rozłożystym słomianym kapeluszu. Obsługiwał ten teren już w zeszłym roku – widywałem go przelotnie, jak płynął gdzieś po rzece, ale nigdy dotąd nie spotkaliśmy się twarzą w twarz.

Zabrał mnie z pomostu i od razu zaczął opowiadać o swoich kłopotach.

Otóż, mniej więcej rok wcześniej, w jego nawodnej parafii pojawił się pewien gringo, który nauczył okoliczną ludność hazardu. Tutejsi Indianie nie umieli pisać ani czytać, więc nie grywali w karty ani nie kupowali losów loterii pieniężnej, a on, ten gringo, mimo to potrafił ich nauczyć pokera! Nadal nie znali liter, nadal

nie bardzo radzili sobie w rachunkach, a jednak grali w pokera i ogrywali się nawzajem z majątków... Właściwie niedoładnie z majątków, lecz z biedy. Bo coś mieszkaniac bagien posiada takiego, co mógłby przegrać? Biedę. Parę garnków. Chińską latarkę na baterie. Haczyki do łowienia ryb, sieć, siekierę, łódź...

A co potem?

Potem przegrywali przyszłe plony. Przegrywali synów w niewolę. Siebie do pracy u zwycięzcy. Indianie są bowiem niezwykle honorowi i zawsze spłacają długi; za wszelką cenę.

Kiedy misjonarz opowiadał mi tę historię, piekły mnie uszy. To przecież ja nauczyłem Indian rybny poker. To był mój ślad na tej ziemi. Przed rokiem wydawało mi się, że dobry – w końcu dałem tym ludziom tanią formę rozrywki, żeby sobie skracali czas oczekiwania na transport. Ja cię kręcę... Ale bagno.

– Padre – zagadnąłem księdza. – A czy oni są już nawróceni na chrześcijaństwo, czy wciąż wierzą po staremu?

– A gdzie tam nawrócenie! Cały czas, kiedy ja mówię „Bóg”, oni mnie poprawiają na „Pachamama”. Wiesz co to Pachamama, gringo?

– Wiem: Matka Ziemia, źródło Wszystkiego. No to ma ksiądz szczęście, że się nie dali nawrócić.

– Jakie znowu szczęście?! Co ty, jesteś ateista?

– Nie o to chodzi. Jeżeli oni ciągle wierzą po staremu, to wystarczy, że im ksiądz powie tak: Pachamama zabrania łapania ryb dla zabawy. Oni to zrozumieją. To jest prawo pasujące do indiańskiego porządku świata – pożywienie jako dar od Boga nie służy do zabawy. Niech im to ksiądz przypomni, a wtedy rybny hazard się skończy. Wystarczy powiedzieć: Pachamama zabrania bawić się jedzeniem.

Poskutkowało – udało się zatrzeć zły ślad.

Nie ma nic złego w zostawianiu śladów – robi to każdy, idąc przez życie. Trzeba tylko uważać, by zostawianie śladów nie wiązało się z deptaniem. Ani z dreptaniem w miejscu. Ale to osobna historia na inną okazję. Może za tydzień.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

MAKARONOWA ZAPIEKANKA GIZY

Praca prezentera telewizyjnego jest dosyć... absorbująca.

W związku z tym kulinarne dokonania muszą być szybkie.

Staram się w domu gotować tak, aby smakowało i mnie, i moim dzieciom, i mojej żonie Wioli, która... jest dietetykiem i zwraca uwagę na to, aby na naszych talerzach było nie tylko smacznie, lecz także zdrowo! Lubimy kuchnię obfitującą w zdrowe produkty!

Do Rzeczy!

Składniki:

- 300 g makaronu (najlepiej kokardki)
- filet z piersi kurczaka (1 szt.)

- cebula (1 szt.)
- papryka (2 szt.)
- pomidor (2 szt.)
- przecier pomidorowy (1 łyżka)
- czosnek (2 ząbki)
- ser mozzarella (light)
- oliwa z oliwek (4 łyżki)
- bulion drobiowy (1 szklanka)
- sól, pieprz, ostra papryka

Przygotowanie:

Pierwszy krok to pokrojenie cebuli w kosteczki, przetarcie czosnku przez praskę. Całość wędruje na patelnię, posmarowaną oliwą. Delikatnie smażymy.

W garnku z osoloną wodą gotujemy makaron. Ważne, aby był dietetyczny – pełnoziarnisty. Gotujemy al dente!

Warzywa kroimy w kostkę, tak aby pięknie wyglądały! Kurczaka proponuję pokroić w paski, aby było różnorodne. Kurczaka przygotowujemy szczyptą soli i pieprzu. Lubię pikanniejsze potrawy rekomenduję odrobinę ostrej papryki. Warzywa i mięso wrzucamy na patelnię i podsmażamy – ok. 10 minut. Po tym czasie podlewamy bulionem, dodajemy przecier pomidorowy i smażymy kolejne 4 minuty. Makaron układamy w naczyniu żaroodpornym, zalewamy sosem z patelni i posypujemy pokrojoną drobno mozzarellą. Całość wędruje do nagrzanego wcześniej do 180 st. C piekarnika. Po 20–25 minutach serwujemy gościom. ☺☺

oprac. raw
Adam Giza jest
prezenterem TVP.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wiejskie ogródki

Dalie, malwy, warszawianki, astry, cynie, floksy, jaśmin, słoneczniki...

Wszystko to na niewielkim spłachetku ziemi od strony drogi – tak żeby każdy, swój czy obcy, mógł podziwiać różnorodność i barwy kwiatów kwitnących od maja do września. Kwiaty wysokie, żeby miały dostęp do światła. Do tego lipa – w każdej zagrodzie. Żeby chronić domostwo. A pod nią często kapliczka ozdobiona kwiatami, ogrodzona płotkiem. Z tyłu kilka drzew owocowych.

*Szukałem tego w Paryżu,
szukałem w Berlinie i Rzymie,
A to za oknem było i miało
polskie imię.
Myślałem, że to potęga, świat
nowy, nowe dzieje,
A to ogródek wiejski, co się
kwiatami śmieje.
A to groszek pachnący,
georginie i malwy,
Wymalowane słońcem
w proste, włóściańskie barwy [...].
Julian Tuwim „Cel”*

Te śliczne wiejskie ogródki, które jeszcze niedawno były stałym elementem polskiego krajobrazu, widzi się na wsi coraz rzadziej. Sadzono w nich rośliny jednoroczne, czasem byliny niewymagające corocznego sadzenia. Sadzonki wymieniało się między sąsiadami. Niekiedy pozyskiwano z okolicznych pól – barwinek, maki, chabry.

Co się z nimi stało? Zastępują je trawnik wygolony do zera i rząd

tui przy ogrodzeniu. Tak jest po miejsku, elegancko i wygodnie. Tak pokazują w telewizji. Na trawniku można ustawić grill, trampolinę czy dmuchany basen.

Jadąc z Warszawy do Konstancina, jeszcze niedawno mijano się niewielką plantacją irysów. Znajdowała się przy samej drodze, istniała tu od lat. Zajmowała się nią drobna staruszka, którą można było często zobaczyć schyloną przy grządkach. Pielęgnowała te cudowne, niedoceniane u nas, bo wczesne, krótkotrwałe i wymagające kwiaty. W lipcu, gdy zaczynały przekwitać, można było u niej wybrać cebulki do zasadzenia. Od białych, kremowych, pomarańczowych, fioletowych do wielkich atramentowo granatowych, prawie czarnych, o motyli płatkach.

Kilka lat temu drogę do Konstancina poszerzono, wybudowano rondo i połowę irysowego ogrodu zabrano. Staruszka nadal pielęgnowała resztkę plantacji. Ale w zeszłym roku umarła. W tym roku ogród jest zachwaszczony i smutny. Rodzina nie podjęła dzieła babci, hodowla irysów znika z krajobrazu.

Tak samo jak wiejskie ogródki. ☺☺



FOT. ADORÉ-STOCK



Z wiceministrem zdrowia
Waldemarem Kraską
rozmawia Katarzyna Pinkosz



Strategia na jesień

KATARZYNA PINKOSZ: Po złożeniu dymisji przez ministra Łukasza Szumowskiego pada wiele pytań, m.in.: „Czy jesteśmy bezpieczni?” i „Czy mamy już strategię na jesień?”

WALDEMAR KRASKA: Kończymy prace nad strategią na jesień. We wtorek jej główne punkty zostały zaprezentowane rządowemu zespołowi zarządzania kryzysowego. Teraz to wszystko będziemy przekładać na akty wykonawcze tak, aby np. lekarze rodzinni, po wypełnieniu specjalnej checklisty objawowej, mogli kierować pacjentów na testy w kierunku koronawirusa. Prace ministerstwa nie są zaburzone.

Przez kilka miesięcy liczba nowych zakażeń wynosiła 300–500 dziennie, teraz jest to 700–800, a mamy lato. Skąd ten wzrost zachorowań?

Eksperti potwierdzają, że SARS-CoV-2 nie jest takim wirusem jak wirus

grypy, który latem praktycznie nie powoduje zachorowań. Zaczęliśmy się ze sobą spotykać, wyjeżdżać na wakacje, luźniej podchodzimy do restrykcji, co powoduje, że liczba zakażeń nie maleje. Oprócz dużych ognisk w zakładach pracy coraz częściej mamy zakażenia po powrotach z wakacji i imprezach rodzinnych, podczas których nie zawsze są przestrzegane zalecane zasady. Jestem daleki od tego, by kontrolować i karać, jednak musimy pamiętać, że koronawirus nie zniknął. Trudna sytuacja będzie wtedy, gdy jesienią zachorowania na COVID-19 będą towarzyszyć zachorowaniom na gripę.

Zachorowań jest więcej, jednak na razie nie ma dużego wzrostu liczby osób na oddziałach intensywnej terapii. Czy to oznacza, że wirus osłabł?

W Polsce od początku pandemii nie było aż tak dużej liczby osób, które musiały przebywać na OIOM-ach czy pod respiratorami. Myślę, że stało się to dzięki temu, iż wyprzedziliśmy o kilkanaście tygodni Włochy czy Hiszpanię, jeśli chodzi o wprowadzenie ograniczeń. Niepokoje jednak zwiększona liczba zakażeń. Wiele osób choruje bezobjawowo, ale ma kontakt z grupami ryzyka. Ostatnie badania pokazują też, że ok. 20 proc. osób bezobjawowych ma zmiany w płucach; nie wiemy, czy będą one trwałe. Słyszymy też o powikłaniach neurologicznych.

Koronawirusa nie można więc lekceważyć. Wspomniał pan, że jesień może być trudna. Jaka jest strategia na jesień?

Zespół do spraw strategii działań związanych ze zwalczaniem epidemii



przyczyną infekcji jest koronawirus, dlatego np. w przypadku kaszlu odsyłają pacjenta do szpitala, bo nie mogą go wysłać na test.

Dlatego chcemy dać jasne standardy, stworzyć algorytm pokazujący, jak oceniać, czy dany pacjent powinien mieć wykonany test, czy można go jeszcze obserwować, czy trzeba odesłać go do szpitala.

Czy jednym z elementów jesiennej strategii jest szczepienie przeciw grypie? W Polsce szczepi się zaledwie 4 proc. społeczeństwa. W tym roku szczególnie ważne jest to, żeby więcej osób się zaszczepiło?

Szczepionka jest ważna szczególnie dla osób z grup wysokiego ryzyka, czyli dla personelu medycznego, który najczęściej ma kontakt z osobami chorymi, oraz dla osób powyżej 60.-65. roku życia, a także

w pierwszej kolejności powinien być zaszczepiony personel medyczny oraz osoby najwyższego ryzyka ciężkiego przebiegu choroby, czyli ludzie starsi i mający wielochorobowość.

Na początku epidemii pacjenci często obawiali się dzwonić po pogotowie, nawet mając objawy zawału serca czy udaru mózgu. Również dziś lekarze alarmują, że pacjenci zbyt późno wzywają karetkę. Starają się unikać szpitala. To samo dotyczy pacjentów onkologicznych. Czy ministerstwo ma plan, jak to zmienić?

Na pewno stan epidemii, poczucie zagrożenia nie sprzyjają temu, żeby pacjent zgłaszał się do szpitala. Obawa przed zakażeniem jest duża. Myślę, że za kilkanaście miesięcy możemy mieć więcej wykrytych chorób nowotworowych czy kardiologicznych w później-

Często słyszę, szczególnie od ludzi młodych, że nie chcą się szczepić, gdyż nie wiedzą, co znajduje się w szczepionce. Ja też gdy wsiałam do samolotu, nie wiem dokładnie, z czego on jest zbudowany i na jakiej zasadzie lata. Mam jednak zaufanie do konstruktorów i do pilota. Tak samo ważne jest to, by zaufać lekarzom

COVID-19 podzielił się na pięć grup roboczych, wkrótce przedstawi swoje rekomendacje. Bardzo ważna kwestia dotyczy testowania oraz dostępności do lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej (POZ). Dla bezpieczeństwa pacjentów wprowadziliśmy możliwość kontaktu z lekarzem w formie teleporad. Dostrzegaliśmy wiele ich zalet i na pewno chcemy, aby pozostały w POZ. Są one dobrym rozwiązaniem, ale nie jedynym. W sezonie przeziębieniowym dziennie do lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej przychodzi ok. 200 tys. Polaków – ta sytuacja może się powtórzyć jesienią. Trzeba będzie szybko zdiagnozować, kto z nich może pozostać w domu, a kto musi być leczony w szpitalu. Będziemy chcieli stworzyć dla lekarzy jasne rekomendacje dotyczące postępowania. Lekarze muszą wiedzieć, kto może dać pacjentowi skierowanie na test w kierunku COVID-19 i kiedy trzeba to zrobić.

Lekarze pracujący w szpitalach skarżą się, że pacjenci niepotrzebnie trafiają na SOR, a wcześniej nie oglądał ich lekarz POZ, tylko przez teleporadę odesłał do szpitala. Z kolei lekarze pierwszego kontaktu dziś nie mogą zdiagnozować, czy

dla pacjentów z chorobami współistniejącymi, m.in. kardiologicznymi, pulmonologicznymi. W przypadku zachorowania na grypę ryzyko zawału serca u pacjentów kardiologicznych rośnie 10-krotnie. Ważne, żeby Polacy skorzystali ze szczepień, szczególnie w tym roku. Na początku września będzie dostępna nowa szczepionka przeciw grypie, myślę, że na przełomie roku pojawi się szczepionka przeciw COVID-19. Sądzę, że jeśli w społeczeństwie będzie chęć szczepienia się, to przełamiemy tę epidemię. Często słyszę, szczególnie od ludzi młodych, że nie chcą się szczepić, gdyż nie wiedzą, co znajduje się w szczepionce. Ja też gdy wsiałam do samolotu, nie wiem dokładnie, z czego on jest zbudowany i na jakiej zasadzie lata. Mam jednak zaufanie do konstruktorów i do pilota. Tak samo ważne jest to, by zaufać lekarzom.

Jeśli pojawi się szczepionka przeciw COVID-19, to Polska ją zakupi?

Tak, przystąpiliśmy do dużego przetargu wraz z innymi krajami europejskimi, będziemy się starali ją zakupić. Podobnie jak w przypadku grypy

szczych stadiach. Dostaję też informacje od chirurgów, że pacjenci często zgłaszają się do lekarza dopiero, gdy są w bardzo złym stanie. Zdarza się, że przez wiele dni nie zgłaszają się np. z silnymi bólami brzucha; potem okazuje się, że doszło do zapalenia otrzewnej. Apelujemy o to, by nie bać się szpitala. Jeśli pojawia się problem zdrowotny, to nie można go przegapić, bo skutki mogą być fatalne.

Obawia się pan „drugiej fali”?

Tylko ten, kto nie myśli, niczego się nie boi. Na COVID-19 najczęściej chorują osoby starsze, jednak młodszy też mogą zachorować i mieć potem powikłania. COVID-19 może dotknąć każdego z nas i każdego z naszych bliskich.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Waldemar Kraska – sekretarz stanu w Ministerstwie Zdrowia, pełnomocnik rządu ds. Państwowego Ratownictwa Medycznego, senator RP; z wykształcenia jest lekarzem chirurgiem.



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Na polach Guzowa

Guzów to miejsce naznaczone krwią Polaków, gdzie 5 lipca 1607 r. rozegrała się bratobójcza bitwa między wojskami króla Zygmunta III Wazy a rokoszanami pod przywództwem Mikołaja Zebrzydowskiego, wojewody krakowskiego. Było to dawne stronnictwo Jana Zamoyskiego, które od popierania króla przeszło do opozycji – z powodu faworyzowania przez Zygmunta III jezuitów i duchowieństwa katolickiego oraz zwiększenia roli senatu. Skłócone z królem przez jego plany matrymonialne i rodzinne – poślubienie jako drugiej żony Konstancji Habsburżanki oraz zamiar koronacji królewicza Władysława IV za życia ojca.

12 sierpnia 1606 r. szlachta zgromadzona w Sandomierzu uchwaliła akt konfederacji. Pretensje rokoszan rozstrzygnąć miał sejm, jednak król zwołał go dopiero 7 maja 1607 r., co doprowadziło do wrzenia. Kolejne ziemie i województwa zaczynają same zwoływać sejmi i występować z pretensjami. Po zjeździe w Jędrzejowie rokoszanie ruszają na Warszawę. 24 czerwca zgromadzona pod Jeziorną szlachta wypowiada posłuszeństwo królowi – prowadzi im Janusz Radziwiłł, przybywają: wojewoda Zebrzydowski, a także największy przeciwnik króla Szczepny Herbut, pisarz i awanturnik prowadzący ponoć tysiąc sabatów z Węgier. Król wyrusza przeciwko buntownikom, którzy wycofują się pod Warękę i dalej, w stronę Radomia. 5 lipca obie strony spotykają się pod Guzowem na północ od Oronńska. Po stronie władcy stają obaj hetmani – polny koronny Stanisław Żółkiewski i wielki Litewski Jan Karol Chodkiewicz.

Jeszcze niedawno historycy nie byli pewni czasu ani miejsca bitwy. Dopiero Henryk Wisner i badający współcześnie tę sprawę Radomir F. Grabowski stwierdzili, że odbyła się 5 lipca, w czwartek. Rozegrała



FOT. WIKIPEDIA

się pod Radomiem na polach między Oronskiem, Wolą Guzowską i Krogulczą. Wojska królewskie rozłożone były między Guzowem a Wolą Guzowską, rokoszanie stali na północny zachód od Oronńska.

Przewaga liczebna była po stronie króla – jego armia liczyła ok. 8 tys. ludzi, podczas gdy rokoszan – tylko 6 tys. Dowództwo było jednak skłócone – oficjalnie dowodził hetman polny Stanisław Żółkiewski, nie chciał mu się podporządkować Chodkiewicz, zwycięzca spod Kircholmu, który był hetmanem wielkim. Przebywał jednak nie na Litwie, ale na terytorium Korony i wedle prawa musiał słuchać rozkazów niższego stopniem hetmana polnego. Co gorsza, Chodkiewicza opuściła znaczna część żołnierzy. Dlatego ostatecznie dowodzenie przejął sam Zygmunt. Ogromną rolę odgrywali jego faworyci – Jan i Jakub Potoccy.

Z tych powodów najsłabsze było prawe skrzydło hetmana litewskiego. Silniejszym od niego centrum dowodził Jan Potocki, stojący na czele pocztów magnackich i piechoty. Za nim ustawił się król z chorągwią

husarską i oddziałami wiernych mu senatorów. Lewą częścią armii dowodził Stanisław Żółkiewski.

Bitwa rozegrała się mniej więcej w połowie drogi łączącej Oronsko z Wolą Guzowską (dziś przedłużenie ulicy Brandta). Zaczęła się od harców, po których przemówiła artyleria. Następnie Janusz Radziwiłł zaatakował prawe skrzydło wojsk królewskich. Oddziały Chodkiewicza nie wytrzymały naporu i zaczęły cofać się w stronę Woli Guzowskiej. Konne chorągwie husarskie i kozackie rokoszan przebiły się przez linie przeciwników, docierając w pobliże króla. Niejaki Hołownia miał nawet krzyknąć: „A gdzie ów Szwed?”, został jednak rozsiekany przez straż królewską. Na wieść o rozbiciu Chodkiewicza panice uległa chorągiew nadworna króla. Na szczęście Zygmunt wykazał odwagę i nie opuścił pola walki. Kryzys przełamała piechota Potockiego, która odparła uderzenie Radziwiłła i wspólnie z powracającymi na pole bitwy chorągiewami Chodkiewicza zmusiła rokoszan do odwrotu. W tym samym czasie Żółkiewski z lewym skrzydłem uderzył na oddziały Szczepnego Herburta, który... po prostu uciekł, nie podejmując walki. Także Mikołaj Zebrzydowski, nacierający w centrum, wstrzymał natarcie, widząc rozsypkę swoich sąsiadów, po czym zarządził odwrót, który przerodził się w ucieczkę.

W zwycięstwo nie było krwawe i zakończyło rokosz. Szczepny Herbut i Prokop Pękosławski zostali uwięzieni. Wprawdzie rokoszanie próbowali jeszcze zgromadzić się do kolejnej walki, ogół szlachty nie chciał jednak bratobójczej wojny domowej. Przodkowie nasi zdobyli się bowiem na załagodzenie sporów, a rokosz zakończyły ostatecznie konwokacja w 1608 r. i kolejny sejm warszawski. ©

I RZECZYPOSPOLITA
Guzów

RYS. PŁEBAZ



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Podzielone, czyli normalne

Momenty narodowej jedności zdarzają się narodom bardzo rzadko. Moje pokolenie miało to szczęście, że przeżyło je aż dwa razy.

Pierwszy raz pamiętam słabo. W karnawale Solidarności miałem 10–11 lat, ale niesamowite poczucie, że właściwie wszyscy myślimy podobnie, jesteście razem, jesteśmy jednością zachowało się dobrze na twardym dysku mojej świadomości. Przypominam sobie zdziwienie moje i kolegów, gdy podczas zimowych sanek jeden koleś z trzeciej klatki wygłosił zdanie, że „to wszystko przez Solidarność”. Wydawało nam się, że przyleciał z innej planety, i nawet chcieliśmy go natrzeć śniegiem, ale że i tak uznawaliśmy go za cymbała, to mu się upiekło. Acz oczywiście może był to wpływ filozofii „zło dobrem zwyciężaj”, której co prawda nie znaliśmy, ale jej duch jakoś się wtedy w powietrzu unosił.

W roku 1989 to poczucie powróciło. Było już słabsze, ale i tak wspaniałe. Myślę, że ci, którzy go doświadczyli, już zawsze za nim tęsknią. Ci, którzy tego szczęścia nie doznali, marzą, żeby je przeżyć. A także z całej siły kibicują tym, którzy akurat ten stan smakują. Także stąd bierze się nasze szczerze wsparcie dla tego, co się dzieje na Białorusi. Do tego dochodzą kolory tamtych protestów, miesiąc, w którym się odbywają – wszystko to powoduje, że tamta jedność jest prawie nasza. I przywołuje wspomnienia oraz roznieca marzenia.

Sęk w tym, że takie chwile jedności dzieją się od wielkiego dzwonu. Tylko momenty wielkich przełomów historycznych lub wielkich triumfów sportowych powodują, że ludzie rozpuszczają się w euforii narodowej wspólnoty. Nie zawsze jest to zresztą zjawisko pozytywne, o czym przekonali się na przykład Europejczycy w 1914 r. – skądinąd także latem. Pacyfistów zmuszano wówczas do emigracji lub przynajmniej milczenia, bo zjednoczone narody z entuzjazmem maszerowały na wielką wojnę. Która okazała się wielkim koszmarem.

Ale do rzeczy. Po roku 1989 rozpoczęły się w Polsce podziały i jeszcze dziś słychać głosy złorzeczące tym, „którzy dzielią”. Tak będzie też na Białorusi, jeśli – czego jej życzę z całych sił – zrzuca z siebie jarzmo dyktatury. Tam też nastąpią podziały, a doświadczenie uczy, że zawsze jest to proces bolesny. Bo narodowa jedność to rzadkość i trwa jedynie chwilę. Ze swej istoty nie jest to bowiem stan naturalny dla żadnego społeczeństwa.

Musimy się pogodzić z rzeczą oczywistą (a jednak dziwną dla wielu dorosłych) – zwłaszcza w czasach tak wielbiących różnorodność – nie ma mowy, żebyśmy byli niepodzieleni. Mamy różne wizje, ideały, cele i interesy. Demokracja to rywalizacja tych czynników, a etymologia słowa „partia” prowadzi nas do „części”. Zjednoczenie to utopia, możliwa do realizacji tylko w dyktaturze albo Królestwie Niebieskim. Społeczeństwo podzielone jest po prostu normalne. ©©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Rekonstrukcja salami

Każda rekonstrukcja rządu ma swoją poetykę. Jedna wygląda jak zaplanowane kilka kroków do przodu chirurgiczne cięcia, inna jak odkrajanie plasterów salami tępych nożem. Obiecane po wyborach i zapowiedziane na przełom września i października prze-modelowanie ministerstw wymyka się jednak metaforom. Nigdy wcześniej nie obserwowaliśmy „spontanicznego” podawania się do dymisji dwóch szefów resortu i dwóch wiceministrów w cztery dni. Z tą średnią może się równać tylko liczba bramek strzelonych w Lidze Mistrzów przez Roberta Lewandowskiego. Nie da się w takiej sytuacji ukryć, że nieprawdą jest, iż rząd ma nad wszystkim kontrolę.

Nie lubię doszukiwania się w polityce drugiego dna i dopisywania do wydarzeń fantastycznych teorii, które chaos zamieniają w polityczny thriller, ale nie sposób nie odnieść wrażenia, że tym razem coś jest na rzeczy. Pomimo zapewnień Łukasza Szumowskiego, że opuszczenie resortu planował już na styczeń, ale zatrzymał go koronawirus, minister zdrowia złożył dymisję w momencie, który zaskoczył samego Mateusza Morawieckiego. Mówił mi o tym Ryszard Czarnecki, obecny tego dnia podczas konferencji z premierem w Katowicach. Decyzję w ostatniej chwili podjąć musiał też sam zainteresowany, który jeszcze niedawno zapewniał, że gdy na morzu dzieje się źle, „kapitan nie opuszcza okrętu”. Skoro tak, to również on w czasie pande-

mii nigdzie się nie wybiera. A jednak się wybrał.

Plotki, które pojawiły się w kuluarach Zjednoczonej Prawicy, głosiły, że zarówno Szumowski, jak i jego zastępca Janusz Cieszyński odeszli z resortu, bo rząd nie zdecydował się na przegłosowanie poprawki do ustawy COVID-owej, która zapewniała urzędnikom bezkarność w sytuacji obchodzenia prawa w interesie społecznym związanym z walką z koronawirusem. Skoro tak, to w przypadku Łukasza Szumowskiego, aby nie stracił on prawa do wykonywania zawodu, postanowił na własnych warunkach dokonać rekonstrukcji przed rekonstrukcją. Podobna motywacja, związana z chęcią uniknięcia pożegnania się z rządem podczas wielkiego jesiennego przetasowania, kierowała również Wandą Buk z Ministerstwa Cyfryzacji i Jackiem Czaputowiczem, szefem MSZ.

Ta pierwsza pensję wiceministra zamieniła na o wiele wyższą w państwowym gigancie energetycznym, ten drugi wyczerpał formułę administrowania resortem, nigdy do końca nie będąc zresztą kreatorem polityki zagranicznej. Bez względu na podstawy ich decyzji dwie rzeczy nie ulegają wątpliwości: po pierwsze, moment wybrany przez polityków jest zły zarówno od strony statystyk zachorowań, jak i rewolucji na Białorusi. Po drugie, Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki, jeśli pokładali sobie już w głowach rządową mozaikę, muszą wiele zrobić od nowa. Tym samym medialnie przykrywając problemy opozycji. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Opryszki bezhisteryczne”

Cyprian Kamil Norwid nazywał oddziały Garibaldiego, szturmujące na początku lat 60. XIX w. granice Państwa Kościelnego, „opryszkami bezhisterycznymi”. Wejście wojsk króla Piemontu do papieskiego Rzymu we wrześniu 1870 r. (niedługo minie 150. rocznica tego wydarzenia) położyło kres najdłuższej istniejącemu w Europie państwu. Wszak świecka władza papieża sięgała ósmego wieku, gdy król Franków Pepin Mały przekazał Stolicy Piotrowej we władanie ziemie w środkowej Italii odebrane Longobardom.

Pozbawione „włókien duszy i chrząstek sumienia” (Z. Herbert) pokolenia „opryszków bezhisterycznych” bynajmniej nie zaistniały na kartach historii nowożytnej

– albo niezliczone miejsca katolickiego kultu i kultury (biblioteki klasztorne) wszędzie tam, gdzie nawet przez chwilę górę wzięli uczniowie Lutra i Kalwina proklamujący w ten sposób „prawdziwą Ewangelię”.

Potem już było tylko gorzej. Całe hordy „opryszków bezhisterycznych” zaczęły grasować po Europie Zachodniej w XVIII w. Bezwzględne zamykanie starych opactw i klasztorów przez tzw. oświeconych absolutystów (w tym katolickiego cesarza rzymskiego Józefa II Habsburga) zapowiadało prawdziwą eskalację działań bojówek na służbie „bezhistorii” w czasie rewolucji francuskiej. Zburzenie wspaniałej bazyliki w Cluny (przez wieki największej świątyni na łacińskim Zachodzie) czy zbezczeszczenie królewskiej nekropolii w Saint-Denis to tylko najbardziej spektakularne przykłady z lawiny profanacji i desakralizacji, która po 1789 r. przetaczała się przez całą Francję.

Wraz z początkiem wojen rewolucyjnych (1792) „opryszki bezhisteryczne” rozszerzyły zasięg działania poza Ren i Pireneje. Upadek Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego (I Rzesza) pod ciosami rewolucyjnej i napoleońskiej Francji na początku XIX w. związany był z ujawnieniem się także tam nowego pokolenia „opryszków”. Poprzedzające rozwiązanie I Rzeszy w 1806 r. sekularyzacja jej „duchownych podmiotów” (elektory duchowne, samodzielne opactwa i klasztory) związane były z nieprzeliczonymi aktami wandalizmu, w których bezpowrotnie ginęły niezliczone egzemplarze sztuki sakralnej i bezcenne księgozbiory.

Nie inaczej było w epoce XIX-wiecznych „wojen o kulturę”, które od Wiosny Ludów do wybuchu pierwszej wojny

światowej przetaczały się przez całą Europę Zachodnią. Po wprowadzeniu we Francji w 1905 r. ustawowego „rozdziłu Kościoła od państwa” nowe pokolenie „opryszków bezhisterycznych” przystąpiło do tzw. inwentaryzacji majątku kościelnego, wliczając w to zawartość tabernakulów. W wielu katedrach i małych kościołach we Francji policja i żandarmi, przedzierając się przez żywy mur wiernych otaczających swoje świątynie, próbowali wyłamywać drzwiczki tabernakulów.

„Opryszki” grasują coraz śmielej także w naszej przestrzeni publicznej i medialnej. Historia bluźnierstw w III RP sięga początków „transformacji”. Zanim pojawiła się tęcza aureola wokół jasnogórskiego wizerunku Matki Bożej, redakcja tygodnika „Wprost” na swojej okładce ten sam obraz Królowej Polski „ozdobiła” na początku lat 90. maską przeciwwgazową (zgodnie, kto był wtedy redaktorem naczelnym tego pisma?). Potem przyszły krzyże z puszek po piwie na Krakowskim Przedmieściu w sierpniu 2010 r. Teraz „opryszki” rzuciły się na figurę Zbawiciela przed świętokrzyską bazyliką.

Jakże nie wspomnieć w tym kontekście wieszczych słów Zygmunta Krasińskiego z lipca 1848 r.: „Czerwoni nas bronili. Łotry przez nas pocziwieją, wrzeczono na 5 minut, tj. przez czas, przez który o nas mówią, a znów czerwonych, nas broniących, tak się pocziwi boją, że przez nas łotrzeją. Szczególnych mamy opiekunów. Ci opiekunowie gubią nas gorzej niż wrogi, bo wrogi nie mogą nam, jedno ciało torturzyć, a tacy przyjaciele duszę zatracają! [...] Lewica o Polszcze mówi; Polska dla nich to, co Chrystus dla anabaptystów lub inkwizytorów – środkiem do zaburzeń lub władzy”. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Europy wraz z marszem „czerwonych koszul” na Rzym. To przecież kolejne pokolenia rewolucjonistów wdrapujące się po ruinach ołtarzy przeszłości ku „nowemu, wspaniałemu światu”. Aby to osiągnąć, trzeba było najpierw zniszczyć to, co przez pokolenia było czczone jako świętość. Jak na przykład relikwiarz św. Tomasa Becketa w Canterbury czy sanktuarium Matki Bożej w Walsingham – zniszczone na rozkaz króla rewolucjonisty Henryka VIII

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY** TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

MARZENA NOWAKOWSKA
„SAFARI ZA
PROGIEM DOMU”

~~624~~ zł



232,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
392 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10, 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Tanku**JEMY** **HOT DOGI** za 1 grosz!

Kupujesz min. 25 l paliwa
oraz kawę i dosta**JESZ**
HOT DOGA za 1 grosz!
Twoje dzieci też!



Promocja trwa od 1.07 do 31.08.2020 lub do odwołania.
Zakup kwalifikowany musi nastąpić przy jednej transakcji.
Do jednej transakcji są wydawane maksymalnie 4 hot dogi
(1 dla kierowcy i maks. 3 dla dzieci) w promocyjnej cenie 1 gr/szt.
Z promocji są wyłączone transakcje z użyciem kart flotowych.
Regulamin i lista stacji biorących udział w promocji na lotos.pl.

grasa.pl/h143bca24

 **LOTOS**